

 HARLEQUIN[®]
TM

ROMANS
HISTORYCZNY[®]




LOUISE
ALLEN

Niezwykła prośba

Louise Allen

Niezwykła prośba

Tłumaczenie: Alina Patkowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Londyn, maj 1816

Gdy u schyłku upalnego dnia ognista kula słońca zapada w roziskrzony lazur Morza Śródziemnego, a łagodna bryza chłodzi, leżę na poduszkach w cieniu namiotu i czekam, aż wróci do mnie Władca Pustyni. Jedyńm dźwiękiem, oprócz szumu drobnych fal rozbijających się o brzeg i szelestu pierzastych liści palmy, jest chrzęst ziaren piasku przypominający szmer jedwabiu przesuwającego się po nagim ciele...

Szmer jedwabiu... A niech to! Ellie Lytton gniewnie wrzuciła pióro do kałamarza i popatrzyła na słowa, które wypłynęły z niej, jakby wiedzione własną wolą. Otworzyła szufladę biurka i rzuciła zapisaną stronicę na stertę podobnych. Na niektórych znajdował się tylko akapit albo dwa, na innych zaledwie kilka zdań. Wyjęła czystą kartkę, strząsnęła nadmiar atramentu ze stalówki i zaczęła od początku.

Brak mi słów, droga siostró, by ci opowiedzieć, jak fascynujące są uprawy palm daktylowych w tej części wybrzeża północnoafrykańskiego. Z wielkim entuzjazmem obserwowałem przez cały dzień ciężko pracujących miejscowych robotników w barwnych szatach...

- Co mnie opętało? - wymamrotała, zerkając na półkę nad

biurkiem, na której stało pięć tomów w jednakowej oprawie. Na grzbietach złożonymi literami napisane było: *Młody podróżnik w Szwajcarii*, *Młody badacz angielskich wyżyn*, *Oscar i Miranda odkrywają Londyn*, *Podręczny przewodnik po krajach świata* oraz *Młody podróżnik na wybrzeżu Anglii*. Wszystkie pięć wyszło spod pióra pani Bundock.

Jej wydawcy, panowie Broderick i Alleyn, specjalizujący się w edukacyjnych dziełach dla młodych osób, zasugerowali, by Oscar i Miranda w następnej kolejności wybrali się w podróż po Niderlandach. Ser edamski, kanały, uprawa tulipanów i zwycięstwo nad francuskim potworem – ich zdaniem była to niezmiernie podnosząca na duchu kombinacja. Ale Ellie, znana w świecie tego rodzaju literatury jako szacowna pani Bundock, zbuntowała się. Tęskniła za światem barw, słońca i egzotyki, choć znała go tylko z książek i dokumentów, oraz oświadczyła, że zamierza wysłać młodego Oscara do Afryki Północnej, żywiąc w sercu cichą nadzieję, że berberyjscy korsarze pochwyć tego zarozumialca i skazą go na jakiś okrutny los.

Tak naprawdę chciała napisać romantyczną, pełną namiętności opowieść i wysłać ją do wydawnictwa Minerva Press. Ale opisanie wyprawy Oscara i zarobienie w ten sposób pieniędzy, aby móc poświęcić kilka kolejnych miesięcy na pisanie powieści, okazało się koszmarnie trudne. Za każdym razem, gdy ten mały potwór zaczynał się rozwodzić o solniskach i palmach daktylowych, wyobraźnia podsuwała jej obrazy ciemnowłosego, szarookiego jeźdźca na czarnym ogierze, w białej szacie targanej pustynnym wiatrem.

Odgarnęła pasma włosów, które wymknęły się z byle jak zawiązanego na czubku głowy wężła, i ze złością wbiła w fryzurę jeszcze kilka szpilek. Po lunchu, obiecała sobie. Na

razie, dopóki w domu jest cicho, zacznę pisać o połowie sardynek.

Francis, jej przyrodni brat, poprzedniego wieczoru nie wrócił do domu. Z pewnością był w jakimś klubie, a to oznaczało, że w domu panował święty spokój. W obecności tylko Polly, pokojówki, Ellen czuła się tak, jakby była sama.

Ale jej nadzieje na spokojne przedpołudnie zniweczył stuk kołatki przy drzwiach wejściowych. Z zupełnie nieprzystającym do damy słowem na ustach próbowała zignorować stukanie, powtórzyło się jednak, a na dole nie było słyhać kroków Polly. Widocznie wymknęła się na zakupy, nie zawiadamiając o tym swojej pani, żeby nie przeszkadzać jej w pracy.

Ellie zerknęła na zegar. Dochodziła dziewiąta. Bogu dzięki, o wiele za wcześnie na jakąś zbędną i pochłaniającą czas wizytę towarzyską. Pewnie Francis znowu zapomniał kluczy...

Podniosła się, wytarła poplamione atramentem dłonie w podomkę, którą wkładała do pisania, wsunęła jeszcze kilka szpilek w swoją żalostną fryzurę i wyszła na korytarz, krzywiąc się, bowiem jej noga źle znosiła zbyt długie siedzenie. Raptownie otworzyła drzwi i ujrzała przed sobą nie Francisa, lecz wysokiego, ciemnowłosego dżentelmena w nieco wymiętym wieczorowym stroju.

- Panna Lytton?

- Tak?

Chyba mi się śni, pomyślała. Przecież przed chwilą zamknęłam cię w szufladzie.

- Nazywam się Hainford.

- Wiem. - Zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to niegrzecznie. Miała ochotę zapytać: „A gdzie biała szata i czarny ogier?”, ale powiedziała tylko: - Widziałam pana wcześniej w towarzystwie

mojego przybranego brata Francisa, lordzie Hainford.

Ale wtedy wyglądał inaczej. Teraz pod przekrwionymi oczami miał ciemne cienie, usta pobielale, jego ubranie wyglądało, jakby przespał się na nim pies, a na koszuli widniała plama krwi.

- Pańska koszula... Krwawi pan... - wyjąkała. Otworzyła drzwi szerzej, wyszła na schodki i ujęła go pod ramię. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jest sama w domu. Nie mogła jednak zostawić go tutaj tylko z powodu braku przyzwoitki. Mógłby zasłabnąć od utraty krwi.

- Czy zaatakowali pana jacyś rabusie? Na litość boską, proszę wejść do środka. - Gdy się nie poruszył, pociągnęła go za ramię. - Pomogę panu. Proszę się na mnie oprzeć. Wejdziemy do bawialni, tam chyba jest najwięcej światła. Opatrzę ranę i gdy tylko moja pokojówka wróci, pošlę ją po doktora Garnetta.

Próbowała pociągnąć go za sobą, ale równie dobrze mogłaby ciągnąć jeden ze słupów latarni, które ostatnio ustawiono wzdłuż Pall Mall.

- Nic mi nie jest, panno Lytton, to tylko draśnięcie. Muszę z panią porozmawiać. - Earl Hainford ociekający krwią na jej progu wyglądał jak człowiek, który zastanawia się nad własną egzekucją. Pomyślała, że jeśli za chwilę upadnie na twarz, to ona sama nie zdoła go podnieść.

- Nonsens. Proszę wejść do środka.

Tym razem pozwolił się przeciągnąć przez próg. Zamknęła drzwi i poprowadziła go przez hol, próbując iść jak najrówniejszym krokiem mimo bolącej nogi.

- Proszę bardzo. Najlepiej chyba będzie panu na tym prostym krześle.

Pozwolił się zaciągnąć do bawialni i gdy zamrugał, zauważyła,

że jest bardzo zmęczony i zapewne dość pijany. A może już zaczął dopadać go kac.

- Mam przed sobą pannę Lytton, tak?

Nie, nie był pijany. Głos miał zupełnie trzeźwy.

Coś wypadło jej z włosów, gdy przechyliła głowę na bok, żeby przyjrzeć mu się uważniej. To nie była spinka, lecz pióro, które zgubiła wcześniej rano.

- Tak, nazywam się Eleanor Lytton. Proszę wybaczyć mi wygląd. Właśnie pracowałam. Proszę tu zaczekać, przyniosę wodę i bandaż.

Gdy wróciła, był już w samej koszuli. Żakiet leżał na podłodze, a jego stan pogorszył się jeszcze przez to, że Ellie w pośpiechu rozlała nań wodę.

- Proszę pozwolić, że panu pomogę.

Opadł na krzesło i pozwolił, by ściągnęła mu koszulę przez głowę. Syknęła na widok rany, która ciągnęła się od pasa poprzez żebra aż pod prawe ramię. Nie była głęboka, ale obficie krwawiła i wyglądała okropnie.

Ellie upuściła koszulę na podłogę, ale zaraz ją podniosła i przyjrzała się jej w dziennym świetle.

- To rana od kuli - stwierdziła.

Skinął głową i syknął przez zęby, gdy dotknęła rany czubkami palców.

- Ale koszula jest cała. Rana zaczyna się poniżej pasa, ale bryczesy również ma pan całe. Czy został pan postrzelony, gdy był pan nagi?

Hainford popatrzył na nią z uniesionymi brwiami, zapewne wstrząśnięty, że dama była w stanie wypowiedzieć słowa „bryczesy” i „nagi”, nie mdlejąc.

- Tak. Czy mogłaby pani podać mi ten bandaż, a potem może

wyść z pokoju, żebym mógł się tym zająć?

Wskazał na ranę. Kula chyba otarła się o kość biodrową i wieczorowe bryczesy, mimo że były z jedwabnego dżerseju, z pewnością się o nią boleśnie ocierały. Będzie musiał je zdjąć, żeby opatrzyć ranę. Ellen popatrzyła z nieskrywaną ciekawością na ciemne włoski na jego piersi schodzące aż do podbrzusza i uznała, że to dla niej zbyt wiele.

- Oczywiście. - Przesunęła w jego stronę miskę z wodą i bandażę. - Proszę mnie zawołać, kiedy już będzie pan wyglądał przyzwoicie, to znaczy kiedy będzie pan gotowy. Przyniosę panu czystą koszulę.

Nie bała się krwi, ale wolała nie zbliżać się do nagiego ciała ani go dotykać, choć jako początkująca powieściopisarka powinna być dobrze zaznajomiona z takimi sprawami. A jednak pisanie o nich i fantazjowanie to jedno, a prawdziwe życie to zupełnie, co innego.

Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, próbując wyrównać oddech. Mężczyzna, którego kilka razy widziała w towarzystwie Francisa i który został bohaterem jej przyszłej powieści, znajdował się teraz w jej bawialni, w dodatku półnagi i ranny. Jak mógł dostać taki postrzał? Czy jakiś wściekły mąż zastał go in flagranti z żoną? Nie potrafiła wyobrazić sobie innego powodu. Gdyby to był zwykły domowy wypadek, zajęłaby się nim służba.

Potrafiła wyobrazić sobie tę scenę całkiem wyraźnie: krzyżąca kobieta na łóżku pośród pomiętych prześcieradeł, z pościeli wyłania się nagi Hainford - Ellie próbowała nie wyobrażać sobie wszystkich szczegółów - i wściekły mąż strzela do niego z pistoletu.

Cóż za rozczarowanie! Chyba nikt się nie spodziewa, że

postać z marzeń pojawi się w rzeczywistości na progu domu, w dodatku w tak opłakanym stanie. Jej władca pustyni w rzeczywistości okazał się skacowanym cudzołożnikiem. Do tego fantazje pozbawione były taktu i wyczucia chwili i materializowały się w najmniej odpowiednim momencie, gdy akurat nie wyglądała najlepiej. Skrzywiła się z żalem, patrząc na swoje odbicie w lustrze, i pomyślała, że nawet w najlepszych momentach nie była piękną i nigdy nie pragnęła przyciągnąć do siebie takiego mężczyzny.

Ellie nie miała złudzeń. Skończyła już dwadzieścia pięć lat i często słyszała, że wygląda zupełnie zwyczajnie, do tego jest niezgrabna i lekko kuleje. Była rozczarowaniem dla wszystkich, szczególnie dla matki, bardzo atrakcyjnej kobiety o ciemnych włosach i drobnej figurze, bowiem Ellie odziedziczyła urodę po rodzinie ze strony ojca. Wszyscy tak twierdzili, wzdychając przy tym z żalem. Jej najlepsza suknia miała już trzy sezony, a kapelusze przerabiała tyle razy, że więcej w nich było wstążek i kwiatów niż słomki. Jej roczna pensja wystarczała na papier, atrament i subskrypcje w bibliotekach, a to, co zarabiała u panów Brodericka i Alleyna, rozpływało się w potrzebach domu. Oczywiście, wszystko to nie miało znaczenia, bo nie należała do dobrego towarzystwa. Przeważnie czas spędzała samotnie, a krąg jej przyjaciół i znajomych składał się z podobnie myślących i podobnie ubranych kobiet, wikarego oraz kilku bibliotekarzy. Porzucenie ambicji towarzyskich przyniosło jej spokój umysłu. Czuła się bezpiecznie, będąc niewidzialną.

To Francis prowadził życie towarzyskie i miał znacznie większe dochody, które wydawał na członkostwa w klubach, szewca oraz próby naśladowania swojego bohatera, Hainforda,

we wszystkich sprawach dotyczących stroju, życia towarzyskiego i rozrywek. Ellie wolała nie dociekać, jakiego rodzaju były to rozrywki.

Drzwi otworzyły się nagle. Ellie poleciała do tyłu i z impetem uderzyła plecami o nagą pierś gościa. Jęknął z bólu, gdy obróciła się szybko i przytrzymała jego ramion, by nie stracić równowagi. Z jedną ręką na jego ramieniu, a drugą płasko opartą o pierś dokonała interesującego odkrycia: sutki męzczyzny przy dotyku twardniały.

Szybko cofnęła się do drzwi i schowała ręce za plecami.

- Przyniosę panu koszulę.

- Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby. Włożę własną. Proszę mnie posłuchać, panno Lytton, muszę z panią pomówić...

- Ale dopiero kiedy będzie pan miał na sobie koszulę, i to nie zakrwawioną - parsknęła ze złością.

Wchodząc do sypialni Francisa, zastanawiała się, o czymże to lord Hainford chce z nią rozmawiać. Z pewnością należały jej się przeprosiny za to, że pojawił się na jej progu w takim stanie, choć zapewne spodziewał się, że drzwi otworzy mu Francis, a nie jakaś głupia kobieta, która mdleje na widok nagiej męskiej piersi.

Wyciągnęła koszulę z szuflady i znów zeszła na dół. Hainford wstał, gdy pojawiła się w pokoju. Spod białych bandaży wyłaniały się czarne włoski na jego piersi.

- Proszę. Powinna pasować. - Wrzuciła mu koszulę w ręce i odwróciła się plecami, na wszelki wypadek zamykając oczy.

- Wyglądam już przyzwoicie - odezwał się po kilku chwilach pełnych stłumionych jęków i postękiwań.

Ellie odwróciła się. Był już ubrany. Krawat miał zawiązany luźno, na czystą koszulę zarzucił zszargany żakiet.

Zakrwawioną koszulę zwinął tak, że plamy nie były już widoczne.

- Dziękuję pani - powiedział. - Pani pokojówka...

- Jeszcze nie wróciła. Niedługo powinna tu być i wtedy pošlę ją po lekarza.

- Nie ma takiej potrzeby. Rana już nie krwawi. Martwi mnie to, że jest pani sama ze mną w domu.

- Sądzi pan, lordzie Hainford, że potrzebuję przyzwoitki? - Ellie przytrzymała się oparcia krzesła i ostrożnie usiadła, wskazując mu miejsce naprzeciwko. - A może to pan potrzebuje przyzwoitki? - Stwierdziła, że najlepszą obroną był atak.

- Jedno i drugie. - Przeczesał dłonią włosy i zacisnął usta. - Mam dla pani złą wiadomość i sądzę, że przydałoby się pani wsparcie innej kobiety.

- Wkrótce tu będzie. Złą wiadomość? - To mogło oznaczać tylko jedno. Jej rodzice i ojczym już nie żyli, z całej rodziny pozostał jej tylko przybrany brat. - Francis? - zapytała z chłodnym opanowaniem.

- Owszem, Francis... Miał wypadek. W klubie.

- Czy jest ranny? - Ale gdyby był ranny, wezwano by ją albo przyniesiono by go tutaj. Ellie myślała zupełnie logicznie, jakby to nie była rzeczywistość, a papierowa łamigłówka, którą należy rozwiązać. - Nie żyje, tak? Jak to się stało? Czy to pan go zabił? Czy to był pojedynek?

I czy chodziło o kobietę? Stan Hainforda mógł na to wskazywać.

- Nie. Nie zastrzeliłem go. To był wypadek. Ktoś strzelił do mnie, a Francis stał akurat za moim ramieniem.

- A pan był bez ubrania... - powiedziała bezbarwnym tonem. Na pewno po prostu usnęła nad pracą i to wszystko tylko jej się

przyśniło. Przecież to nie mogło się dziać naprawdę. - W którym to było klubie? - Może „klub” był synonimem burdelu albo jakiegoś innego, niezupełnie legalnego przybytku. Gazety czasami czyniły aluzje do tego, co działo się między pewnego autoramentu dżentelmenami, a jednak nie miała pojęcia, jak o to zapytać.

- Klub podróżników przy Piccadilly.

To był absolutnie godny szacunku klub, a nie żaden lupanar. Nie zdziwiłaby się, gdyby Francis odwiedzał podejrzone przybytki, choćby z samej ciekawości, ale lord Hainford to była zupełnie inna sprawa. Choć z drugiej strony, co ona mogła wiedzieć?

Jej milczenie chyba zaniepokoiło earla. Pochylił się i popatrzył na nią uważnie.

- Może przynieść pani trochę brandy? To okropne wiadomości.

Podnosił się już z krzesła, gdy drzwi się otworzyły.

- Panno Lytton, wróciłam! Och! - Polly z naręczem rozmaitych paczek stanęła w progu jak wryta. Do stóp Ellie potoczyła się upuszczona cebula.

- Polly, to jest lord Hainford i sądzę, że przydałaby mu się w tej chwili szklaneczka brandy.

- Absolutnie nie!

Ellie widziała, że earl z trudem hamuje złość. Powinna zanieść się szlochom i dostać waporów, a wówczas on wyciągnąłby chusteczkę, pogładził ją po dłoni i powiedział: „No już, no już”. Była pewna, że poczułby się lepiej, gdyby mógł to wszystko zrobić.

- Przynieś swojej pani filiżankę herbaty - nakazał.

- I brandy dla lorda Hainford. Myślę że potrzebuje... klina -

zasugerowała Ellie łagodnie.

Tak, to musiał być zły sen. Chociaż, czy w złym śnie można było zemdleć? Pokój zawirował w jej w oczach. Zamknęła oczy, oddychając głęboko. Gdy znów je otworzyła, lord Hainford nadal przed nią stał ze zmarszczonym czołem, a u jego stóp wciąż leżała zmięta koszula.

- To nie jest zły sen? - upewniła się.

- Obawiam się, że nie. - Hainford poczuł ulgę, gdy policzki panny Lytton znów się zaróżowiły. Sytuacja i tak była paskudna, nie potrzebował jeszcze mdlejącej kobiety i choć może nie było to zbyt szarmanckie, nie miał najmniejszej ochoty podnosić jej z podłogi. Za bardzo bolały go żebra.

Patrzył na jej bladą, owalną twarz usianą piegami, których nie mógłby wywabić żaden duński tonik ani nawet sok z cytryny. Włosy miała jak wronie gniazdo - wielka strzecha brązowych loków, niezręcznie spiętych szpilkami. Orzechowe oczy, w tej chwili szeroko otwarte w szoku, były chyba najładniejszą częścią jej postaci. Nos miała z pewnością za długi i do tego utykała. Ale w każdym razie udało jej się nie zemdleć.

Dziewczyna wróciła z tacą. Gestem kazał jej nalać herbaty.

- Wrzuć kilka kostek cukru do filiżanki swojej pani.

- Nie piję z cukrem.

- Z powodu wstrząsu... - Sięgnął po filiżankę i jednym haustem wypił gorzką herbatę, która przyjemnie rozgrzała mu żołądek.

Pokojówka przysiadła w kącie, składając ręce na kolanach. Czuł na sobie jej przenikliwe spojrzenie. Panna Lytton drżącą ręką uniosła filiżankę do ust, wypiała kilka łyków, odstawiła ją ze stuknięciem i podniosła na niego wzrok.

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało.

Bogu dzięki, że nie była wiotką mimozą i nie dostała od razu waporów. Mimo wszystko to jeszcze mogło się zdarzyć.

- Byłem wczoraj wieczorem w klubie i grałem w karty z lordem Anterton, sir Peterem Carewem oraz z pewnym człowiekiem o nazwisku Crosse. Sporo wygrałem, głównie od Crosse'a, który nie potrafił przyjąć godnie porażki i nie jest żadnym moim przyjacielem. Wszyscy piliśmy.

Próbował ostrożnie dobierać słowa, żeby historia nadawała się dla uszu damy i jednocześnie żeby nie musiał kłamać. Nie mógł jej przecież powiedzieć, że w całym pomieszczeniu czuć było zapach potu, alkoholu, wosku ze świec i podniecenia. Anterton, który właśnie odziedziczył ładną sumkę po starszym krewnym, był w doskonałym nastroju. Obaj z Carewem przez cały wieczór docinali Crosse'owi z powodu pewnego incydentu w eleganckim burdelu, gdzie wszyscy trzej gościli poprzedniego wieczoru. Irytowało to Blake'a Hainforda, który wolałby, żeby skupili się na grze. Zgarnął dwie garście żetonów i banknotów ze środka stołu, poprosił o nową talię i następną butelkę, kiedy za jego plecami pojawił się Francis Lytton.

- Pani brat stanął za mną bardzo czymś przejęty i powiedział, że chciałby ze mną natychmiast pomówić. Miałem dobrą passę i wolałem nie przerywać gry. Zaproponowałem, że może wrócić ze mną później do domu i wtedy wszystko mi opowie.

Panna Lytton przygryzła usta.

- Czymś przejęty?

- Albo zmartwiony, nie jestem pewny. Niestety, nie zwracałem na niego większej uwagi.

- Był pan pijany - zauważyła chłodno.

Jeszcze nigdy żadna kobieta nie odzywała się do niego w taki sposób i choć dręczyło go niejasne poczucie odpowiedzialności,

te słowa ukłuły jak żądło.

- Wszyscy byliśmy podpici, a poza tym to było w środku partii, a ja przez cały czas wygrywałem. Lytton powinien rozumieć, że to nie był odpowiedni moment, żeby mi przeszkadzać. Zaczęliśmy grać nową talią. Crosse znów sporo przegrał i zaczął krzyczeć, że oszukuję, na pewno chowam karty gdzieś w rękawie i odwróciłem się do pani brata po to, by je ukryć...

Urwał. Nie chciał zdradzać wszystkich szczegółów.

Czerwony na twarzy Crosse zaczął rzucać bezsensowne oskarżenia. Gwałtownym ruchem ramienia zrzucił wszystko ze stołu. Kieliszki do wina roztrzaskały się o podłogę, karty poleciały w powietrze. Gry przy sąsiednich stolikach ustały i gracze podeszli bliżej, żeby popatrzeć na rozwijającą się awanturę.

- Powiedziałem mu, żeby wycofał te oskarżenia, a inni mnie poparli, ale on nie chciał ustąpić i krzyczał dalej. Okazało się, że był na skraju ruiny i to, co przegrał, przeważało szalę. Był tak żaloszny, że nie miałem ochoty wyzywać go na pojedynek, więc ściągnąłem żakiet i rzuciłem mu, żeby sam sprawdził. Mimo to wciąż mnie oskarżał. Zdjąłem kamizelkę i koszulę, ale on przewrócił stół, krzycząc, że na pewno chowam asy w spodniach, więc zdjąłem również bryczesy. Prawdę mówiąc, zdjąłem wszystko. Doprowadził mnie do wściekłości! Francis stał za mną i zbierał moje ubranie jak pokojowy. Wszyscy się śmiali i drwili z Crosse'a.

Umilkł na chwilę, próbując uporządkować w głowie przyćmione przez alkohol wspomnienia. Wszyscy na nich patrzyli, a potem Anterton ze śmiechem wskazał na klejnoty Blake'a i wykrzyknął: „Hainford ma przyrodzenie jak byk! -

A może jak muł? Popatrzył na Crossea ze śmiechem. - Nie takie, jak ta twoja wykałaczką, co, Crosse? Dziwki nie śmiałyby się z niego tak jak z ciebie wczoraj we French House, co, Crosse?"

- Crosse sięgnął do kieszeni, upuścił coś i opadł na kolana, żeby to podnieść. Wtedy zobaczyłem, że to pistolet. Trzął się z wściekłości.

Sekretarz klubu przepchnął się na przód zgromadzonego tłumu. Blake zastanawiał się absurdalnie, czy jeśli zginie się w klubie w taki sposób, można zostać skreślonym z listy członków za niestosowne zachowanie.

- Crosse nacisnął spust. Pistolet skierowany był do góry, więc kula przeszła, jak pani widziała, po moich żebrach i trafiła we Francisa, który wciąż stał za mną.

Panna Lytton westchnęła cicho i przycisnęła dłoń do ust. Była tak blada, że piegi na jej nosie i policzkach wyglądały, jakby ktoś posypał ją garścią otrębów.

- On naprawdę nie żyje?

- Zginął na miejscu. Poczł pewnie uderzenie w pierś, a potem już nic. - Blake miał nadzieję, że rzeczywiście tak było. Nim przykląkł i wziął głowę Francisa na kolana, tamten już był martwy.

- Gdzie on jest teraz?

Była bardzo blada, ale głos jej nie drżał. Blake sądził, że wciąż jest pod wpływem szoku, choć nie wyglądała na histeryczkę. W każdym razie nie wpadła w panikę, gdy na jej progu stanął zakrwawiony mężczyzna. To niezwykle u młodej kobiety.

- W klubie. Na miejscu znalazł się lekarz, jeden z członków. Zabraliśmy go do sypialni i zrobiliśmy wszystko, co konieczne.

Rozebrali Lyttona, oczyścili go z krwi, ubrali w czyjąś zapasową koszulę nocną i posłali po kobietę, by doprowadziła go do porządku, zanim zobaczy go ktoś z rodziny.

- Mam jego zegarek i portfel. Wszystko jest bezpieczne.
- Rozumiem.

Głos miała równie bezbarwny jak twarz. Bładość podkreślała jeszcze zbyt długi nos i stanowczy podbródek.

- Trzeba go sprowadzić tutaj. Czy mógłby się pan tym zająć?

Mógłby i taki właśnie miał zamiar. Zamierzał również zrobić coś z tym plikiem zakrwawionych papierów z dziurą w środku, które Lytton miał w kieszeni na piersi. Z całą pewnością nie mógł jej przekazać tych dokumentów w takim stanie.

- Oczywiście. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Kobieta stojąca naprzeciwko niego uniosła wzrok i przygwoździła go chłodnym spojrzeniem.

- Owszem, tak sędzę. Gdyby posłuchał pan swojego przyjaciela, który najwyraźniej pragnął pana o czymś zawiadomić, zamiast po pijanemu prowokować tego Crosse'a, Francis wciąż by żył, czyż nie, milordzie?

ROZDZIAŁ DRUGI

Cios dosięgnął celu. Ellie przypuszczała, że gdyby lord Hainford był w pełni sił, nic by po sobie nie pokazał, teraz jednak dostrzegła rumieniec na jego policzkach.

Przymrużył zaczerwienione szare oczy.

- Panno Lytton, gdyby brat pani nie przyszedł do klubu, również nadal by żył.

- Mój przybrany brat. Francis jest... to znaczy był synem drugiego męża mojej matki, sir Percivala Lyttona. Przyjęłam jego nazwisko, gdy matka wzięła z nim ślub.

Prawie nie pamiętała własnego ojca, szacownego Fredericka Trewitta, człowieka o gwałtownym charakterze, który zmarł, gdy miała osiem lat. Powtórne małżeństwo matki zapewniało im upragnioną finansową stabilność, choć sir Percival na początku prawie wcale nie interesował się przybraną córką, cichą i spokojną, podczas gdy matka była atrakcyjna i przyciągała uwagę.

Francis był od niej o trzy lata starszy i ignorował ją do czasu, gdy po śmierci ojca i macochy zaczął potrzebować gospodyni. Ellie nie żywiła do niego żadnych uczuć i sądziła, że z biegiem lat stanie się podobny do ojca, ale w miarę, jak czas mijał, a Francis nie okazywał jej nic prócz obojętności, zaczęła się rozluźniać, choć nigdy nie uspokoiła się na tyle, by zaprzestać zamykania na klucz drzwi sypialni.

Rola, jaką odgrywała w domu przybranego brata, pozwoliła jej osiągnąć najwyższy status, do jakiego w obrębie dobrego

towarzystwa mogła aspirować młoda kobieta o bardzo ograniczonych środkach finansowych i pozbawiona koneksji, mianowicie status szanowanej, lecz ubogiej krewnej.

- Oczywiście, był pani bliski... To musi być dla pani okropny wstrząs i wielka strata. - Hainford opanował zniecierpliwienie i sięgnął do swego niewielkiego arsenału konwencjonalnych pociech. - Doskonale rozumiem, że jest pani wytrącona z równowagi.

- Gdyby mój przybrany brat wyjechał gdzieś daleko i miałabym go już nigdy więcej nie zobaczyć, nie uroniłabym ani jednej łzy, milordzie - odrzekła. - Ale oczywiście jest mi przykro, że spotkał go tak nędzny koniec z powodu cudzego egoizmu i zaniedbania.

- Droga pani, nie określiłbym ani sposobu, w jaki zginął, ani miejsca, gdzie to się stało, mianem nędznych. Lytton był w klubie i czekając, aż będę wolny, mógł miło spędzić czas wśród znajomych. - Hainford podniósł się i popatrzył na nią wyniośle. - A to, że wolał mi się narzucać i wszedł w sam środek sprzeczki, było jego decyzją, z której wynikł ten pożałowania godny wypadek. Porozmawiam w pani imieniu z grabarzem, chyba że wolałaby pani zrobić to sama. Dowiem się również, co zamierza koroner, i niezwłocznie panią poinformuję. A tymczasem żegnam.

Polly zdołała dotrzeć do drzwi wyjściowych przed lordem i chwilę później wróciła, ściskając w ręku wizytówkę.

- Zostawił to, panno Lytton.

- Proszę, połóż ją na moim biurku. Doskonale wiem, kim on jest.

Postarała się wcześniej sprawdzić, kim był szarooki mężczyzna, którego Francis uznał za swojego idola. William

Blakestone Pencarrow, trzeci earl Hainford, miał dwadzieścia osiem lat i był właścicielem posiadłości ziemskich w Hampshire, Yorkshire i Northamptonshire, a także okazałego domu w Londynie przy Berkeley Square oraz stajni pełnej doskonałych wierzchowców. Ponadto miał gęste, elegancko przycięte czarne włosy, nieco zbyt duży nos, mocny podbródek i oczy, które nawet przekrwione były piękne. Do tego szerokie ramiona, doskonale umięśnienie i wzrost.

Francis czcił go jak bóstwo. Hainford był dla niego wzorcem w kwestiach stylu i wychowania, który należało jak najwierniej naśladować bez względu na koszty.

Podsumowując, Hainford wydawał się doskonałym bohaterem jej książki, i nie miało najmniejszego znaczenia to, że w bezpośrednim zetknięciu okazał się niecierpliwym, aroganckim i skoncentrowanym na sobie bezwstydnikiem.

Coś spadło na jej splecione dłonie. Spojrzała w dół i ujrzała kroplę wilgoci. Biedny Francis, pomyślała, i po raz pierwszy w życiu ogarnęło ją współczucie dla przybranego brata. Zasłużył na coś więcej niż pojedyncza łza z jej strony. Zasłużył, żeby po raz ostatni zadbała o jego godność i wygodę. Nie było jego winą, że był synem swego ojca. Zapewne nic nie mógł poradzić również na własną niewrażliwość i głupotę.

- Polly, proszę, dopilnuj, żeby posprzątano we frontowym salonie, zanim przyniosą pana do domu. We wszystkich pokojach należy zasłonić okna. Potem poszukamy jakichś żałobnych strojów.

Wstrząs powoli mijał. W dziwny sposób Ellie poczuła ulgę, gdy dotarło do niej poczucie straty. Posłusznie wypełniała wszystkie rytuały żałobne: czarna wstążka na kołatce na

drzwiach, zaciągnięte zasłony, szybkie odświeżenie czarnych strojów, które ostatnio nosiła po śmierci ojczyrna. To wszystko zajmowało jej czas.

Nadszedł list od earla, który informował ją, że następnego dnia odbędzie się przesłuchanie u koronera. Termin wydawał się niezwykle krótki i była wdzięczna za to koronerowi, dopóki nie uświadomiła sobie, że zapewne zawdzięcza to wpływom Hainforda. Zadzwoił do niej również grabarz, którego Hainford wybrał. Był trzeźwy i poważny i taktownie omawiał z nią szczegóły pogrzebu.

- Earl nie chciał, by musiała się pani kłopotać takimi nużącymi szczegółami, panno Lytton.

- Jakież to miłe z jego strony - odrzekła Ellie słabym głosem.

Niewiele zapamiętała z dnia pogrzebu aż do chwili, gdy znalazła się w gabinecie Francisa w towarzystwie rodzinnego prawnika, pana Rampiona. Wydawał się nieswój, ale może dlatego, że rzadko miał do czynienia z kobietami. Wstał, gdy weszła, podobnie jak drugi mężczyzna siedzący z boku biurka.

- Lord Hainford przybył tu na moją prośbę, panno Lytton. Po tym, co usłyszałem od niego wcześniej, uznałem, że tak będzie lepiej.

Ellie zacisnęła usta i usiadła z niechęcią. Niewątpliwie powód obecności earla wkrótce się wyjaśni. Powinna zachować spokój i podejść do tego rzeczowo.

- Doskonale, panie Rampion. Myślę, że możemy zaczynać.

- Warunki testamentu nie są dla nikogo niespodzianką - powiedział prawnik, wciąż z nieszczęśliwą miną. - Tytuł baroneta oraz związane z nim posiadłości przechodzą na kuzyna sir Francisa, pana Jamesa Lyttona, który obecnie mieszka w Szkocji. Są również zapisy dla pozostałych członków

rodziny, a cała reszta majątku przechodzi na pani własność, panno Lytton. Jak pani wie, sir Francis zgodnie z warunkami testamentu swego ojca, był jedynym powiernikiem pani inwestycji.

- Cóż, przypuszczam, że to nic nie szkodzi, że nie mam teraz żadnego powiernika. Nie jestem bogatą kobietą, która musi zarządzać licznymi posiadłościami. Przypuszczam, że będę dostawać kwartalną pensję tak jak dotychczas.

Pan Rampion zdjął okulary, wyczyścił je, znów nałożył i odchrząknął.

- Właśnie dlatego jest tu lord Hainford. Może zechciałby pan pokazać te dokumenty, milordzie...

Blake wyjął z kieszeni plik papierów. Jonathan, jego sekretarz, wyczyścił je i zmył z nich największe plamy krwi, a potem wyprasował je i wygładził poszarpane strzępy w miejscu, gdzie przeszła je kula. W tej chwili na wymiętym papierze widać było tylko ślady ołówka.

- Te notatki znajdowały się w kieszeni na piersi pani przybranego brata, panno Lytton. - Czuł się jak zupełny brutal, ale nie było sposobu, by powiedzieć to delikatniej.

Poblądła, patrząc na porwany papier, ale nie wyciągnęła ręki.

- Czego dotyczą?

- Przypuszczam, że Lytton właśnie o tym chciał ze mną rozmawiać. Wygląda na to, że poczynił duże inwestycje w plany budowy kanału w pobliżu wybrzeża w Susseksie. Znam tę inwestycję. Była beznadziejnie rozdmuchana i teraz upadła na twarz. Te akcje są bezwartościowe.

- A dlaczego on chciał rozmawiać o tym z panem, lordzie Hainford?

Najwyraźniej zupełnie nie rozumiała, co to wszystko oznacza.

- Wiedział, że ja sam z sukcesem zainwestowałem w kilka projektów budowy kanałów. Zaczął chyba podejrzewać, że coś jest nie tak z tym, w który sam włożył pieniądze, i chciał mnie zapytać o opinię.

- A gdyby udało mu się z panem porozmawiać, czy to by sprawiło jakąś różnicę?

Panna Lytton pochyliła się w jego stronę i patrząc na jej twarz, Blake uświadomił sobie, że jest to inteligentna kobieta, która próbuje zrozumieć, co się właściwie zdarzyło. Zaciekawienie ożywiło jej rysy i niemal zmienił zdanie na jej temat, bowiem dotychczas uważał ją za bezbarwną i nieciekawą.

- Gdyby sprzedał te akcje następnego ranka, zyskałby bardzo niewiele albo po prostu wyszedłby na swoje. Ale do końca dnia wszystko się zawaliło.

- Rozumiem.

Napotkała jego spojrzenie. W jej oczach widział chłodny osąd. Nie musiała mówić tego głośno. Gdyby odszedł od kart i porozmawiał z jej bratem, to Lytton wciąż by żył, a także zapewne ocaliłby swoje pieniądze, sprzedając akcje następnego dnia z samego rana.

Teraz musiał jej jeszcze przekazać najgorszą wiadomość i wiedział, że jej uczucia zmienią się z niechęci w nienawiść.

Prawnik jednak odezwał się pierwszy.

- Obawiam się, że stało się coś jeszcze gorszego, panno Lytton. Wygląda na to, że sir Francis zainwestował w ten projekt nie tylko wszystkie własne dostępne mu środki, ale również środki należące do pani.

- Moje? Ale przecież nie mógł tego zrobić.

- Mógł - powiedział Blake. - I zrobił. Miał pełną kontrolę nad

pani pieniędzmi i niewątpliwie sądził, że tak będzie najlepiej.

Wzięła głęboki, drżący oddech i mocno zacisnęła ręce na kolanach. Blake przygotował się na łyzy.

- Jestem zrujnowana - odezwała się bezbarwnym tonem.

To nie było pytanie i nie uroniła żadnej łyzy.

- Inwestycja przepadła, a ten dom, jak pani wie, jest wynajęty - powiedział Rampion. - Nie zostało nic, co mogłaby pani odziedziczyć po przybranym bracie. Jednakże jest pani właścicielką farmy Carndale w Lancashire. O ile sobie pani przypomina, była to część posagu pani matki objęta ograniczeniami, które nie pozwoliły sir Francisowi dysponować nią w pełni. Posiadłość jest bezpieczna. Żadna jej część nie została sprzedana i wciąż przynosi dochód, choć jest to zaledwie dwieście funtów rocznie.

- Lancashire - wymamrotała Ellie słabym głosem. - Ale jest tam dom?

Każda inna kobieta zemdlałaby już albo wpadła w histerię, pomyślał Blake. Z pewnością nie patrzyłaby na tę sytuację tak rzeczowo jak panna Lytton. Przelotnie pomyślał, że jest ona osobą, jaką dobrze jest mieć przy swoim boku w chwili kryzysu.

- Tak, jest tam dom, choć od roku, czyli od czasu, gdy opuścił go ostatni wynajmujący, pozostaje niezamieszkały. Sama farma, to znaczy ziemia, jest wydzierżawiona osobno.

- Rozumiem. - Wyprostowała się i uniosła ramiona. - Cóż, w takim razie należy sprzedać meble i to, co pozostało po Francisie, i spłacić wszelkie pozostałe długi. Mam nadzieję, że wystarczy to również na odprawy dla służby. Przeniosę się do Lancashire najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Ale, panno Lytton, niezamężna kobieta potrzebuje przyzwoitki - wtrącił prawnik.

- Zostawię sobie pokojówkę. Chyba będzie mnie na nią stać - powiedziała obojętnie. - To musi wystarczyć. W tej chwili mój brak przyzwoitki nie będzie zaprzętał głowy damom bywającym na balach u Almacka. Może spotkamy się znowu jutro, panie Rampion. Czy do tej pory będzie pan w stanie podać mi wysokość pozostałych należności oraz środków, jakie mamy do dyspozycji?

Podniosła się, na co obydwaj mężczyźni również wstali.

- Sądzę, że muszę was teraz zostawić, panowie.

Wyszła z pokoju ze zdumiewającą godnością. Jej żałobny strój był nieco spłowiały, z rozsypującej się fryzury wypadały na podłogę spinki. Gdy drzwi zamknęły się za nią cicho, Blake odniósł wrażenie, że usłyszał pojedynczy szloch, zaraz jednak zapadło milczenie.

- Niech to diabli! - zaklął i znowu usiadł, choć miał wielką ochotę pójść za nią, by ją jakoś pocieszyć. Wiedział jednak, że jest ostatnią osobą, którą panna Lytton chciałaby teraz widzieć.

Ze wszystkich sił próbował nie czuć się winnym. W końcu nie był jasnowidzem, nie mógł przewidzieć tego okropnego wypadku i jego konsekwencji, jednak z całą pewnością to jego działanie stało się katalizatorem wydarzeń.

- W rzeczy samej - pokiwał głową prawnik, układając papiery. - Obawiam się, że życie nie traktuje najlepiej zubożałych dam. Szczególnie tych, które są warte więcej, niż wskazywałaby na to ich uroda.

- Dlaczego panna Lytton utyka? - zapytał Blake.

- Zdaje się, że trzy lata temu przeżyła poważny upadek. Skomplikowane złamanie, które nigdy dobrze się nie zrosło. Jej ojczym, gdy ją znalazł, doznał śmiertelnego w skutkach ataku serca. Sądzę, że chce pan już iść, milordzie. Wdzięczny jestem

za pańskie wysiłki przy odczytaniu tych notatek. Czeka mnie trochę pracy, jeśli jutro mam przedstawić panie Lytton pełny obraz sytuacji.

- W takim razie zostawiam pana przy obowiązkach, sir.

Blake uścisnął dłoń prawnika i wyszedł, gotując się w duchu na kolejne spotkanie z panną Lytton. Ale w holu zobaczył tylko przemykającą służbę i opuścił dom z mieszaniną ulgi i poczucia winy.

- To jest reszta dokumentów dotyczących śmierci Francisa Lyttona. - Jonathan Wilton, zaufany sekretarz Blake'a, położył przed nim plik papierów.

Blake przegarnął ręką włosy.

- Boże, co za paskudna sprawa! Całe szczęście, że koroner poradził sobie z ławą przysięgłych i uznano, że śmierć Francisa była przypadkowa. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby Crosse miał zawisnąć! A tymczasem uciekł z podwiniętym ogonem do Sommerset i krzyżyk na drogę.

Jonathan chrząknął i pokiwał głową potakująco. Był bratem przyrodnim Blake'a z nieprawego łoża, o kilka miesięcy młodszym od niego, inteligentnym i pracowitym. Mógł uchodzić za jego prawdziwego brata. Blake uznał go i gotów był uczynić jeszcze więcej, ale Jon uparł się pozostać przy nazwisku matki i utrzymywać się samodzielnie. Blake'owi udało się go tylko przekonać, by wstąpił na uniwersytet. Studiował w Cambridge, a Blake w Oksfordzie, a potem zamieszkał razem z nim i od tamtej pory pomagał w zarządzaniu majątkiem. W miejscach publicznych odnosił się do niego bardzo oficjalnie, ale gdy byli sam na sam, zachowywali się jak bracia.

- Lytton był niezmiernie uciążliwy - zauważył Jon.

- Nie mam pojęcia, co takiego zrobiłem, że uznał mnie za wzór do naśladowania. - Blake odłożył raport koronera. - Irytował mnie i jeśli chcesz znać prawdę, właśnie dlatego zbyłem go tamtego wieczoru. Nie chciałem, żeby kręcił się przy mnie w klubie.

- To nie była twoja wina. - Jon wzruszył ramionami, wstał zza biurka i zgarnął papiery.

- Mogłem z nim porozmawiać i mu doradzić.

Nie potrafił się pozbyć nierozsądnego poczucia winy z powodu tego wypadku, a odwaga panny Lytton w obliczu utraty brata i ruiny finansowej sprawiała, że czuł się jeszcze gorzej.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Blake wetknął pióro do kałamarza.

- Wejść!

- Poranna poczta, milordzie.

Lokaj podał tacę pełną listów Jonowi, który wysypał jej zawartość na biurko, przysunął sobie krzesło i zaczął przeglądać korespondencję. Złamał pieczęć na jednym z listów, powiódł po nim wzrokiem i zerknął na podpis.

- Od panny Lytton.

Zwykły papier, czarny atrament, wyraźny, prosty charakter pisma. Blake przeczytał krótki list. Potem przeczytał go jeszcze raz. Nie, nie miał omamów.

- Piekło i szatani. Ta przeklęta kobieta chce, żebym ją zawiózł do Lancashire!

- Co? - Jon pochwycił arkusz, który Blake rzucił w jego stronę. - Uważa, że ty jesteś odpowiedzialny za jej obecną sytuację... Wypożyczenie powozu... Eskorta? Czy ona jest ładna?

- Nie, nie jest ładna, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia. Eleanor Lytton to zwyczajna kobieta, która ubiera się jak szary wróbel. Chyba nigdy w życiu nie widziała fryzjera, a do tego utyka. - Zastanowił się chwilę i dodał, oddając jej sprawiedliwość: - Ma jednak charakter i wydaje się inteligentna, tyle że upiera się winić mnie za śmierć przybranego brata. Temperament i absolutnie żadnego taktu. Zamierzam ją odwiedzić i położyć kres tym bzdurom.

Zerwał się na nogi i pociągnął za sznurek dzwonka.

- Lancashire! Chyba jest jeszcze bardziej ekscentryczna, niż na to wygląda. Po co, do diabła, miałbym jechać akurat do Lancashire? Dlaczego miałbym to zrobić?

- Podobno kąpiele morskie w Blakepool są całkiem niezłe, jeśli tylko nie zwraca się uwagi na towarzystwo fabrykantów z Manchester. - Jon uśmiechnął się szeroko i wprawnie uchylił głowę, gdy Blake rzucił w niego zmiętą kartką papieru.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Lord Hainford, panno Lytton - zapowiedziała Polly.

Już od chwili, gdy ten pomysł przyszedł jej do głowy, wiedziała, że jest niedorzeczny. Była pewna, że earl po prostu wrzuci jej list do ognia. Leżała jednak bezsennie przez pół nocy, zamartwiając się, jak zabierze siebie i kilka pozostałych jej rzeczy do Lancashire oraz skąd weźmie na to pieniądze i w końcu postanowiła zaryzykować. W przeciwnym razie będzie musiała zwolnić Polly.

Gdyby nie musiała wynajmować powozu, wystarczyłoby jej pieniędzy, żeby zatrzymać pokojówkę jeszcze przez dwa miesiące. Może zdążyłaby skończyć książkę i odebrać jakieś honorarium. Z kolei eskorta zaoszczędziłaby im wielu problemów i niepokojów podczas podróży. Napisała zatem list i wysłała go, zanim opadły ją wątpliwości.

- Dzień dobry, milordzie. Polly, jestem pewna, że jego lordowska mość będzie czuł się bezpieczniej, jeśli tu usiądziesz.

- Dzień dobry. Czuję się zupełnie bezpieczny, dziękuję, panno Lytton. Ale jestem nieco zdziwiony. - Earl usiadł i popatrzył na nią bez śladu rozbawienia. Przypominał w tej chwili eleganckiego, niezadowolonego kruka. Usiadł bez widocznego wysiłku, zapewne więc rana od kuli goiła się dobrze.

- Zdziwiony? - Ellie splotła dłonie na kolanach i odsunęła od siebie obraz jego nagiego torsu pod palmami na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

- Zdziwiony jestem wzmianką o Lancashire w pani liście,

panno Lytton.

Miała rację; nie zamierzał występować z ofertą pomocy z własnej woli. Pewnie nie czuł się do tego zobowiązany i nie uważał, by był odpowiedzialny za śmierć Francisa. Po co w takim razie tu przyszedł? Gdyby po prostu napisał krótki list z odmową albo w ogóle nie odpowiedział, zupełnie nie poczułaby się zdziwiona.

- Milordzie...

- Panno Lytton, proszę mnie nazywać Hainfordem. Gdy zwraca się pani do mnie tak oficjalnie, czuję się jak podczas sesji parlamentu.

- Jak pan sobie życzy. Mój brat był pańskim oddanym uczniem. Wydawał sumy, na jakie nie było go stać, usiłując naśladować pański styl życia i ubierania. Zainwestował pieniądze w projekt zainspirowany pańskimi przedsięwzięciami. Gdy przyszedł do pana po przyjacielską radę i pomoc, pan odwrócił się do niego plecami i zaniedbał z powodu gry w karty.

- Francis był dorosły. Poza tym był tylko znajomym, nie przyjacielem. Nigdy nie doradzałem mu w kwestiach stroju, koni czy klubów, a już z całą pewnością nie w kwestiach inwestycji. Czy chce pani zasugerować, panno Lytton, że łączyły mnie z nim niestosowne relacje?

- Niestosowne?

Nie od razu uświadomiła sobie, o czym on mówi, a po kolejnej chwili poczuła zdumienie, że ośmielił się zasugerować coś takiego damie. Może nie uważał jej za damę, co zresztą nie powinno jej dziwić...

- Polly, proszę, przygotuj herbatę. - Ellie podniosła się i zamknęła drzwi za pokojówką. - Nie, nie sugeruję niczego podobnego i wydaje mi się niezmiernie niestosowne, że coś

takiego w ogóle przyszło panu do głowy.

- Próbuję znaleźć jakiś powód pani wrogości do mnie, panno Lytton. To wszystko.

Ellie uznała, że najlepszą obroną jest atak.

- Powód? Nie ma żadnego. Nie jestem też pańskim wrogiem. Po prostu przywołałam fakty, które są przyczyną mojej dezaprobaty wobec pańskiego zachowania.

- Dlaczego próbuje mnie pani namówić, żebym towarzyszył pani w podróży przez cały kraj, skoro czuje pani wobec mnie tak wielką niechęć?

Wydawał się szczerze zaintrygowany, jakby miał przed sobą interesującą zagadkę.

- Straciłam wszystko z powodu głupoty mojego brata i przez to, że pan go zawiódł jako... jako znajomy i członek tego samego klubu. Żeby dotrzeć do Lancashire, dokąd muszę się udać, czeka mnie długa, kosztowna i męcząca podróż dylizanssem pocztowym. Sądzę, że mógłby pan przynajmniej wypożyczyć mi swój powóz i zapewnić eskortę.

- Czy naprawdę spodziewa się pani, że się zgodzę? - zapytał Hainford.

- Nie, nie spodziewam się tego - przyznała Ellie. - Sądziłam, że po prostu wrzuci pan mój list do ognia. Byłam bardzo zdziwiona, gdy się pan tu pojawił. - Wzruszyła ramionami. - Leżałam bezsennie przez całą noc i martwiłam się, jak dotrę do Lancashire. O świcie przyszedł mi do głowy ten pomysł i poczułam się lepiej, gdy napisałam do pana. Nie miałam nic do stracenia, więc wysłałam ten list.

- Naprawdę jest pani niezwykłym stworzeniem - stwierdził Hainford.

Otworzyła usta, by się odciąć, ale zauważyła na jego twarzy

ślad uśmiechu.

- A zatem widzi mnie pan jako stworzenie, w dodatku niezwykle, a ponadto źródło rozbawienia? Czy traktuje pan równie obelżywie każdą inną damę, czy tylko te nieważne i nieatrakcyjne?

- Obawiam się, że rzeczywiście mnie to bawi - wyznał. - Czuję się jak chart, którego próbuje atakować polna mysz. - Potarł dłonią twarz, jakby chciał zetrzeć z niej rozbawienie, ale kąciki jego ust wciąż unosiły się w nieznacznym uśmiechu. - Nie miałem zamiaru pani urazić. Po prostu odpowiedziałem szczerością na szczerść.

Ani słowem nie odniósł się do tego, że uznała się za nieważną i nieatrakcyjną. Pomyślała, że to mądre z jego strony.

- Nie jest pani podobna do żadnej z dam, które wcześniej spotkałem, a jednak łączą panią więzy pokrewieństwa, nawet jeśli odległe, z wieloma niezmiernie szacownymi i utytułowanymi rodzinami. Czy nigdy nie debiutowała pani w towarzystwie? Nigdy nie została pani przedstawiona na dworze? Co robiła pani rodzina i dlaczego wydaje się jej, że nie ma pani miejsca w towarzystwie?

- Inaczej mówiąc, dlaczego nie mam ładnych sukien, manier jak dama z towarzystwa, nie trzepoczę rzęsami i nie zgadzam się bezwolnie ze wszystkim, co mówi dżentelmen?

- Właśnie tak.

Lord Hainford znowu usiadł, krzyżując nogi. Teraz już otwarcie się uśmiechał. Wydawało się, że Ellie może sobie pozwolić na zupełną szczerść, o ile tylko nie próbuje bezpośrednio go o nic oskarżać.

- Najkrócej mówiąc, nie miałam rodziców, pieniędzy ani ochoty, by stać się ofiarą okoliczności albo ubogą krewną, która

musi się trzymać jakiegoś odległego i niechętnego kuzyna.

- Bardzo zwięzłe zarysowanie sytuacji. - Złożył dłonie w piramidkę i wpatrzył się w czubki palców. - Mój sekretarz powie mi zapewne, że zwariowałem, skoro w ogóle zastanawiam się nad zrobieniem tego, o co mnie pani prosi...

- Ale? - Ellie wstrzymała oddech.

Podniósł wzrok. W jego szarych oczach dostrzegła rozbawienie i rezygnację.

- Zrobię to. Zawiozę panią do Lancashire. - Znow spuścił wzrok na czubki palców. - To znaczy, o ile oboje nie zostaniemy przez to skompromitowani.

- Polly pojedzie z nami.

- Pokojówka? To nie wystarczy.

- Lordzie Hainford, czy sądzi pan, że próbuję w ten sposób złapać męża?

Popatrzył na nią ostro, ale nie odpowiedział.

- Bo ja nie szukam męża, a nawet gdybym szukała, to duma nie pozwoliłaby mi w ten sposób złapać mężczyzny w pułapkę. Pokojówka absolutnie wystarczy jako przyzwoitka. W towarzystwie nikt mnie nie zna. Nawet gdyby połowa bywalczyń sali Almacka razem ze wszystkimi księżnymi i całą Izbą Lordów zobaczyli mnie w pańskim powozie, i tak nikt by mnie nie poznał. Mogę udawać pańską daleką kuzynkę - dodała i jej wyobraźnia zaczęła pracować pełną parą. - Ubogą kuzynkę, którą eskortuje pan wyłącznie z dobrego serca.

Kąciki jego ust znowu zadrgały. Ellie zauważyła, że rzeczywiście bał się, że wpadnie w pułapkę. Z tego, co słyszała, był bardzo popularny wśród dam i tylko wytrawne umiejętności pozwoliły mu dotychczas unikać zostawianych przez nie małżeńskich sideł.

- Mogę włożyć czarny welon i nazywać pana kuzynem Blakiem - dodała.

Roześmiał się mimowolnie i serce na moment przestało jej bić.

- Powinna pani zarabiać na życie pisaniem romantycznych powieści, panno Lytton. Byłaby pani w tym doskonała.

- Tak pan sądzi? - zapytała z nadzieją. - Ach, rozumiem... Tylko się pan ze mną drażni.

- Czyżby aspirowała pani do tego, by stać się jedną z tych sufrażystek o dłoniach poplamionych atramentem albo histeryczną pisarką produkującą gotyckie melodramaty?

Zapomniał chyba, że przy ich pierwszym spotkaniu miała pióro za uchem i podomkę poplamioną atramentem. Ale w tamtej chwili lord Hainford miał na głowie inne sprawy.

- Nie, nie mam najmniejszej ochoty zostać histeryczną pisarką - powiedziała krótko i zacisnęła usta, powstrzymując się przed szerszą odpowiedzią. Szczegółowe omawianie męskich uprzedzeń w niczym nie mogło jej w tej chwili pomóc. Hainford zapewne czytywał wyłącznie raporty z parlamentu, gazety poświęcone sportom, dokumenty związane z inwestycjami finansowymi oraz rzymskich i greckich klasyków.

- Kiedy chciałby pan wyruszyć?

- Ile czasu pani potrzebuje? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Czy sześć dni wystarczy?

- W zupełności wystarczy. Dziękuję, kuzynie Blake.

Podniósł się.

- Zawiadomię panią o szczegółach, kuzynko Eleanor.

- Ellie - poprawiło go, również się podnosząc.

- Raczej nie. Imię Ellie nie pasuje do postaci, jaką ma pani

odgrywać w tym spektaklu. Eleanor brzmi poważnie i ma w sobie odcień żałoby. Będzie pani paradować melancholijnie pod czarną woalką jako ofiara bezimiennego smutku...

Nie odważyła się zapytać, jaki obraz przywozi mu na myśl imię Ellie, z obawy, że usłyszałaby jakiś niezbyt pochlebny opis.

- Proszę mi powiedzieć, kuzynie, czy czytuje pan regularnie powieści wydawnictwa Minerva Press, czy też żywi pan naturalne upodobanie do gotyckich klimatów?

- To drugie, kuzynko Eleanor. Zdecydowanie to drugie. Mroczne zakątki, szkielety... - W jego oczach nie było rozbawienia.

- Nie zaczeka pan na herbatę?

- Raczej nie.

Ujął jej dłoń i unióś do ust, owiewając jej palce ciepłym oddechem. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Polly z tacą opartą na biodrze.

- Polly, lord Hainford już wychodzi. Postaw tacę i wyprowadź go, proszę.

Powtarzała sobie teraz, że podczas podróży będzie zupełnie bezpieczna. Polly nie odstąpi na krok i każdego wieczoru będą spały w tym samym pokoju. Zresztą lord Hainford z pewnością będzie się zatrzymywał tylko w porządnym gospodarstwie, które mają drzwi sypialni zamykane na klucz.

Nie on jednak stanowił dla niej zagrożenie, tylko jej głupia wyobraźnia, która wciąż tęskniła za tym, czego nigdy nie mogła mieć.

Stojąc na dole schodów, patrzyła na swój żaloszny majątek. Jeden kufer pełen ubrań i książek, jedno pudło na kapelusze, w którym znajdowały się dwa nakrycia głowy, jedna walizka

z podręcznymi rzeczami na noc i jeden składany pulpit do pisania. I jeszcze parasol. Ellie nie miała parasolki od słońca.

Polly miała niemal tyle samo bagażu.

Na górze licytator obchodził dom w towarzystwie pana Rampiona, inwentaryzując zawartość i dzieląc meble na aukcje. Prawnikowi udało się znaleźć wystarczającą ilość pieniędzy i cenniejszych drobiazgów, by uregulować wszelkie należności, a nawet wypłacić odprawy starym służącym, co zdjęło wielki ciężar z barków Ellie. Ona sama jednak nie otrzyma żadnej rekompensaty za swoje straty.

Nowy baronet nie odziedziczył nic oprócz tytułu.

Polly wyjrzała przez niewielkie okienko przy drzwiach.

- Już jest, panno Lytton! To znaczy earl.

- Wiem, o kim mówisz - odrzekła Ellie sucho i mocno chwyciła parasol. Czuła się w tej chwili jak średniowieczny rycerz szykujący się do bitwy.

Co właściwie wiedziała o tym człowieku? Wydawał mnóstwo pieniędzy na stroje, buty, konie i inne rozrywki, zapewne hedonistyczne. Sądząc jednak po tym, co pisały plotkarskie kolumny w gazetach, zachowywał pewną dyscyplinę. Lubił gry w karty, wyścigi i sport, widywano go na wszystkich ważnych wydarzeniach towarzyskich. Ponoć dogadzał sobie również na inne sposoby. Gazety często wspominały, że lorda H widziano w towarzystwie tej czy innej znanej piękności, lady X, nie donosiły jednak o żadnych hulankach, skandalach w operze ani wielkich stratach przy stoliku karcianym. Nie był żonaty, zaręczony ani związany z żadną damą, która mogłaby mieć wobec niego jakieś oczekiwania, choć miał już dwadzieścia osiem lat i powinien już myśleć o spadkobiercy.

Polly uchyliła drzwi, zanim służący zdążył zapukać.

- To wszystko - powiedziała krótko, wskazując niewielką kupkę bagażu.

- Zaniosę to do powozu bagażowego - odrzekł chłopak i Ellie dopiero teraz zauważyła, że za błyszczącym powozem podróżnym earla, ozdobionym herbem na drzwiach, stoi drugi, mniejszy i mniej okazały. - Czy jest coś, co chciałaby pani zatrzymać przy sobie, panno Lytton?

- Dziękuję, ale nie. - Miała przy sobie torebkę, w której znajdowały się pieniądze, notes, ołówek oraz chusteczka. - Polly, pobiegnij na górę i powiedz panu Rampionowi, że odjeżdżamy.

Zanim prawnik zdążył zejść na dół, lord Hainford wysiadł z powozu i bagaże zostały załadowane. Ellie uścisnęła prawnikowi dłoń, wzięła od niego list ze szczegółowym opisem budynku, który miał się teraz stać jej domem, i oddała mu klucze do londyńskiej rezydencji. Mieszkała tu ponad pięć lat, ale nie czuła szczególnego żalu. Owszem, było jej przykro, że traci przyjaciół, księgarnie i biblioteki, ale była tutaj kimś niewiele lepszym od ochmistrzyni, zaledwie ubogą krewną. Teraz przynajmniej będzie panią na własnych włościach.

Pod warunkiem że uda jej się znieść przez kilka dni towarzystwo lorda Hainford.

Czekał, żeby pomóc jej wsiąść do powozu. Potknęła się w progu, pochwyciła za poręcz i pokuśtykała po chodniku. Odwagi, powiedziała sobie. Nie mogła pozwolić na to, by przeszłość rządziła jej teraźniejszością i przyszłością. A ten mężczyzna był jej mostem do przyszłości.

- Panno Lytton, pozwoli pani, że przedstawię jej mojego zaufanego sekretarza Jonathana Wiltona.

Jon podniósł się i pochylił pod niskim dachem powozu.

- Najmocniej przepraszam, że nie wysiadłem, by panią powitać, panno Lytton. Nie wiedziałem, że jest już pani gotowa do nas dołączyć.

Blake zauważył, że panna Lytton nieco skurczyła się w sobie na widok sekretarza. Po chwili z wahaniem wyciągnęła do niego rękę, ale twarz wciąż miała bladą. Może po prostu nie przywykła do towarzystwa mężczyzn, pomyślał. Mogło tak być, skoro nie debiutowała w towarzystwie i w zasadzie żyła w odosobnieniu. Ale gdy usiadła i spojrzała na Jona, zauważył jej starannie zamaskowane zdziwienie.

- Jesteśmy przyrodnimi braćmi - wyjaśnił, siadając obok niej, naprzeciwko Jona.

Drobna pokojówka usiadła naprzeciwko swojej pani. Na kolanach trzymała zniszczoną torbę.

- Wszyscy o tym wiedzą, ale nikt nie mówi o tym głośno. Typowa hipokryzja naszych kręgów. Pan Wilton jest bez zająknięcia akceptowany jako mój sekretarz, podczas gdy Jonathan, mój brat z nieprawego łoża, już nie.

- To bywa zabawne ze względu na nasze podobieństwo - dodał Jonathan i uśmiechnął się. Był o trzy cale niższy, niebieskooki i ciemnowłosy. - W razie potrzeby mogę być brakującym gościem na kolacji, ale nie nadaję się na kandydata na męża dla młodej damy z towarzystwa, rozumie pani.

- Rozumiem. - Skinęła głową Eleanor. - Kiedyś nadejdą czasy, gdy wszystkich będzie się osądzać po charakterze i zdolnościach, ale obawiam się, że do tego jeszcze długa droga.

- Czy żywi pani radykalne przekonania, panno Lytton? - zapytał Blake, gdy powóz ruszył. Zauważył, że nie pochyliła się do okna, by po raz ostatni spojrzeć na dom.

- Kuzynko Eleanor - poprawiła go. - Chyba mam radykalne przekonania, choć nie chciałabym, żeby owa zmiana dokonała się w gwałtowny sposób. Gdy się tak dzieje, cierpi zbyt wiele niewinnych istot.

Blake poczuł się zaintrygowany. Powóz był przestronny, toteż przesunął się nieco, by przyjrzeć jej się uważniej. Większość dam, które nie prowadziły salonów politycznych ani nie były żonami polityków, zareagowałyby przerażeniem na samą sugestię, że mogą mieć jakieś zdanie na temat polityki. A nawet te, które by tego nie zrobiły, po prostu potulnie powtarzałyby słowa mężów. Radykalne przekonania były czymś zupełnie niezwykłym i świadczyły o tym, że panna Lytton jest czytana i ma wiele własnych przemyśleń. Taka kobieta nie była wygodną towarzyszką, a jednak poczuł, że to bardzo przyjemna i odświeżająca odmiana od zwykłego kobiecego towarzystwa.

- Zgadzam się z większością tego, co postulują radykałowie. Potrzebujemy zmiany, ale doprowadzenie do niej niesie ze sobą wiele niebezpieczeństw - powiedziała i Blake oderwał się od rozmyślań o niedawnym rozstaniu z lady Filborough, swoją ostatnią kochanką. Była niezwykle piękna, ale również niezmiernie przewidywalna i szybko się nią znudził. Nie potrzebował kochanki, która próbowałaby zgłębić tajniki jego duszy, broń Boże, wolał jednak kobiety, które pobudzały również jego umysł.

- Zanim jakikolwiek postęp dokona się w pokojowy sposób, ludzie muszą najpierw napełnić żołądki.

- Napełnić żołądki i wziąć do ręki książkę. Nie sądzi pan, że edukacja jest także bardzo ważna?

Temat wyraźnie ją poruszał i Blake pomyślał, że jej żarliwość jest urocza. Szkoda tylko, że nie mogła się poszczycić urodą.

W połączeniu z pięknem byłaby niezmiernie erotyczna. Boże drogi, o czym on myślał? Ta kobieta zupełnie nie kojarzyła się ze słowem „erotyka”.

Ale Jon wyraźnie był już gotów wygłosić własne zdanie na temat edukacji klasy pracującej. Dyskusja na ten temat przez całą drogę do Lancashire byłaby bardzo nużąca.

- Zechciej nam wybaczyć, kuzynko Eleanor, ale musimy przejrzeć dzisiejszą korespondencję.

- Oczywiście.

To było tak, jakby ktoś zdmuchnął świecę. Ożywienie zniknęło z jej twarzy i teraz lord Hainford widział przed sobą tylko potulną starą pannę wciśniętą w kąt kanapy.

- Polly, proszę, podaj mi książkę z torby. Mam tam również notes.

Blake udawał, że upadła mu rękawiczka i dzięki temu udało mu się zauważyć tytuł na grzbiecie książki. „Praktyki rolnicze na obszarach śródziemnomorskich”. Miał szczerą nadzieję, że panna Lytton nie będzie próbowała wprowadzać tych praktyk wśród robotników na farmie w Lancashire.

Była bardzo dziwną kobietą, stwierdził w duchu. Sięgnął po pierwszy list, który podał mu Jon, i zagłębił się w szczegółach sporu o granice posiadłości, którą zamierzał kupić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na myśl, że ma być zamknięta w powozie nie z jednym, ale z dwoma dżentelmenami, omal nie uciekła w panice. W porę zdołała się jednak opanować i przywitała z panem Wiltonem. Była pewna, że nikt niczego nie zauważył.

O dziwo, wkrótce okazało się, że obecność sekretarza znacznie wszystko ułatwiła. Obydwaj mężczyźni wkrótce pogrążyli się w pracy i Ellie mogła się rozluźnić. Nie lubiła znajdować się w centrum uwagi, więc z ulgą przyjęła fakt, że lord Hainford zapewnił sobie doskonałą wymówkę, by ją ignorować.

Podniosła wzrok znad książki. Powóz był bardzo luksusowy, jeszcze nigdy dotychczas nie podróżowała tak komfortowo. Miękkie tapicerowane siedzenia były tak szerokie, że siedząc obok Blake'a, nie musiała dotykać nawet jego ubrania. Wcześniej obawiała się, że będzie zamknięta niczym w ciasnej celi, ściśnięta między innymi, przypadkowymi ludźmi w powozie pocztowym. Nie daj Boże byłiby to dwaj, podejrzenie wyglądający mężczyźni.

Wcisnęła się wygodniej w kąt i odłożyła notes na siedzenie. Nie potrafiła się skupić na daktylach i pszenicy, szczególnie gdy czuła ten zapach. Nie miała wątpliwości, że to Blake – wykrochmalone płótno, wyrazista woda kolońska i świeżość.

A jednak myśl, że miałby jej dotknąć, wzbudzała w niej niepokój i żal. Blake był niebywale atrakcyjny i doskonale pasował do roli kochanka w jej fantazjach, ale w rzeczywistości

nie chciałyby się zanadto do niego zbliżyć.

Ponownie spróbowała skupić się na książce, ale liczby dotyczące produkcji daktyli były strasznie nudne. Przerzuciła kilka stron. Może gospodarka wodna okaże się ciekawszym tematem dla męczącego Oscara. Może nawet uda się go wrzucić do kanału nawadniającego.

Ta myśl nieco podniosła ją na duchu. Sięgnęła po notes i zaczęła szkicować całą scenę.

- Bushey - powiedział Blake. - Zmieniamy tutaj konie. Czy ma pani ochotę na chwilę wysiąść?

W pierwszej chwili Ellie chciała odmówić. Z wielką przyjemnością szkicowała scenę, w której Oscar barwnie opisuje, jak wyciągano go z błotnistego kanału nawadniającego. Potem jednak przyszło jej do głowy, że być może Blake chce taktownie zasugerować, aby skorzystała z toalety.

- Dziękuję. Chętnie rozprostuję nogi.

Polly wydawała się wdzięczna za tę decyzję. Jonathan Wilton pomógł im wysiąść, a potem odwrócił się taktownie, zaś damy poszły do gospody. Gdy wróciły, tym razem Blake pomógł im wsiąść.

- Wydajesz się z czegoś zadowolona, kuzynko.

- Podziwiałyśmy gospodę. Jest doskonale wyposażona. Bardzo dziękuję.

- Podziękuj Jonowi. To on wszystko organizuje.

Pan Wilton podniósł głowę znad papierów i skłonił się lekko.

- Wypełniam tylko moje obowiązki, panno Lytton.

- Na czym właściwie polegają obowiązki zaufanego sekretarza earla? - zapytała Ellie, gdy powóz zaczął zawracać na dziedzińcu gospody.

- Zajmuję się korespondencją lorda Hainford, terminarzem jego spotkań, przeglądam dla niego gazety, organizuję podróże, płacę rachunki. Pilnuję, by raporty ze wszystkich posiadłości i inwestycji nadchodziły regularnie i by zapoznał się ze wszystkimi sprawami, które wymagają jego decyzji. Zapisuję również tematy, o których mógłby zechcieć poinformować innych lordów w parlamencie. Tego rodzaju sprawy.

- Wydaje się, że robi pan o wiele więcej. - Ellie zauważyła stertę notatek oznaczonych licznymi odnośnikami. - Kuzyn Blake zmusza pana do ciężkiej pracy.

- On z kolei zmusza do ciężkiej pracy mnie - odparł Blake sucho. - Czy wyobrażałaś sobie, że lordowie przez cały dzień siedzą i czytają powieści?

- Nie. Wyobrażałam sobie, że większość czasu spędzają na rozrywkach - przyznała szczerze.

- Lubię rozrywki, gdy mogę sobie na nie pozwolić. - Spojrzał na nią kpiąco. - Robię to wszystko, co sobie wyobrażasz, kuzynko Eleanor. Wszystkie te rzeczy, które mogą cię skłonić do cierpkiego osądu. Kluby, sport, krawiec, kapelusznik i szewc. Wydarzenia towarzyskie, opera, teatr, gry. Wir, w którym można się zatracić.

Pan Wilton prychnął.

- Czy chcesz, żeby panna Lytton widziała w tobie beczynnego łajdaka? Zapomniałeś wspomnieć o Izbie Lordów, komitetach dobroczynnych i spotkaniach inwestorów.

- To na nic się nie zda. Moja nowa kuzynka i tak już uznała mnie za beczynnego łajdaka. Nie muszę utwierdzać jej w tym przekonaniu.

- Jestem w pełni gotowa uwierzyć, że pilnie wypełniasz wszystkie swoje obowiązki, kuzynie. Sądzę tylko, że w nawale

tych wszystkich zajęć nie musisz liczyć się z nikim innym.

- Innymi słowy, jestem samolubny? - zapytał, unosząc brwi.

Dlaczego pozwoliłam sobie powiedzieć szczerze, co myślę? - zastanowiła się w duchu. Powinnam zachowywać się potulnie i siedzieć tak cicho, na ile to możliwe, żeby w ogóle zapomnieli o mojej obecności. Najlepiej byłoby teraz przeprosić i wrócić do zbioru daktyli w Afryce Północnej...

- Skoro kapelusz pasuje, milordzie... - odparowała, ignorując głos rozsądku. - Jakież to musi być miłe, nie być odpowiedzialnym za nikogo.

Pan Wilton otworzył usta, zapewne po to, by wyliczyć przyjaciół, służbę, dzierżawców i innych, którzy korzystali z dobroczynności jego lordowskiej mości, Blake jednak uciszył go gestem.

- Owszem - rzekł z chłodnym uśmiechem.

Przestań, powiedziała sobie Ellie, bo jeśli go sprowokujesz, zostawi cię w najbliższej gospodzie. Nie rozumiała, dlaczego to robi, ale igranie z nim było niezmiernie ożywcze, niemal podniecające. Owszem, gdy się nad tym zastanović, lord Hainford bezmyślnie i samolubnie zignorował prośbę Francisa o chwilę rozmowy. Potem jeszcze zachował się oburzająco, rozbierając się i prowokując Crosse'a do jeszcze gwałtowniejszej reakcji. Nie mogła jednak udawać, że jest zrozpaczona śmiercią Francisa. Nie kochała przybranego brata, a Blake później zrobił wszystko, o co go prosiła. Powinna być dla niego miłsza i zachowywać się jak dama.

Znów sięgnęła po notes. Postanowiła, że będzie miłsza również dla Oscara i na przykład wyśle go wieczorem na wspaniałą bankiet.

W jednej z książek podróżniczych znalazła opisy rozmaitych

potraw i wybrała wszystkie, które szczególnie do niej przemawiały. Pieczone jagnię i kuskus – to brzmiało doskonale, egzotyczne ryby, ostre sery i podpłomyki. Do tego sok z granata, sorbety, miodowe ciastka...

Ołówek gładko sunął po stronach notesu, kiedy opisywała specjały, jakich miał skosztować Oscar.

Zatrzymali się na noc w Aynho, wiosce w Northamptonshire, o której Ellie nigdy dotychczas nie słyszała. Wioska zbudowana była ze złocistego kamienia i znajdowała się tu doskonała gospoda o nazwie George, którą pan Wilton wybrał dla nich na nocleg.

Wprowadzono ją do pokoju, który miała dzielić z Polly. Był duży, czysty i wygodny. Zamówiono dla niej kąpiel i zapowiedziano, że kolacja zostanie podana w prywatnym saloniku o siódmej. Czy panna Lytton zechciałaby wcześniej napić się herbaty?

- Obydwie chętnie się napijemy - odrzekła z wdzięcznością, a gdy zostały same z Polly i pokojówka z gospody przygotowała już wielką wannę z gorącą wodą za parawanem, Ellie stwierdziła:

- Z łatwością mogłabym do tego przywyknąć.

- Ja również, proszę pani.

Po chwili pojawiła się następna pokojówka z herbatą. Ustawiła tacę na stoliku i wyszła. Polly i Ellie usiadły, patrząc z przyjemnością na malutkie kanapeczki i podłużne ciasteczka.

- Ale nie możemy się do tego przyzwyczajać. Mam nadzieję, Polly, że będę mogła nadal cię zatrudniać i że zechcesz ze mną zostać, ale nie mam pojęcia, co nas czeka w Lancashire i na jak długo wystarczy mi pieniędzy. Ponoć dom może być w zupełnej

ruinie.

- Jakoś sobie poradzimy - stwierdziła Polly z ustami pełnymi kanapki z rzeżuchą. - Na wsi możemy założyć ogród warzywny, trzymać kury, a może nawet prosiaka.

- Oczywiście - odrzekła Ellie. Wiedziała, że jej obowiązkiem było wzbudzać poczucie bezpieczeństwa u wszystkich, których zatrudniała, ale miała wielką ochotę rozplakać się i lamentować, że jedyne, co potrafi, to pisać książki dla dzieci i że nie ma najmniejszego pojęcia, jak się hoduje kury. O prosiaku wołała nawet nie myśleć.

Jestem wykształconą, inteligentną kobietą i na każdy temat istnieją jakieś książki. Nauczę się wszystkiego! - powiedziała sobie stanowczo i sięgnęła po jeszcze jedno ciasteczko, aby podnieść się na duchu.

Udało jej się przekonać Polly, by weszła razem z nią do wielkiej wanny. Musiały podciągnąć kolana pod brodę, ale Ellie nie rozumiała, dlaczego pokojówka miałaby się zadowolić miednicą i myjką, gdy ona sama dostała do dyspozycji tyle wody. Damy z dobrego towarzystwa zasłabłyby z przerażenia, widząc takie bratanie się ze służbą, ale Ellie w końcu nie była jedną z nich.

- Czy mogę panienkę o coś zapytać? - odezwała się Polly z poczerwieniałą twarzą, usiłując dosięgnąć własnych stóp.

- Oczywiście, choć nie mogę obiecać, że odpowiem.

- Dlaczego nie lubi pani jego lordowskiej mości? Moim zdaniem jest uroczy.

- Polly!

- Naprawdę jest uroczy - powtórzyła dziewczyna z uporem. - Jest przystojny, bogaty, dobrze wychowany i traktuje nas jak damy. Ten pan Wilton też jest miły.

- Lord Hainford mógł zapobiec śmierci Francisa - odrzekła Ellie chłodno. Polly pociągnęła nosem, przygryzła usta i w milczeniu zmywała pianę z ramion.

Ellie pomyślała, że właściwie powinna mu wybaczyć. To był tylko wypadek, a potem zrobił wiele, aby jej pomóc. Ona zaś miała spędzić w jego towarzystwie co najmniej trzy kolejne dni, toteż powinna się postarać zachowywać przy nim swobodnie.

Dopiero gdy usiadła przy stole w prywatnym saloniku tylko w towarzystwie dwóch mężczyzn, bowiem Polly jadła kolację w kuchni, uświadomiła sobie, dlaczego traktuje Blake'a tak ostro. Nie chodziło o jego charakter ani nawet o Francisa. Mogła mu wybaczyć, że tamtego wieczoru zignorował prośbę jej brata. Francis miał grubą skórę i pewnie trzeba byłoby siłą odciągnąć go od obiektu admiracji. Był również irytująco egocentryczny i pozbawiony taktu. Nawet by mu nie przyszło do głowy, że zachowuje się niegrzecznie, prosząc lorda, aby zechciał z nim porozmawiać o jego sprawach w samym środku rozgrywki. To mogła zrozumieć i wybaczyć. Wcale bowiem nie chodziło o Blake'a, lecz o nią.

Obawiała się go, ale nie była to zwykła obawa przed tym, co mężczyzna może zrobić samotnej kobiecie pozbawionej opieki. Ten mężczyzna wzbudzał w niej pożądanie. Bardzo ją pociągał od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła. Wiedziała, że to nie ma żadnego sensu. W normalnych okolicznościach lord Hainford nawet by na nią nie spojrział. Dla mężczyzny takiego jak on kobiety takie jak ona nie istniały. Nie były ani służącymi, ani kandydatkami na żonę, nie należały też do jego kręgu towarzyskiego. Stare panny, którym należało współczuć, bo nie potrafiły przyciągnąć żadnego mężczyzny, były zupełnie

niewidzialne.

Zanim spotkała go osobiście, znalazła mu bezpieczne miejsce w swoich fantazjach, a teraz wdarł się do jej codzienności. Patrzyła na niego od rana do wieczora. A jeśli on widział, co ona czuje? Jeśli można to było zauważyć na jej twarzy?

To było żalosne, bo przecież powinna żyć pełnym, niezależnym życiem, zarabiać pieniądze i być szczęśliwa. To była tylko słabość, którą musiała przezwyciężyć, wyłącznie fizyczne uczucie, jak głód albo pragnienie.

- Wydajesz się bardzo zamyślona, Eleanor - zauważył Blake. - Napijesz się klaretu? - Przytrzymał butelkę nad jej kieliszkiem.

Zauważyła, że zwrócił się do niej po imieniu, nie dodając „kuzynko”.

- Tak, dziękuję - powiedziała nieoczekiwanie dla samej siebie. Zanim zdążyła się opamiętać i odmówić, on już napełnił jej kieliszek. - Myślałam o prosiakach.

Pan Wilton zamrugał.

- O prosiakach, panno Lytton? Mam nadzieję, że nie ma pani na myśli obecnego towarzystwa?

- O hodowli prosiąt. Albo jednego prosiaka. I kur. Powinnam pomyśleć o tym wcześniej i przed wyjazdem z Londynu kupić jakieś książki na ten temat. Ale w Lancaster na pewno jest jakaś biblioteka.

- Wybacz mi ciekawość, Eleanor - powiedział Blake przeciągle - ale dlaczego zainteresowałaś się hodowlą drobiu i prosiąt?

- Muszę coś jeść. Jajka, szynka, bekon i smalec. Muszę również poczytać o uprawie warzyw.

Obydwaj mężczyźni patrzyli na nią tak, jakby zaczęła mówić po grecku, choć zapewne więcej wiedzieli o grece niż o hodowli

kur.

- Będę musiała żyć bardzo oszczędnie - wyjaśniła. - Polly mówiła, że możemy założyć ogród warzywny i hodować kury.

- Eleanor, jesteś dobrze urodzona...

- I o ile sobie przypominam, wasza lordowska mość, nie pozwoliłam panu zwracać się do mnie po imieniu.

- A cóż to szkodzi? Ty też możesz zwracać się do mnie po imieniu. Jestem pewien, że Jonathan również nie będzie miał nic przeciwko temu. Przez kilka dni skazani jesteśmy na własne towarzystwo, czy zatem nie możemy się zachowywać jak kuzyni, których udajemy? Będziesz mogła mnie tytułować od chwili, gdy wyjdiesz z powozu przed bramą swojej nowej posiadłości, a ja wówczas będę cię nazywał panną Lytton.

- Czy ktokolwiek powiedział ci kiedyś, że masz olbrzymi tupet, mój drogi Blake'u?

- Moja droga Eleanor, z pewnością wszyscy często tak sobie myślą, choć zwykle są na tyle grzeczni, by używać innego słowa.

- Jak „urok” - stwierdziła i niemądrze spróbowała wina. - Och.

- Nie smakuje ci?

- Jest jak ciepły czerwony aksamit, wiśnie i samo serce płomienia! - Pociągnęła jeszcze jeden łyk. To wino smakowało jak ambrozja.

- Czy jesteś poetką, Eleanor?

- Nie, ale...

Omam nie powiedziała, że jest pisarką, ale ugryzła się w język. Hainford na pewno zapytałby ją, co pisze, i mogła sobie wyobrazić wyraz jego twarzy, gdyby przyznała, że to ona wymyśliła potwornego Oscara i jego równie nieznośną siostrę.

A jeszcze bardziej niebezpiecznie byłoby przyznać, że chciałyby napisać powieść. Oczami wyobraźni widziała już tę scenę, jak po kieliszku tego niebezpiecznego zachwycającego wina mówi Blake'owi prosto w oczy, że jest bohaterem jej pustynnego romansu. Umarłby ze śmiechu albo wpadłby we wściekłość. Nie miała ochoty ani na jedno, ani na drugie, choć chyba wolałaby wściekłość niż drwinę.

- W poezji jestem tylko amatorką - powiedziała i to była prawda. Próbowwała pisać wiersze, ale wychodziły jej tylko jakieś bzdury o czerwcowym księżycu. - Słowa są niebezpiecznie kuszące, prawda?

- Każda pokusa powinna być choć trochę niebezpieczna - odrzekł Blake. - Inaczej jest to po prostu pobłażanie sobie. Czy mogę ci ukroić kawałek wołowiny?

- Pobłażanie sobie z pewnością też jest niebezpieczne. - Jonathan podał jej talerz z groszkiem. - I zwykle takie bywa, nawet jeśli chodzi tylko o słodczy. Zanim się człowiek obejrzy, już nie może oddychać w gorsetach albo wszystkie zęby czernieją mu i wypadają.

- Sądzę, że nie grozi to nikomu z nas - zauważył Blake, podając jej ziemniaki.

Zastanawiała się, czy miała to być kąśliwa uwaga na temat jej nad wyraz szczupłej sylwetki. Jej matka powtarzała z rozpaczą, że z pewnością z czasem nabierze kobiecych kształtów, i rzeczywiście zaczęła ich nabierać tuż przed śmiercią mamy. Ale potem nadeszły nieszczęśliwe czasy i często zapominała o posiłkach. W każdym razie tak łatwiej było nie rzucać się w oczy...

- Sos chlebowy i mięsny? - Jonathan podsunął jej dwa półmiski. Jeden sos był lśniący od masła, drugi gęsty i brązowy.

- I może jeszcze trochę warzyw, Eleanor?

- Dziękuję, ale nie mam zbyt wielkiego apetytu.

Przez chwilę wszyscy zajęci byli jedzeniem. Było bardzo dobre i nikt nie próbował przerywać milczenia, co zupełnie nie przeszkadzało Ellie. Odpowiadała monosylabami na próby nawiązania rozmowy i wydawało się, że i oni byli z tego zadowoleni.

- Gdzie się zatrzymamy na następny postój? - zapytała, gdy Blake zajął się krojeniem wołowiny.

- Mam nadzieję, że w Cannock. To wioska na północ od Birmingham, jakieś siedemdziesiąt mil stąd.

- W takim razie czeka nas długa podróż. O której mam zejść na śniadanie?

- Czy siódma to dla ciebie za wcześnie, Eleanor?

- Absolutnie nie. - Zwykle wstawała o szóstej, żeby przez godzinę spokojnie popisać, zanim dom ożyje. - Ale jeśli nie macie nic przeciwko temu, teraz was pożegnam.

- Nie zjesz deseru? To ciasto z jabłkami wygląda bardzo dobrze i podali do niego śmietankę.

- Z pewnością jest znakomite. Ale nie, dziękuję.

Pomyślała, że w przyszłym życiu zapewne nieczęsto będzie widywać pieczoną wołowinę i gęstą śmietankę, toteż lepiej się do nich nie przyzwyczajać.

Mężczyźni podnieśli się, gdy odchodziła od stołu. Blake przeszedł przez salon i otworzył przed nią drzwi sypialni. Słyszała jego kroki, gdy wracał do stołu. Obróciła klucz w zamku, a potem wetknęła pod klamkę krzesło.

- Czy zamek nie trzyma dobrze? - zapytała Polly, wyciągając z bagażu ich nocne koszule.

- Chyba jest dobry, ale sądzę, że w obcym budynku lepiej nie

ryzykować.

I nie tylko w obcym budynku. W domu co wieczór robiła to samo, a potem wstawała na tyle wcześnie, żeby wyciągnąć krzesło i otworzyć drzwi, zanim nadeszła Polly. To był kolejny powód, dla którego wstawała o szóstej. Zapomniała, że podczas podróży pokojówka będzie dzielić z nią sypialnię.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Blake usiadł, sięgnął po dzbanek ze śmietanką i obficie polał sobie kawałek ciasta z jabłkami, nasłuchując szmeru kobiecych głosów zza zamkniętych drzwi.

- Eleanor je tyle co ptaszek. Nic dziwnego, że jest taka chuda - powiedział cicho.

- Denerwuje się w naszej obecności. Zresztą trudno jej się dziwić. - Jon dopił wino i również sięgnął po deser. - Pewnie tylko o to chodzi.

- Ale jest bardzo śmiała, kiedy nie jesteśmy zbyt blisko - zauważył Blake.

- Może miała jakieś nieprzyjemne doświadczenia w przeszłości albo może to tylko panińska niechęć do mężczyzn.

- Kiedy poszedłem tam po raz pierwszy, prawie siłą przeciągnęła mnie przez próg. Z drugiej jednak strony nie byłem wtedy w stanie w żaden sposób jej zagrozić.

Przypomniał sobie, że Eleanor wycofała się pośpiesznie, gdy okazało się, że jest w stanie sam zabandażować sobie ranę i że cofnęła się gwałtownie, gdy przypadkiem dotknęła jego nagiej piersi. Wydawało się, że Jon może mieć rację. Jego ciało, choć poranione, dziwnie mocno zareagowało na ten dotyk i Blake ucieszył się, gdy dziewczyna zniknęła z pokoju.

To było żałosne, że jej dotyk mógł go podniecić. Widocznie sprawił to szok.

- Całkiem dobry klaret. Zamówmy jeszcze jedną butelkę.

Następny dzień był bardzo podobny do pierwszego. Eleanor czytała i wyglądała przez okno. Polly, która czuła się już swobodniej, postawiła torbę na siedzeniu między sobą a Jonathanem i wyjęła robótkę. Jonathan i Blake drzemali albo czytali. Atmosfera była swobodna i pozbawiona wrogości, pomyślał Blake, wręcz domowa. Rozłożył gazetę, którą kupił w Birmingham podczas postoju, i roześmiał się w duchu.

W południe zatrzymali się przed gospodą Pod Złotą Koroną w Stoke-on-Trent na lekki lunch. Eleanor znów zjadła bardzo niewiele. Blake patrzył na jej usta, miękkie i różowe, zaciśnięte na śliwce. Naraz podniósł wzrok i napotkał spojrzenie jej piwnych oczu.

- Proszę wziąć jeszcze jedną. - Podsunął jej misę z owocami. - Są bardzo dobre.

- Dziękuję, ale nie. Już wystarczy.

Zauważył w jej spojrzeniu lekki niepokój oraz coś jeszcze, czego nie potrafił nazwać, i poruszył się na krześle, zadowolony, że fałdy obrusu opadają mu na kolana. Czyżby rzeczywiście ta kobieta zaczynała go podniecać? Widocznie takie są skutki celibatu, nawet kilkutygodniowego, pomyślał.

Drgnął, gdy Jonathan odchrząknął, i sam sięgnął do misy z owocami. Zauważył, że Eleanor również lekko drgnęła. No cóż, kobiety też miały popędy, a ktokolwiek twierdził inaczej, okrutnie się mylił. Eleanor jednak miała zbyt wiele godności i dystansu, by wyraźnie okazywać takie tęsknoty. Gdyby nie to, że przed chwilą zatracił się w jej wyrazistych oczach, niczego by nie zauważył. Pomyślał jednak, że powinien zachować ostrożność. Instytucja przyzwoitki chroniła zarówno niewinne dziewczęta przed drapieżnymi mężczyznami, jak i mężczyzn przed intrygami kobiet. Nie mógł wykluczyć, że Eleanor

miałaby ochotę zemścić się za śmierć brata, wciągając go w małżeńskie sidła.

Nie mogła się już doczekać, kiedy dotrą na miejsce i przestaną się trząść w powozie. Patrzyła przez okno. Dymiące kominy i ponure ulice w końcu ustąpiły i znów pojawiły się rozległe pola. Z drugiej strony powóz był znacznie wygodniejszy od dylizansu pocztowego, a Ellie nie śpieszyło się szczególnie, żeby odkryć, co czeka na nią w Lancashire.

Jakieś dwadzieścia minut po wyjeździe z miasta rozległ się głośny trzask i powóz, jadący pod górę, ostro skręcił. Przez chwilę wydawało jej się, że koło po prostu wpadło w koleinę, ale powóz przechylił się na bok i zaczął się zsuwać po zboczu. Woźnica krzyknął głośno. Polly przenikliwie zapiszczała. Naraz cały świat odwrócił się do góry nogami i Ellie zobaczyła przed sobą ciemność.

- Przestań krzyczeć! - warknął Blake i dziewczyna przyciśnięta do jego boku ucichła. Teraz słyszał tylko jej stłumione szlochy. Gdzie, do diabła, była Eleanor? Jej milczenie było gorsze niż panika pokojówki.

- Polly? Polly, posłuchaj mnie. Nie mogę się odwrócić, bo coś przygniata mi plecy. Czy możesz spojrzeć w górę? Widzisz drzwi?

- Tak. Tak, milordzie.

- Jesteś ranna? Czy możesz się poruszyć i wyjść?

- Boli... - jęknęła. - Nie mam niczego złamanego... chyba nie. Mogę spróbować. Milordzie, na pańskich plecach leży pan Wilton. Jest nieprzytomny i ma zakrwawioną głowę. - Znów pociągnęła nosem i jej głos zadrżał. - Spróbuję się spod niego

wydostać.

Blake zacisnął zęby, gdy poczuł stopę na policzku i ucisk na prawym ramieniu, które już i tak paliło żywym ogniem w miejscu, gdzie rana po kuli jeszcze dobrze się nie wygoiła. Potem usłyszał wołanie Polly.

- Jestem na zewnątrz, milordzie!

Rozległy się jakieś inne głosy. Pokojówka z kimś rozmawiała, a zatem wkrótce nadejdzie pomoc. Zmusił się do myślenia, co nie było łatwe, gdyż ciało Jonathana wciąż uciskało jego plecy. Zapewne zsunęli się po stromym zboczu o kilka metrów. Ale Eleanor...

Po chwili uświadomił sobie, że to coś miękkiego, na czym leży, to jej ciało. Leżeli wtuleni w siebie intymnie jak kochankowie, jego biodra przyciskały się do jej ud, jego pierś do jej piersi. Bogu dzięki, żyje i oddycha, pomyślał z nosem wciśniętym w jej pachnące lawendą włosy.

Pięknie pachnie. I żyje.

- Eleanor, nie martw się. Pomoc zaraz nadejdzie.

Przed chwilą sądził, że dziewczyna jest nieprzytomna, a potem nagle rzuciła się pod nim gwałtownie jak jeleni schwyty w sidła.

- Zejdź ze mnie! Zejdź natychmiast ze mnie! Zejdź! - krzyczała, rzucając się desperacko, jakby dopadł ją koszmar senny.

- Eleanor, to ja, Blake. Nie mogę. Przykro mi, ale musimy tak jeszcze przez chwilę pozostać. Leż spokojnie, zaraz nadejdzie pomoc.

Przez cały czas mówił do niej, powtarzał te same słowa pociechy, jakieś bzdury, a ona przez cały czas szamotała się. A potem nagle znieruchomiała ze szlochom wyczerpania.

- Nie mogę... - szepnęła. - Nie mogę się uwolnić...

- Nie musisz - odpowiedział i odkrył, że on również mówi szeptem. - Nie szarp się. Pomoc zaraz nadejdzie.

Ale czy na pewno? Na zewnątrz było zupełnie cicho. A jeśli Polly zemdląca? Albo Frederick, jego stangret, był poważnie ranny i nie mógł poszukać pomocy? Jeśli konie zginęły albo uciekły?

Uspokój się, powiedział sobie. To jest uczęszczany gościniec. Ktoś nas wkrótce znajdzie. Poruszył palcami, natrafił na jakąś drewnianą powierzchnię i uniósł się na łokciu o pół cala nad ciałem Eleanor.

- Obiecuję, że wkrótce stąd wyjdiesz.

Była napięta jak struna. Przypomniawszy sobie młodego zająca, którego znalazł kiedyś na polu pszenicy. Zając nie ruszał się i wyglądał jak martwy, ale patrzył na niego wielkimi oszalałymi oczami. Dopiero gdy Blake położył dłoń na jego ciele, poczuł szaleńcze bicie serca. Szybko cofnął dłoń i wycofał się w zboże. Teraz jednak nie mógł przestać dotykać Ellie i nie mógł w nieskończoność wisieć nad nią, oparty na łokciu.

- Blake - usłyszał nagle tuż przy uchu. - Co się, do diabła, stało?

- Jon! - zawołał z ulgą. - Spadliśmy ze zbocza. Polly udało się wyjść z powozu i słyszałem, że z kimś rozmawiała, ale od tej pory minęło już jakieś pół godziny. Eleanor jest uwięziona pod mną, a ja nie mogę się ruszyć.

- Nic dziwnego, bo ja leżę na tobie. Poczekaj chwilę. Ta cholerna torba wylądowała na moim brzuchu. Przepraszam, że to tak długo trwa. Chyba straciłem przytomność. Uderzyłem się w głowę.

Usłyszał sapanie, głośne przekleństwa i ciężar w końcu

zsunął się z jego pleców.

- Złamałem tę przeklętą rękę. Gdybym tylko mógł... przepraszam. - Stopa w ciężkim bucie wbiła się w policzek Blake'a. - Cholernie trudno to zrobić jedną ręką. No już, drzwi są otwarte.

Rozległo się jeszcze kilka przekleństw, po czym do wnętrza powozu wpadło światło.

- Możesz teraz wysiąść?

Blake poruszył się ostrożnie, przytrzymał czegoś i oderwał od Ellie. Powóz leżał na boku. Ellie miała pod sobą okno, które na szczęście było wcześniej otwarte, więc szkło się nie rozbiło. Wyciągnął rękę przez otwarte drzwi nad głowę, podźwignął się i wygramolił na zewnątrz. Jon wyglądał strasznie. Twarz miał bladą i zakrwawioną, głowę rozciętą, a lewą ręką podtrzymywał prawe ramię. Blake przyciągnął go bliżej i spojrzał mu w oczy. Bogu dzięki, źrenice reagowały normalnie.

- Nie jesteś ranny, Blake? - Jonathan patrzył na niego z jednakową troską.

- Nie, tylko potłuczony i podrapany. O wiele gorzej wyglądałem po sparingu u Jacksona. Mam tylko nadzieję, że Eleanor nic się nie stało. - Z głębi powozu nie dochodził żaden dźwięk. Blake pochylił się nad otwartymi drzwiami. - Eleanor?

Leżała tam, gdzie ją zostawił, na plecach. Oczy miała szeroko otwarte, na śmiertelnie bladej twarzy wyraźnie odcinały się piegi.

- Chyba nic mi nie jest - szepnęła.

- Spróbuj poruszyć rękami i nogami - zakomenderował, pewien, że musiała sobie coś złamać.

Posłusznie spełniła polecenie i usiadła.

- Nie mam nic złamanego.

- To weź mnie za rękę. - Położył się na boku powozu i wyciągnął dłoń do środka. - Chwyć mnie za rękę i wstań. - Za plecami usłyszał tętent koni i podniesione głosy. - Pomoc już jedzie.

Po chwili wahania wyciągnęła rękę. Pochwycił jej nadgarstek i pociągnął. Obolałe ciało zaprotestowało, udało jej się jednak wydostać z powozu i po chwili już stała na ziemi.

Gdy jednak Blake do niej podszedł, zemdląca.

Wszystko ją bolało. To była pierwsza rzecz, jaka dotarła do jej świadomości. Potem przypomniała sobie, co się zdarzyło. Wystraszyła się śmiertelnie, gdy zsuwali się po zboczach, a potem uderzyła o coś głową i to ją ogłuszyło. Gdy się ocknęła, miała na sobie ciężkie ciało mężczyzny, jego dłonie na ramionach, twarz przy swoim policzku, gorący oddech owiewał jej twarz.

Otworzyła oczy na światło dnia. Nad sobą zobaczyła sufit. Leżała na wygodnym łóżku i ktoś oprócz niej był w pokoju. Usiadła zbyt szybko i omal nie jęknęła na głos, gdy przeszył ją ból. Blake siedział na krześle przy drzwiach.

- Eleanor? - Twarz miał bladą i podrapaną. To on leżał na niej w powozie. Walczyła z nim, próbowała uderzać go pięściami, wyrywać się. Bóg jeden wie, co mu powiedziała.

- Przepraszam. Przepraszam, że cię uderzyłam. Panikowałam.

- Nie przepraszaj. - Podniósł się, ale zaraz znowu szybko usiadł. - Nie powinienem być w twoim pokoju, ale musiałem sprawdzić, czy nic ci nie jest. W powozie wpadłaś w panikę i to nie tylko z powodu wypadku. Również dlatego że leżał na tobie mężczyzna. Przepraszam, to musiało być dla ciebie okropne, ale nic nie mogłem na to poradzić, dopóki Jonathanowi nie udało się wydostać na zewnątrz.

Potrząsnęła głową.

- To nie ma znaczenia.

- Ależ ma. Przestraszyłem cię. Kto to był, Eleanor? Kto tak wystraszył dziewczynę tak dzielną jak ty?

Skrzywiła się na te słowa. Uważał, że jest dzielna? Jakże niewiele wiedział. Potrafiła tylko się pozbierać, gdy już było po wszystkim, i kuśtykać dalej.

- Nikt.

Blake niecierpliwie machnął ręką. To był gest mężczyzny, który zwykle stawia na swoim i gdy zadaje pytanie, otrzymuje od razu odpowiedź. Zauważyła, że przyłapał się na tym, po czym ostrożnie splótł palce i znowu usiadł, starając się niczym jej nie niepokoić.

- Odsuwasz się odruchowo, gdy mężczyzna cię dotyka - powiedział neutralnym tonem, jakby opisywał widok z okna. - W pokoju zajmujesz zawsze takie miejsce, żeby mieć otwartą drogę ucieczki. Na noc zamykasz drzwi na klucz, nawet jeśli dzielisz sypialnię z pokojówką. Wpadłaś w przerażenie, gdy poczułaś na sobie moje ciało. Zdawało się, że straciłaś nad sobą kontrolę. Kto to był?

Ellie oblała się gorącym rumieńcem.

- Nikt. Po prostu nie przywykłam do towarzystwa mężczyzn, to wszystko. Nie chcę o tym rozmawiać.

Słyszała, że wstał i podszedł do drzwi, ale nie spojrzała na niego. Leżała z płonąca twarzą odwróconą do ściany.

- Naturalnie. Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że obydwaj, Jonathan i ja, uważalibyśmy się za niegodnych miana mężczyzny, gdybyśmy kiedykolwiek próbowali przymusić do czegokolwiek kobietę - powiedział klinicznie chłodnym tonem.

- Oczywiście. - Znow usiadła i znow zrobiła to zbyt szybko. -

Nawet mi nie przyszło do głowy, że... Ale nie zawsze kontroluję swoje reakcje. Przepraszam. To jak z pająkiem. Wiele kobiet ucieka na widok pająka, choć wiedzą, że pająki są nieszkodliwe.

Uśmiechnął się krzywo. Staął przed oknem i teraz widziała wyraźnie jego podrapaną i posiniaczoną twarz.

- Ty nie jesteś ranny? A Polly? Pan Wilton?

- Polly nic się nie stało, jest tylko przestraszona i posiniaczona. Mnie bardziej zaszkodziło to, że Jonathan stanął mi na twarzy, niż sam wypadek. On z kolei ma złamaną rękę i w odróżnieniu od pająka, ma tylko cztery kończyny, a pisać potrafi tylko jedną. Nie sposób powstrzymać się od myśli, że sumienny sekretarz powinien sobie złamać lewą rękę...

Z tymi słowami zniknął i zamknął za sobą drzwi, zanim zdążyła sobie uświadomić, że tylko żartował i że życiu Jonathana nic nie zagraża.

Niewiele brakowało, a opowiedziałaby mu o tamtej okropnej, upokarzającej nocy. Ona sama nie zrobiła nic, czego powinna się wstydić, wiedziała o tym, ale w niczym jej to nie pomagało. Powtarzała sobie przez cały czas, że jej jedyną winą było to, że w miesiącach przed śmiercią matki zaczęła nabierać kobiecych kształtów. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by jakoś je ukrywać, oprócz tego, że ubierała się skromnie i stosownie do pozycji córki dżentelmena.

Wiedziała, że nie była prowokująca, nie próbowała kusić i o nic się nie prosiła, choć wszystkie te rzeczy zarzucił jej ojczym, gdy próbowała mu się wyrywać. Dlaczego ta świadomość nie pozwoliła jej zignorować jego słów?

Oprócz zamykania drzwi na klucz, barykadowania ich oraz noża do obrony jedyne, co mogła zrobić, to stracić te kobiece kształty. Zawsze była wysoka i szczupła, nigdy nie uchodziła za

ładną. Jadła więc bardzo niewiele i stała się po prostu chuda, a jej twarz przez to zaczęła wyglądać jeszcze bardziej przeciętnie. Głód nie był wielką ceną za to, by stać się nieatrakcyjną dla wszelkich drapieżnych oprawców.

Usiadła i odrzuciła kołdry. Czas wstać i oszacować straty. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Pokuśtykała w ich stronę, krzywiąc się z bólu, ale zaraz zawróciła i stanęła przy komodzie. Tu nie było żadnych oprawców. Przy tych mężczyznach nic jej nie groziło. Jonathan był przyzwoitym człowiekiem, a Blake w przedziwny sposób dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

Spojrzała w lustro. Zadrapanie na nosie, siniak na podbródku i ciemne kręgi pod oczami. Jedyne zagrożenie polegało na tym, że jej głupie marzenia mogą się obrócić w popiół.

- Oczywiście, że mogę jechać dalej - powiedział Jonathan znacznie głośniejszym głosem niż zwykle.

Jak na człowieka oszołomionego laudanum w chwilę po operacji nastawienia ręki Jonathan wydawał się znacznie żywszy niż Blake. Blake skrzywił się, bo przez cały czas łomotało mu w głowie, jakby ktoś uderzał w skronie wielkim młotem. Nawet noc spędzona w wygodnej gospodzie niewiele pomogła.

- Zostań tutaj, a ja zawiozę Eleanor do Lancashire. Musisz odpocząć. Słyszałeś, co mówił lekarz.

- Po co masz tam jechać w takim pośpiechu? Eleanor też nic się nie stanie, jeśli kilka dni zostanie tutaj.

- Jest damą i nie powinna pozostawać w gospodzie z dwoma niespokrewnionymi z nią mężczyznami.

- Spędziła z nami już tyle czasu, że w oczach towarzystwa jej

opinia byłaby zupełnie zrujnowana.

- Masz ochotę się z nią ożenić?

Jonathan, który leżał na plecach na sofie w prywatnym saloniku, otworzył oczy i przeszył Blake'a twardym spojrzeniem.

- Nie.

- Tak samo jak ja. Przeciętnej urody stare panny nie są dla żadnego z nas. Zawiozę ją do Lancashire, a ty odpoczniesz. Wróć tutaj i pojedziemy do domu. Zanim wyjadę, muszę ci znaleźć pokojowego, bo w tym stanie sam nie włożysz nawet spodni.

Jon otworzył usta, żeby mu się przeciwstawić - był uparty jak diabli i wiecznie się z nim sprzeczał - ale jego wzrok przesunął się na drzwi.

- Blake...

Blake odwrócił się i zobaczył w progu Eleanor. Podrapane dłonie miała splecione i schowane w fałdach zniszczonej czarnej spódnicy.

Och, do diabła! - zaklął w duchu. Ciekawe, ile zdążyła usłyszeć...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jeśli nawet Eleanor usłyszała jego uwagę o starych pannach, nie pokazała tego po sobie. Wyraz twarzy miała obojętny, a ton rzeczowy.

Blake wypuścił wstrzymywany oddech. A niech to! Nie chciał urazić jej uczuć, po prostu wolałby, żeby zniknęła mu z oczu i przestała mącić w głowie. Po katastrofie, jaką okazały się jego jedyne dotychczas oświadczenia, obiecał sobie, że będzie prowadził wszystkie sprawy związane z kobietami jak najprościej. Oznaczało to, że ograniczał się do kochanek, które wiedziały, co robią, i miały wobec niego bardzo jasne oczekiwania. W związku nie życzył sobie żadnych uczuć. Powodowały tylko komplikacje, których za wszelką cenę chciał uniknąć.

Felicity zawsze była przy nim, a w każdym razie tak zakładał. Uważał, że nie może jej stracić i nigdy nie zastanawiał się nad uczuciami. Ale stracił tę miłość, zanim ją posiadał. Od tamtej pory łatwiej i bezpieczniej było nic nie czuć i nie pozwalać, by jego szczęście zależało od drugiej osoby.

Wrócił myślami do teraźniejszości. Eleanor z pochyloną głową i troską na twarzy podeszła do Jonathana i niczym nieco obszarpany anioł opiekuńczy zapytała cicho, czy potrzebuje więcej laudanum albo może coś do picia.

- Muszę wyjść i poszukać Jonathanowi tymczasowego pokojowego - przypomniał sobie Blake. - Czy mógłbym zabrać ze sobą Polly? Pomoże mi w zakupach. Trzeba wymienić rzeczy,

które zostały zniszczone w wypadku.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Eleanor, nie podnosząc głowy. - Mówiła dziś rano, że czuje się już dobrze, ale proszę dopilnować, żeby się nie przemęczała.

Blake poszedł poszukać pokojówki, rozmyślając po drodze o tym, że jego wygodne życie wywróciło się do góry nogami i to głównie przez Lyttonów. Skandal w klubie - chociaż o to nie do końca mógł winić Lyttona - to była jego własna wina. Potem mnóstwo nudnej i wymagającej taktu pracy przy dochodzeniu i organizowaniu pogrzebu, a na koniec pozwolił się namówić na podróż przez cały kraj. Mógł po prostu wypożyczyć Eleanor swój powóz i zapewnić jej eskortę, ale wiedział, dlaczego tego nie zrobił. Nie był to poryw galanterii, po prostu sumienie przypomniało mu, że zdarza mu się czasem w życiu zawieść czyjeś zaufanie i dotyczyło to również tej kobiety. Czuł wobec niej obowiązek jako dżentelmen ma wobec damy w kłopotach.

- Milordzie? - Polly na jego widok zatrzymała się pośrodku korytarza. - Czy szukał mnie pan?

- Tak. Jak się czujesz? Czy nie powinnaś odpoczywać?

- Jestem tylko trochę poobijana, milordzie, dziękuję. Lepiej jest, kiedy się ruszam, bo wtedy nie sztywnieję.

- W takim razie chciałbym, żebyś poszła ze mną na zakupy. Trzeba wymienić ubrania zniszczone podczas wypadku. Panna Lytton powiedziała, że może się na razie bez ciebie obejść, o ile czujesz się na siłach mi towarzyszyć. Oczywiście kupimy też rzeczy dla ciebie.

Pokojówka uśmiechnęła się szeroko.

- Och, dziękuję, milordzie. Pójdę tylko po płaszcz.

Ellie w końcu udało się skończyć rozdział o zbiorze daktyli,

wyciągnąć Oscara z kanału nawadniającego i teraz szkicowała plan kilku następnych rozdziałów. Pustynia była zbyt kusząca i natychmiast nasuwała jej przed oczy obrazy jeźdźców w białych szatach, przemierzających wydmy. Pomyślała, że lepiej będzie wysłać Oscara do Egiptu łodzią wzdłuż wybrzeża. O Egipcie można było napisać mnóstwo, nie wspominając ani razu o palmach daktylowych. Piramidy, świątynie, Nil, malowidła faraonów z nagą pierśią, długonogich i czarnowłosych... Och, przestań! – powiedziała sobie. – Zanutuj ten pomysł i zajmij się Oscarem.

- Panno Lytton, już wróciłam. - Polly weszła do pokoju obładowana paczkami, a za nią służący z gospody, który niósł kolejne pakunki. - Zaniosę to do pani pokoju.

Dziesięć minut później wróciła.

- Jego lordowska mość kupił mi nową sukienkę, panno Lytton, chociaż powiedziałam, że mogę pozszywać rozdarcia w tej starej. Kupił mi wszystko... - Ściszyła głos. - Włącznie z... no cóż, powiedział, że mam kupić każdą warstwę, bo nie chciał wypowiadać słowa „bielizna”, rozumie pani.

- To bardzo miło z jego strony - odrzekła Ellie nieobecny głosem, wciąż myśląc o Oscarze. Poprzedni dzień był dla Polly bardzo nieprzyjemny, toteż Blake ładnie się zachował, robiąc jej prezent.

- Rozpakowałam już pani rzeczy.

- Moje? - Ellie odłożyła pióro. - Jakie rzeczy?

- Są na łóżku. Bardzo ładne. Najlepsze, jakie udało nam się znaleźć w tym miasteczku. Oczywiście, to nie jest standard londyński, ale...

Zawiesiła głos, gdy Ellie wstała i przeszła do sypialni. Na łóżku leżała prosta spacerowa suknia ze złocistobrazowej wełny

i do kompletu nieco ciemniejszy spencer. A także, jak określiła to Polly, wszystkie warstwy - cała sterta białego płótna i bawełny. Nawet pończochy.

Mężczyzna zapłacił za jej bieliznę. Ten mężczyzna.

Obok halki leżały jeszcze rękawiczki i kapelusz - porządny, prosty słomkowy kapelusz ze złocistobrązową atłasową wstążką, skromny i przyzwoity pomimo oburzającego faktu, że został kupiony przez mężczyznę.

- Polly, jestem w żałobie. A to - wskazała na suknię - jest brązowe. I to nawet nie jest ciemny brąz.

- Jego lordowska mość powiedział, że nie kupimy nic czarnego, panno Lytton. I że we fiolecie nie będzie pani do twarzy.

- Naprawdę tak powiedział?

Sięgnęła po suknię i omal nie jęknęła z zachwytu, gdy jej palce dotknęły miękkiej, dobrej jakości tkaniny. Zaraz jednak zacisnęła zęby i pomaszerowała do bawialni, ignorując szarpiący ból w nodze.

- Gdzie on jest?

- Szukałaś mnie? - Blake otworzył drzwi i oparł się ramieniem o framugę. - To dobrze. Wydawało mi się, że ten kolor będzie pasował do twoich włosów, a także do piegów.

- Moje piegi nie mają z tym nic wspólnego. - Mogła być pewna, że on natychmiast wytknie jej największe niedostatki urody. - Jestem w żałobie. Mój brat niedawno zginął. A to jest brązowe. Złocisty brąz.

- Twój przybrany brat - poprawił ją Blake. - I tutaj nikt o tym nie wie. Ja z drugiej strony muszę dbać o swoją reputację. Nie mogę się pokazywać z tobą, gdy nosisz ten straszny czarny strój. Wyglądasz w tym jak wyliniała wrona podczas burzy.

Próbował się z nią drażnić. Widziała, że z trudem powstrzymuje śmiech i w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- Wyliniała wrona? Wrona? - powtórzyła z oburzeniem.

- To przez tę czarną suknię - odrzekł Blake z niezmaconym spokojem, choć rozwścieczona kobieta potrząsała mu pod nosem pięścią, w której zaciskała brązową suknię. - Nie chciałem powiedzieć, że to ty wyglądasz jak wrona... Bez tej czarnej sukni...

Błysk w jego oku świadczył, że ten komentarz miał podwójne dno. Widocznie miał ochotę zadrwić sobie również z jej chudości. Ale przecież była damą, choć w tej chwili zapragnęła zrugać go jak żona rybaka.

- Nic na to nie poradzę, że noszę tę suknię. Musiałam ją przefarbować. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby kupować stroje żałobne przy każdej okazji, tak jak niektóre damy z towarzystwa.

- Wiem o tym i właśnie dlatego kupiłem ci tę suknię.

Zabrzmiało to zupełnie rozsądnie, ale tylko w pierwszej chwili.

- Nie mogę pozwolić, żeby mężczyzna, który nie jest moim krewnym, kupował mi ubrania, a już z pewnością nie bieliznę. To nie jest przyzwoite.

- Wydawało mi się, że ta bielizna jest aż za bardzo przyzwoita, prawie jak u kwaków, ale Polly upierała się, że właśnie takie rzeczy nosisz.

Wciąż stał oparty o drzwi, wysoki, dominujący i ogromnie denerwujący. Ciekawe, jak on by zareagował, gdyby kupiła mu kalesony... Oczywiście, o ile w ogóle nosił kalesony.

- Dlaczego się rumienisz?

- A jak sądzisz? - Odepchnęła od siebie obraz Blake'a w białych bawełnianych kalesonach zsuniętych nisko na podbrzuszu. - Poszedłeś do sklepu i dyskutowałeś z Polly na temat moich... Nawet nie chcę sobie tego wyobrazić!

- Dobrze, w takim razie nie wyobrażaj sobie, tylko po prostu włóż te rzeczy.

Coś w jego twarzy powiedziało jej, że Blake w tej chwili zastanawia się, jaką bieliznę ona ma na sobie. Musiał być nienasyconym libertynem, skoro podniecała go myśl o bieliźnie na jej kościstym, zwykłym i nieatrakcyjnym ciele starej panny. Owszem, słyszała jego rozmowę z Jonathanem w całości, ale duma nie pozwalała jej rzucić mu tych słów w twarz. Miała ochotę udusić go jedną z tych pończoch, które leżały ładnie złożone na łóżku.

- Dziękuję. Oczywiście zwrócę potem cały ten strój.

- Proszę nie mówić głupstw, panno Lytton. Cóż miałbym począć ze stertą kobiecych ubrań?

Spojrzała na brązową suknię, a potem na czarną spódnicę, którą miała na sobie. Miał rację, ten strój żałobny był okropny i wiedziała, że nie przydaje jej urody.

- Dziękuję, milordzie. Przyjmuję ten prezent z głęboką wdzięcznością. Dziękuję również za to, że kupił pan rzeczy dla Polly.

Brzmiało to jak słowa nadęsanego dziecka, które rodzice zmusili, by podziękowało komuś za niechciany prezent. Blake sobie na to nie zasłużył.

- Przepraszam, nie chciałam być niewdzięczna - dodała. - To piękna suknia i doskonale rozumiem, dlaczego zechciał mi ją pan kupić.

Jej uśmiech przybladł, gdy Blake popatrzył na nią z twarzą

bez wyrazu.

- Zawstydzła mnie pani wdzięczność, panno Lytton. I zdumiewa mnie to, że potrafi pani przeniknąć moje motyw. Zwykle sam siebie nie rozumiem.

- Nie zamierzałam pana zawstydząć, milordzie.

- Teraz znów jestem milordem? - spytał z rozbawieniem, które ociepliło wyraz jego twarzy. Łatwo było go polubić, w każdym razie dopóki nie przypomniawszy sobie, jak oburzająco zachował się w klubie i co mówił o jej braku urody. - To bardzo stosowne, Eleanor. Możesz mnie tytułować, ile zechcesz, pod warunkiem że będziesz nosić prezent ode mnie. - Przesunął płasko dłoń po fałdach sukienki, którą wciąż trzymała w rękach.

- Czy pan kiedykolwiek zachowuje się poważnie, milordzie? - zapytała z desperacją.

- Poważnie? Ależ tak, Eleanor. Przez cały czas jestem poważny. - W jego uśmiechu pojawił się odcień goryczy. Nie dodał nic więcej, a ona odniosła dziwne wrażenie, że ujawnił coś, czego nie chciał pokazywać. Ten człowiek składał się z warstw, pomyślała, albo raczej z pudełek.

- Proszę mi teraz wybaczyć, ale pójdę sprawdzić, czy Jonathan niczego nie potrzebuje - powiedziała Ellie krótko. - Czy znalazł pan dla niego pokojowego?

- Okazało się, że bratanek oberżysty obsługuje dżentelmenów, którzy się tu zatrzymują. Zgodził się zaglądać do Jonathana regularnie i sprawdzać, czy czegoś mu nie potrzeba. Inna sprawa, czy zdoła dopilnować, żeby Jonathan został w łóżku i wypoczywał.

Ellie zaniósła suknię do sypialni. Polly zdążyła już pochować wszystkie nowe ubrania do kufra. Najwyraźniej dziewczyna nie

miała wątpliwości, kto wyjdzie górą z tej utarczki.

- Powiedziałem przecież: wpół do dziewiątej. - Blake stał z jedną nogą na schodku powozu i dłonią w rękawiczce wystukiwał rytm na lakierowanych drzwiach.

- Jest wpół do dziewiątej - odrzekła Ellie. - Proszę posłuchać, właśnie bije zegar na wieży kościoła.

- Więc gdzie się podziewa Polly? Dlaczego jeszcze jej nie ma?
- Zmarszczył brwi i podniósł wzrok na okna pokoju. - Czyżby po tym wypadku zaczęła się obawiać jazdy powozem?

- Zaraz tu będzie. Gdyby zechciał pan pomóc mi wsiąść...

Blake podał jej rękę, ale sam wciąż stał obok powozu.

- Nie chciałbym, żebyś czuła się nieswojo ze mną w tak ciasnej przestrzeni.

- W pełni ufam, że nie jest pan gwałcicielem, milordzie.

Warto było zmusić się do wypowiedzenia tego słowa, by zobaczyć, jak jego usta otwierają się ze zdziwienia. Szybko jednak zapanował nad sobą.

- Zdaję sobie sprawę, że czasami odruchowo się kurczę, gdy znajdę się zbyt blisko mężczyzny, ale jak już wspominałam, to jest podobne do lęku przed pajakami - zupełnie irracjonalne. Zachowuję się tak przy wszystkich, nawet przy tych, którym mogę ufać.

Oczywiście gdyby częściej przebywała w towarzystwie mężczyzn, lepiej potrafiłaby odróżniać bezpiecznych od niebezpiecznych i łatwiej byłoby jej opanować ten odruch.

Tak jak miała nadzieję, zapomniał o Polly i usiadł obok niej. Po chwili nadbiegła pokojówka, zatrzaśnięto drzwi i stangret ruszył.

- Jest wielka różnica między atakiem na kobietę

a skorzystaniem z zaproszenia i pewnych możliwości - powiedział Blake, patrząc na nią z ostrożnym zaciekawieniem.

- Jest też wielka różnica między morderstwem z zimną krwią a tym, co mogłabym zrobić panu moim scyzorykiem, gdyby pan czegoś spróbował - odrzekła Ellie słodko. - A jeśli przez „zaproszenie” rozumie pan przelotny flirt albo rumieniec, to wydaje mi się, że ta podróż znużyła pana bardziej niż mnie.

Blake odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem. Śmiał się tak mocno i szczerze, że z oczu popłynęły mu łzy.

- Droga Eleanor, jesteś jak powiew świeżego powietrza. Jeśli niebezpiecznie zbliżę się do granicy, to wystarczy, że zaczniesz temperować ołówek i już będę grzeczny.

- I znowu się pan ze mną drażni.

Ellie udało się jakimś cudem nie roześmiać. Nie wypadało, by dama tarzała się po powozie, śmiejąc się w głos.

- Naprawdę? Dlaczego jesteś taka pewna? - zapytał i w jego oczach znów pojawił się wesoły błysk.

Omam nie powiedziała na głos czegoś o przeciętnej urody starych pannach, ale w porę ugryzła się w język.

- Kobieca intuicja - odrzekła i pochyliła się nad książką.

Dwie godziny później oczy już ją bolały od czytania, a noga od długiego siedzenia w jednej pozycji. Słońce świeciło jasno i nagie wzgórza przedstawiały intrygujący widok.

- Chciałabym rozprostować nogi. Czy mamy czas na krótki postój?

Blake wyjrzał przez okno i popatrzył na otwartą przestrzeń. Wzgórza były zupełnie nagie, tylko tu i ówdzie porośnięte niewysokimi krzewami.

- Nie sądzę, żeby...

- To nie był eufemizm - oświadczyła Ellie sztywno. - Naprawdę chciałabym rozprostować nogi.

- Tu jest bardzo nierówno - odrzekł ze skrepowaniem.

- Niepokoi się pan o moją nogę? Kość nie została dobrze złożona. Nie mam chorego stawu ani niczego w tym rodzaju. Utykam, ale to nie jest bolesne. - Noga bolała ją przy wilgotnej pogodzie i utykanie było męczące, ale to w tej chwili nie było istotne.

- Jesteś pewna? - Wzruszył ramionami i postukał w dach powozu. - Możemy podejść na to zbocze. Wydaje mi się, że stamtąd jest ładny widok.

Polly wydawała się tak przerażona myślą o spacerze po nierównym terenie, że zostawili ją w powozie.

- Podoba mi się tutaj - powiedziała Ellie kilka minut później. Przysiadła na zwalonej kłodzie drewna i rozejrzała się. - Powietrze jest tu cudownie czyste w porównaniu z Londynem. Proszę posłuchać, to głos bekasa. Jest dziki i wolny.

Blake wskazał na niewielkie wzgórze.

- Stamtąd powinniśmy zobaczyć dolinę. Idziemy?

Bardzo przyjemny spacer, pomyślała Ellie, idąc obok Blake'a. Nie wspominał o jej nodze, ale szedł na tyle wolno, że mogła za nim nadążyć, nie upierał się też, by przez cały czas o czymś rozmawiali. Mogła podziwiać widoki, słuchać śpiewu ptaków i patrzeć na jego szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi.

Za niskim ogrodzeniem zaczynało się pastwisko. Blake wyciągnął rękę, żeby pomóc jej przejść, pomyślała jednak, że zrobiłby to dla każdej damy, która by mu towarzyszyła.

Zatrzymali się pośrodku pastwiska.

- Tak myślałem - oznajmił Blake. - Słońce oświetla zbocze i kolory są bardzo żywe. W takich chwilach żałuję, że nie

umiem malować.

- Blake?

- Hm? - mruknął, wpatrując się w horyzont. - To chyba myszołów.

- Blake. W rogu tego pastwiska jest byk.

Byk był niski, krótkonogi, o masywnym karku, szerokiej piersi i rogach sterczących pod niebezpiecznym kątem. W dodatku zaczynał nerwowo przebierać nogami po murawie.

- Nie martw się. Kiedy byk jest sam, nie jest groźny, bo nie ma czego bronić - powiedział Blake, nie odwracając się.

- Ale krowy są w przeciwnym w rogu, w tamtym zagłębieniu, a my stoimy w samym środku i ten byk nie wydaje się zadowolony. Blake! Uciekaj!

Blake rozejrzał się, zaklął i wyciągnął do niej rękę. Przerzucił ją sobie przez ramię i zaczął biec. Za nimi rozlegało się dudnienie kopyt i prychanie rozzłoszczonego zwierzęcia. Ellie, wisząc głową w dół, widziała tylko nierówną trawę i poruszające się nogi Blake'a. Gdyby się potknął, byk by ich stratował.

- Trzymaj się mocno. - Obróciła się odruchowo i znalazła się po drugiej stronie. Blake przerzucił nad ogrodzeniem jedną nogę. Już prawie byli bezpieczni.

- Jest za tobą! - wrzasnęła.

Nie tracił czasu na oglądanie się przez ramię. Byk był tak blisko, że zapewne czuł jego oddech na plecach. Przeskoczył ogrodzenie i wylądował na niej. Obydwoje upadli i Ellie znalazła się pod nim. Znowu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Już drugi raz tak na niej leżał i znów zdumiewało go, jak bardzo kobiece jest jej ciało. Ale tym razem nie był już na wpół ogłuszony, wstrząśnięty i zdezorientowany. Teraz dokładnie wiedział, kim jest i gdzie się znajduje, i czuł, jak krew mocno dudni mu w żyłach. W ostatniej chwili udało im się uciec przed rozjuszonym zwierzęciem. Zareagował instynktownie, przerzucił sobie Eleanor przez ramię niczym wiking i co sił w nogach popędził przed siebie.

Spojrzał na nią. Jej twarz pod piegami była bardzo blada, kapelusz zniknął, włosy wysunęły się ze spinek. Oczy miała szeroko otwarte, usta rozchylone, pierś unosiła się w szybkim oddechu. Instynktownie obrócił się na plecy, pociągając ją za sobą. Teraz leżała na nim. Mogła wymierzyć mu cios kolaniem w krocze albo stoczyć się z niego i zostawić go tu, albo...

Zamrugnęła i przesunęła koniuszkiem języka po wargach. Patrzyła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Nogami obejmował jej biodra, przyciskając ją do siebie akurat w najbardziej kluczowym miejscu, i zmuszał się, by leżeć nieruchomo – tak nieruchomo, że czuł bicie własnego serca, a także bicie jej serca, bo jej drobne urocze piersi wciąż przyciskały się do jego ciała. Pomyślał niejasno, że hiszpańska inkwizycja miałaby z niej wielki pożytek, bo w tej chwili gotów byłby przyznać się do wszystkiego, wyznać co do jednego swoje najgłębsze i najmroczniejsze sekrety, byle tylko zechciała pozostać tu, gdzie była, i nadal owiewać jego twarz ciepłym

oddechem. Czuł w tym oddechu zapach dzikiej mięty, którą zerwała po drodze.

Westchnęła cicho i opuściła powieki. Blake oparł dłoń na jej głowie, pociągnął ją w dół i pocałował. Smakowała miętą i herbatą. Westchnęła, gdy ich usta się spotkały. Blake skorzystał z tego i wsunął język między jej wargi. Poczuł jej zdziwienie i niemal potrafił odczytać jej myśli: ugryźć czy uciekać? Zaraz jednak rozluźniła się, rozchyliła usta i zaczęła odwzajemniać pocałunki.

Była niepewna siebie i wyraźnie niewprawna. Pewnie nikt jej dotychczas nie całował. Blake jednak uznał, że to najbardziej erotyczny pocałunek w jego życiu, niewinny, szczodry i pełen ciekawości. Gdy już był pewien, że i Eleanor jest chętna, nie przerywając pocałunku, znów się obrócił tak, że znalazła się na dole. Objęła go ramionami i uniosła wyżej głowę.

Wiedział, że musi za chwilę przerwać ten pocałunek. Był podniecony do granic bólu, a nie śmiał posunąć się dalej. Wiedział, co by się stało, gdyby pozwolił sobie dotknąć jej ciała, a ona przecież nie była śmiałą wiejską dziewczyną, która tarza się ze świniopasem w wysokiej trawie.

Zsunął się z jej ciała, usiadł na ziemi z kolanami podciągniętymi pod brodę i oparł na nich czoło, czekając, aż jego ciało ochłonie. Ze strony Eleanor dobiegł cichy dźwięk. Gwałtownie poderwał głowę, obawiając się, że to szloch. Ona jednak leżała nieruchomo na plecach i patrzyła w niebo. Usta miała nieco nabrzmięte i zaczerwienione i lekko się uśmiechała. Blake nie wiedział, który święty jest patronem lekkomyślnych mężczyzn, ale podziękował mu w duchu.

- Jak sądzisz, gdzie są nasze kapelusze? - zapytała. - Może byk je zjadł.

- Twój jest tam. Ale Bóg jeden wie, gdzie się podział mój - odrzekł Blake, rozglądając się po wygniecionej trawie. Byk wciąż patrzył na nich przez drągi ogrodzenia. Zapewne dochodził właśnie do wniosku, że lepiej poprzestać na jałówkach.

- Zachowałeś się wspaniale - powiedziała Eleanor poważnie i usiadła.

- Cóż, ja bym tak tego nie nazwał.

W końcu była niedoświadczoną dziewicą i to był jej pierwszy pocałunek.

- Mówię o tym, że podniosłeś mnie i uciekłeś. Wiem, że jestem chuda, ale też całkiem wysoka i pewnie sporo ważę.

- Absolutnie nie. Poza tym w takiej chwili człowiek doznaje przyływu sił. - Blake skromnie wzruszył ramionami, próbując nie okazać rozczarowania tym, że nie wspomniała o pocałunku.

- Wydaje mi się, że niebezpieczeństwo jest też afrodyzjakiem - powiedziała poważnie, wypowiadając słowo „afrodyzjak” tak spokojnie, jakby mówiła „kartofel”. - I dlatego mnie pocałowałeś.

- To nie miało nic wspólnego z niebezpieczeństwem - stwierdził Blake stanowczo. - Mieliśmy ochotę na pocałunek i to wszystko.

- Doprawdy, milordzie. Jestem zupełnie zwyczajna i nie należę do kobiet, które mężczyźni chcieliby całować, chyba że w chwili ulgi po ucieczce przed bykiem. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Podniosła się i otrzepała spódnicę, a widząc, że on się nie porusza, sięgnęła po swój kapelusz i zrzuciła z niego źdźbła trawy.

- To było bardzo interesujące.

- Eleanor, mam ochotę, żeby cię pocałować, nie tylko w chwili niebezpieczeństwa. - Podniósł się wreszcie. Ta rozmowa w każdym razie ostudziła jego podniecenie.

- Ale ja...

- Mężczyźni mają ochotę całować nie tylko konwencjonalne piękności - oznajmił i pomyślał, że brzmi jak pompatyczny osioł. Byk wciąż się w niego wpatrywał, śliniąc się trochę. Jak na okaz męskiej siły miał nedorzecznie długie rzęsy.

- Jesteś bardzo miły, ale dziękuję. I co zamierzasz teraz zrobić?

Co? Przez umysł Blake'a przebiegły wizje oświadczyń. Czego mogłaby oczekiwać godna szacunku kobieta po takim epizodzie? Naturalnie tego, że zrobi, co trzeba. Co ja narobiłem, pomyślał. Wystarczy na chwilę stracić nad sobą kontrolę i już się kogoś rani.

Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby nie rozumiała angielskiego.

- Chcesz iść dalej czy będziemy już wracać?

- Wracamy.

Znów rozejrzał się za swoim kapeluszem. Leżał na trawie, pognieciony. Przed chwilą uciekli przed niebezpiecznym bykiem i pocałował Eleanor. Prawdę mówiąc, tarzał się z nią w trawie. Była zupełnie niedoświadczona, a jednak miała o tym do powiedzenia tylko tyle, że to było interesujące. Ta kobieta była absolutnie niezwykła. Ale w każdym razie nie wydawało się, by czegoś od niego oczekiwała.

Podąła mu swój kapelusz, zgarnęła potargane włosy obiema rękami, zwinęła je w węzeł i nasadziła kapelusz na wierzch.

- Moje włosy żyją własnym życiem - mruknęła.

- Obetnij je - zasugerował Blake, ruszając w kierunku

powozu.

- Obcinam. To znaczy końcówki, żeby je wyrównać.

- Nie. Obetnij je całkiem krótko, wtedy będą tworzyć małe loczki, urocze i bardzo modne.

Eleanor zerknęła na niego z ukosa, jakby sądziła, że próbuje się z nią drażnić albo zupełnie zwariował.

- Pewnie wtedy nie sprawiałyby mi tyle kłopotów - powiedziała z powątpiewaniem. - Widać już powóz.

Ruszyła szybciej i utykanie stało się wyraźniejsze. Blake przyspieszył i zdążył otworzyć przed nią drzwi.

- O co chodzi? - zapytała po dłuższej chwili. - Dlaczego tak na mnie patrzysz? Czy mam plamę z trawy na spódnicy?

- Nie. - Blake powściągnął chęć, by zdjąć z jej spódnicy zgniecioną stokrotkę. Zastanawiał się, jak nazwać to uczucie, które Eleanor w nim wzbudzała. Czuła się przy nim zupełnie swobodnie, ale to było zrozumiałe. Niewinna Eleanor dzieliła mężczyzn na potencjalnych gwałcicieli i dżentelmenów. Jego uznała za dżentelmena, a zatem czuła się przy nim bezpiecznie. Co do niego, chyba po raz pierwszy w życiu znalazł się w towarzystwie dobrze urodzonej kobiety, która nie próbowała zastawiać na niego sideł, nie udawała, że jest zakochana i nie miała wobec niego żadnych oczekiwań. To było niezwykle odświeżające.

Popatrzyła na niego z głową przechyloną na bok, zastanawiając się najwyraźniej, co się z nim dzieje. On sam również się nad tym zastanawiał. Jeszcze w zeszłym miesiącu doskonale wiedział, kim jest i co robi. A teraz znajdował się o wiele mil od Londynu w towarzystwie niezwyklej i niedorzecznie pociągającej kobiety, za którą jak ostatni idiota wziął odpowiedzialność.

Pomyślał, że musiał chyba zupełnie zwariować.

Spojrzenie Blake'a w końcu stało się skupione i z jego twarzy zniknęło oszołomienie. Ellen poczuła ulgę, bowiem zastanawiała się już, czy nie doznał wstrząśnienia mózgu, choć nie widziała, by uderzył się w głowę. A może to był szok? Ale taki duży i silny mężczyzna jak on nie doznałby szoku z powodu zwykłego byka, zwłaszcza że udało im się uciec przed niebezpieczeństwem.

Może po prostu martwił się o Jonathana i o stan swoich londyńskich interesów podczas tak długiej nieobecności. Patrzyła na jego dużą dłoń spoczywającą na kolanie i myślała o rzeczach, o których nie powinna myśleć. Ten pocałunek niezmiernie się różnił od koszmaru, który przeżyła w swojej sypialni. Właśnie tak powinny wyglądać sprawy między mężczyzną a dojrzałą kobietą. Oczywiście ze strony Blake'a była to tylko chwila szaleństwa. Pocałowałaby każdą kobietę, która znalazłaby się pod nim. Mimo to puls wciąż miała przyspieszony. Zamierzała to wszystko opisać, zachować te doznania, dopóki jeszcze były żywe w jej wyobraźni. Zasuszyć je jak kwiat lawendy po to, by mogła je wyciągać w zimowe wieczory i przypominać sobie tę jedną cudowną chwilę.

Następnego dnia wieczorem będzie już w swoim nowym domu w Lancashire i Blake na zawsze zniknie z jej życia. Powinna się z tego cieszyć. Za bardzo wytrącał ją z równowagi. W jej przyszłym życiu nie będzie miejsca na przystojnych lordów o szarych oczach, szerokich ramionach i zmysłowych ustach. Powinna zacząć się już przyzwyczajać do podróży Oscara, grządek warzywnych i kur. A także do prosiaka.

- Czy to jest to? - Blake opuścił okno, gdy stangret skręcił na drogę z głębokimi koleinami. - To musi być to. Ten człowiek w wiosce chyba wiedział, o czym mówi, a wskazówki były zupełnie jasne. Co za dzicz!

- To po prostu farma - wyjąkała Eleanor. Nie przywykła do wsi, ale w każdym razie nie było to wietrzne wrzosowisko ani skaliste zbocze góry. Otaczały ich łagodne zielone wzgórza pokryte polami, tu i ówdzie poprzecinane kamiennymi murkami, żywopłotami i kępami drzew. Sądząc po ich wyglądzie, wiatr wiał tu często i przeważnie z jednego kierunku, zapewne od morza.

- Bardzo tu zielono - powiedziała, dodając w myślach, że także błotnisto.

- Tu często pada - stwierdził Blake. - Tam jest las Bowland. - Wskazał na wzgórza po prawej stronie. - To część Penninów. Są zbyt wysokie, żeby deszcz mógł nad nimi przejść, toteż pada niemal wyłącznie po tej stronie. Wilgotny klimat dobry jest do przędzenia bawełny i pewnie też dla kaczek.

- Wspaniale - wymamrotała Ellie pod nosem.

Skoro ciągle tu padało, będzie musiała siedzieć w domu i pisać. Jej nastrój pogarszał się z każdą przebytą milą i teraz pragnęła tylko wejść do wielkiego łóżka i przykryć się pierzyną albo usiąść i pisać przy rozpalonym kominku, popijając czekoladę.

- Dobry też dla ślimaków - powiedziała Polly. - Ale kaczki jedzą ślimaki. Może powinniśmy hodować również kaczki, panno Lytton, nie tylko kury.

- Dlaczego nie? - I co jeszcze, pomyślała. Może owce? Ale tego już byłoby za wiele. Musiałaby sobie kupić kołowrotek.

- A to pewnie jest dom.

Eleanor odsunęła szybę po swojej stronie powozu i wychyliła się na zewnątrz. Na zboczu wzgórza stał solidny budynek otoczony zabudowaniami gospodarczymi. Zbudowany był z szaroróżowego kamienia, dach miał z kamiennych łupków i wydawało się, że stoi tu co najmniej od dwustu lat.

- W każdym razie dach wygląda na cały...

Zatrzymali się na podwórzu. Chłopak zeskoczył z kozła i otworzył drzwi. Ellie zauważyła, że stąpa bardzo ostrożnie, żeby nie ubrudzić sobie błyszczących butów.

- Tu jest coś w rodzaju kamiennej ścieżki, panno Lytton - odezwał się. - Prowadzi do drzwi domu.

Blake wysiadł z powozu pierwszy i w tej samej chwili z za rogu budynku wyłonił się mężczyzna, a za nim czarno-biały pies ciągnący brzuchem po ziemi.

- Dzień dobry! - zawołał Blake.

- Ano. - Mężczyzna miał na sobie wysokie buty, a na nich getry, szare bryczesy i grubą wełnianą kurtkę. Nie zdjął kapelusza z potarganych brązowych włosów.

- Czy to jest farma Carndale?

- Ano.

Ellie zauważyła, że Blake zaczyna się irytować, ale w dalszym ciągu pytał uprzejmie:

- A pan to...

- Ebenezer Grimshaw. Uprawiam tę ziemię - dodał.

- Aha. No tak. Ja jestem lord Hainford, a to jest panna Lytton, właścicielka tej farmy.

- Ano. Ten prawnik pisał, że przyjedzie. Macie klucz? - Wskazał głową na dom. - Ja do tego nic nie mam. Tego nie dzierżawię. Tylko obory i szopy. Uważajcie na błoto.

Odwrócił się i pobrnął prosto przez kałuże.

- Bardzo pomocny - zauważył Blake. - Zrozumieliście coś z tego, co powiedział? Dzierżawi obory, ale nie dom. I chyba ostrzegał nas przed błotem.

- To miło z jego strony. - Ellie spojrzała pod nogi. To chyba nie było tylko błoto. - Mam klucz. - Wyjęła go z torebki i podała Blake'owi. - Byłabym bardzo zobowiązana, gdybyś otworzył te drzwi i wygonił stamtąd wszystkie kury, owce czy cokolwiek jeszcze może się tam znajdować.

Zmusiła się do żartu, żeby nie wybuchnąć łzami.

Zaczęło mżyć i wiatr uderzył prosto w jej twarz, gdy stała w drzwiach powozu, patrząc, jak Blake brnie w stronę drzwi. W torebce miała chusteczkę. Wyjęła ją, otrzepała z rdzy, którą zostawił klucz, i wydmuchała nos.

Farmer, pan Grimshaw, znów wyłonił się zza rogu.

- Tylne podwórze nie jest moje, tamte szopy też nie - powiedział, stając przed nią. - A z tyłu domu jest narąbane drewno. Może nie całkiem zamokło.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, znów się odwrócił i odszedł.

Drzwi otworzyły się z przeraźliwym skrzypieniem jak w gotyckiej powieści i Blake zniknął w ciemnościach. Ellie znów usiadła na kanapie powozu, czekając, aż stamtąd wyjdzie.

Od jak dawna nikt tu nie mieszkał? Rampion mówił, że od roku, ale wydawało się, że co najmniej od dziesięciu lat. Było zimno jak w psiarni, wszędzie leżała gruba warstwa kurzu i pajęczyn, a meble pochodziły z jakiejś odległej dekady ubiegłego wieku. Blake przeszedł przez pomieszczenia na parterze: bawialnia, wielka kuchnia, rozmaite inne pokoje, których przeznaczenia nie potrafił przeniknąć, po czym wszedł na górę. Cztery sypialnie i schody, zapewne na strych. Co sobie,

do diabła, myślał ten prawnik, wysyłając Eleanor przez cały kraj do takiego miejsca? Tu się nie dało mieszkać.

Wyszedł z domu i znów przebrnął przez błotniste podwórze. Ellie siedziała w powozie z dłońmi zaciśniętymi na torebce i twarzą, która nie wyrażała żadnych emocji. Nos miała zaróżowiony, a włosy wymykały się buntowniczo spod kapelusza. Tylko one wskazywały, że pod tym prostym strojem kryje się coś więcej niż łagodna stara panna. Znów miała na sobie czarną suknię.

- To się do niczego nie nadaje - powiedział wprost.

Skrzywiła się.

- To jest teraz mój dom.

- To kompletne odludzie. Tutaj jest zimno i brudno.

- Ale podobno jest drewno. Mamy ze sobą jedzenie, lampy olejowe i świece. Pościel też.

- Nie zostawię cię tu z człowiekiem, o którym nic nie wiemy i który czai się w szopie dla zwierząt, a ty nie możesz nawet uciec do wioski, nie mówiąc już o Lancaster.

- Nie mam innego wyjścia. To jedyne, co mi zostało - wskazała palcem błotniste podwórze.

- W takim razie sprzedaj to. Zawiozę cię do Lancaster i znajdę jakieś przyzwoite mieszkanie. - Otworzyła usta, by zaprotestować, ale on nie dał jej dojść do słowa. - Pożyczę ci pieniędzy. Znajdziesz prawnika, sprzedasz tę farmę i kupisz sobie mały domek w jakimś niedużym miasteczku.

- Ale...

- Eleanor, jeśli się uprzesz, żeby wysiąść z tego powozu i wejść do środka, to ja usiądę na twoim progu i zaczekam, dopóki nie wróci ci rozsądek. Nie mogę zostawić kobiety w takim miejscu. Do diabła, Eleanor, nic mnie nie obchodzi,

czego chcesz i co ci podpowiada upór. Nie pozwolę, żebyś się zmieniła w jakąś wyrobnicę na wsi na końcu świata. To moje ostatnie słowo.

Nic mnie nie obchodzi, czego chcesz, Felicity. Nie obchodzą mnie te bzdury, które opowiadasz. To bardzo odpowiednie małżeństwo dla nas obojga. Wszystko zostało ustalone, jeszcze kiedy byliśmy dziećmi. Przecież chciałaś, żebym się z tobą ożenił, nie rozumiem tylko, dlaczego musiałem to zrobić od razu, gdy odziedziczyłem tytuł. Jeśli nie weźmiemy ślubu, to kim się staniesz - kobietą, która zerwała zaręczyny i zrezygnowała z doskonałego związku?

Powiedział to wszystko dziewczynie, z którą był zaręczony od dziecka, ładnej i słodkiej istocie o doskonałym pochodzeniu, która oświadczyła, że nie chce za niego wyjść, bo on jej nie kocha i ją zaniedbuje. Nie dlatego, by jej się nie podobał, ale dlatego że go nie kocha. Bo on nie kocha jej. Oczywiście nie pozwolił jej postawić na swoim i co z tego wynikło? Kochał ją i powiedział jej o tym, ale ona nie chciała mu wierzyć.

Popełnił błąd i ta kobieta zmarła. A teraz zdawało się, że znów popełnia błąd, ale nie miał zamiaru zostawić Eleanor na tym odludziu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Dobrze - powiedziała Eleanor. - Możesz siedzieć na progu, aż zardzewiejesz i dostaniesz reumatyzmu. Nic mnie to nie obchodzi.

Wysiadła z powozu, patrząc na niego ponuro.

- Panie Grimshaw!

Mężczyzna natychmiast się pojawił, zdaniem Blake'a zbyt szybko. Pewnie czaił się tuż za rogiem i słuchał ich krzepiącej rozmowy.

- Czy ma pan jakichś pomocników, którzy zechcieliby wnieść mój bagaż do środka i przynieść nam trochę drewna i wody?

- Ano, mam. - Odwrócił się i ryknął: - Seth! Greg! Chodźcie tutaj!

Za stodoły wyłonił się wielki mężczyzna i chudy chłopak. Postukiwali się palcami w czoło i zerkali z ukosa na Eleanor, Blake'a i powóz.

- Zanieście torby tej pani do środka. To panna Lytton, właścicielka. Macie do niej mówić „proszę pani”.

- Nic nie musicie do niej mówić, bo panna Lytton tu nie zostanie.

Chłopak, który trzymał w ręku torbę Ellie, upuścił ją w błoto.

- Co z ciebie za niezdara - warknął farmer. - Pan jest bratem tej damy? Może narzeczoną? Czy kim...

- Nie jest dla mnie nikim - przerwała mu Eleanor. - Był tak miły, że przywiózł mnie tutaj, a teraz wygląda na to, że ma niestosowną chęć przechwycić kontrolę nad moim życiem.

- Jestem lord Hainford i...

- Może pan sobie być nawet lordem najwyższym sędzią, ale to jest dom tej damy i jeśli ona chce wejść do środka, to nie ma o czym dyskutować. Ruszcie się! - wrzasnął pan Grimshaw do dwóch pomocników, którzy puścili się biegiem do domu z pierwszą partią bagaży.

Blake zastanawiał się, czy nie użyć siły. Miałby spore szanse - dwóch potężnych mężczyzn i chłopak przeciwko niemu samemu, stangretowi i forysiowi. Spojrzał jednak na twarz Eleanor i zauważył, że ona właśnie tego się po nim spodziewa.

- Panno Lytton, nie oczekuje pani chyba, że zostawię panią na tym odludziu w towarzystwie tylko wątlej pokojówki i trzech mężczyzn, o których nic nie wiemy.

- Niech pan posłucha, wasza lordowska mość. - Grimshaw zacisnął potężne pięści. - Jestem kościelnym w naszej kaplicy i jak usłyszę jeszcze jakąś obelgę, to przyprowadzę tutaj księdza.

- Dziękuję, panie Grimshaw, bardzo chętnie spotkam się z księdzem i jestem panu wdzięczna za pomoc. Ale może mogłabym zamienić dwa słowa z jego lordowską mością na osobności?

Farmer skinął głową i odszedł na bok, by doglądać wypakowywania bagaży. Jego spojrzenie dziwnie przypominało Blake'owi spojrzenie byka.

- Eleanor, nie będziesz się chyba głupio upierać...

- Dla pana jestem panną Lytton, milordzie. I owszem, będę się upierać. To jest mój dom, moja własność i choć jestem panu niezmiernie wdzięczna, że mnie pan tu przywiózł, to sądzę, że nasza znajomość dobiega już końca. Nie rozumiem, dlaczego chce pan się mieszać w moje sprawy, skoro od samego

początku jasno pan okazywał, że się panu narzucam. Chyba że ma pan ochotę dodać do listy swoich grzechów jeszcze porwanie? – dodała z desperacją, jakby próbowała go sprowokować do odpowiedzi. – Gdyby pan zrzucił teraz ubranie, z pewnością odwróciłoby to uwagę pana Grimshawa. Mógłby pan wtedy wrzucić mnie do powozu i odjechać.

Owszem, mógł to zrobić, to znaczy nie rozebrać się, tylko wrzucić ją do powozu siłą. We trzech poradziliby sobie z Eleanor i pokojówką i szybko zniknęliby w sienie dali. Ale co by mu to dało? Miałyby przy sobie słusznie oburzoną kobietę i stałyby się zwykłym porywaczem. Gdyby Grimshaw próbował ją obrazić albo grozić, Blake czułby się w obowiązku go uderzyć, ale farmer najwyraźniej stał całkowicie po jej stronie i na swój szorstki sposób okazywał jej szacunek. A Blake rzeczywiście nie był jej bratem, opiekunem ani doradcą prawnym, a już na pewno nie narzeczonym.

Panna Lytton była niezwykłym zjawiskiem w angielskim społeczeństwie, kobietą, która miała własną posiadłość i wystarczająco wiele lat, by móc rozporządzać własnym życiem. Fakt, że tą posiadłością była obskurna rudera na samym końcu świata, nie miał tu nic do rzeczy. Już kiedyś próbował zmusić kobietę, by zrobiła to, co słuszne, i skończyło się to tragicznie. Nigdy więcej, pomyślał. Dżentelmen powinien wiedzieć, kiedy należy przeprosić i wycofać się z wdziękiem.

– Czy wszystkie pani rzeczy i zapasy zostały już zabrane, panno Lytton?

Rozejrzała się i spojrzała na niego podejrzliwie spod przymrużonych powiek.

– Tak.

– Czy mogę być pani jeszcze w czymś pomocny?

- Nie, milordzie.

- W takim razie pożegnam panią. Życzę wiele szczęścia w nowym domu.

Skłonił się przed drzwiami powozu, starając się uczynić to z godnością, i zastukał w dach. Powóz ruszył. Gdy zawracał na podwórzu, Blake zdążył jeszcze przelotnie zauważyć Eleanor stojącą w błocie i deszczu w towarzystwie Polly i wiejskich pomocników.

Pomyślał ponuro, że to go nauczy nigdy więcej nie rozbierać się do naga u White'a.

Złość i urażona duma nie opuszczały Blake'a aż do Lancaster. Choć bardzo się starał, niestety w gospodzie nie znalazł niczego, co mógłby skrytykować i tym samym dać upust złemu nastrojowi.

Kąpiel, przyzwoity posiłek i butelka zaskakująco dobrego klaretu poprawiły mu nastrój na tyle, że niepokój zwyciężył z poczuciem upokorzenia. Porto podane po kolacji nie było tak dobre jak klaret i przez to niestety Blake miał zupełnie jasny umysł, gdy po kolacji usiadł i wpatrzył się w ogień na kominku.

Chyba już nie mógł zachować się gorzej. Wiedział, że Eleanor jest uparta, inteligentna i ma własne zdanie na każdy temat. Powinien był jej przemówić do rozsądku, porozmawiać o alternatywach, zamiast domagać się, by ugięła się przed jego wolą. Gdy już raz pokazała pazury i poczuła się przyparta do ściany, stawała się równie waleczna jak niedźwiedź na łańcuchu, którego atakuje sfora psów.

Pomyślał, że zostawi Eleanor w spokoju na tę noc, żeby mogła przekonać się na własnej skórze, jak niewygodne jest to miejsce, a rankiem wróci, przeprosi i spróbuje z nią

porozmawiać. Ale niepokój go nie opuszczał. Zostawił dwie kobiety o wiele mil od jakiegokolwiek osady w towarzystwie zupełnie obcych ludzi, o których nic nie wiedział. Jak Eleanor czuła się teraz, gdy pewnie zdążyła już ochłonąć z irytacji?

Nie mógł zostawić jej tam na noc, bo sam również nie byłby w stanie zasnąć. A gdyby przydarzyło jej się cokolwiek złego, Blake nigdy by sobie tego nie wybaczył.

Kiedy zatrzymał się na podwórzu Carndale, deszcz przestał już padać. Zza zasłoniętych zasłon w pokoju od frontu przebijał słaby blask światła. Zamiast załomotać do frontowych drzwi, Blake poprowadził wynajętego konia przez błoto i zaszedł od tyłu. Z kuchni również dochodziło światło. Tu nikt nie zasłonił okna. Zajrzał do środka. Polly siedziała przy stole, zgarbiona ze zmęczenia, obejmując dłońmi kubek. Dlaczego jeszcze nie spała? Z pewnością Eleanor nie należała do osób, które nie pozwalałyby odpocząć zmęczonej służącej.

Zastukał do drzwi i gdy usłyszał zgrzyt przesuwanego krzesła, stanął w świetle dochodzącym z okna, żeby Polly go widziała.

- Milordzie? - Zamrugła.

- Martwiłem się o was. Czy mogę wejść?

- Tak, naturalnie. Przepraszam, milordzie. - Otworzyła drzwi szerzej, zamknęła je za nim i lekko zachwiała się na nogach.

- Jesteś wyczerpana. Dlaczego się jeszcze nie położyłaś? Panna Lytton chyba nie kazała ci czuwać?

- Och, nie. Powiedziała, że mogę się położyć, już ponad godzinę temu. Zdawało mi się, że słyszałam jak zegar kościelny wybija jedenastą, ale ledwo było to słychać, więc mogłam się pomylić. Ale ona sama nie chce się położyć, milordzie, a ja nie

chcę jej zostawiać. Pracowała tak samo ciężko jak ja. Pościeliłyśmy łóżka i wymiotłyśmy najgorszy brud z dwóch sypialni i kuchni. Posprzątałyśmy trochę frontowy pokój i rozpaliliśmy ogień. Ten pan Grimshaw i jego ludzie przynieśli nam drewno i całą furę owczych skór. - Wskazała na skórę leżącą przed piecem w kuchni. - A teraz panna Lytton siedzi na stercie tych skór przed kominkiem i po prostu patrzy w ogień. Nie mogę przecież pójść do łóżka i jej tak zostawić, prawda, milordzie? Nie mogłabym spokojnie zasnąć.

- Teraz ja tu jestem, więc możesz się położyć. Uciekaj, Polly, a ja porozmawiam z panną Lytton. Nie czekaj na nią. Doskonale poradzi sobie bez ciebie. Zrobiłaś już dość jak na jeden dzień.

Tak jak miał nadzieję, Polly przywykła do tego, że mężczyzna dyktuje wszelkie reguły i teraz, gdy Blake się pojawił, z radością zdała się na niego. Powlokła się na górę, a Blake poszedł do frontowego pokoju.

W dużym kamiennym kominku płonął ogień, obok leżała sterta drewna. Grimshaw i jego ludzie dobrze się spisali. Ciepło jednak nie zdążyło jeszcze ogrzać wyziębionego domu, który stał pusty przez całą długą zimę i mokre, byłe jakie lato.

Eleanor siedziała na stercie owczych skór, owinięta kocem. Rozpuszczone włosy wiły się jej na ramionach. Nie obejrzała się, gdy usłyszała stuknięcie drzwi.

- Polly, proszę, idź się położyć.

- Już poszła - powiedział Blake. Zesztywniała, ale nie odwróciła wzroku od ognia. - Martwiłem się o ciebie, więc wróciłem.

- Blake? - W końcu na niego spojrzała. Na tle ognia, na stercie skór, z rozpuszczonymi włosami wyglądała jak postać z bajki.

- Pewnie jesteś wyczerpana. - Pomimo chłodu rozpiął płaszcz, rzucił go na zydeł i przykucnął obok niej. - Boisz się położyć? Czy Grimshaw...

- Ależ nie. Grimshaw był dla mnie bardzo miły, choć jest szorstki w obejściu. Pani Grimshaw przyniosła nam dzbanek mleka, trochę chleba i jajek. Ja po prostu... - Urwała i mocniej przygarbiła ramiona pod kocem.

- Jesteś taka zmęczona, że nie byłabyś w stanie zasnąć?

Znał ten stan. On również tak się czuł po całym dniu i całej nocy gry w karty, ale wówczas nie czuł niepokoju i nie musiał się zmagać z uporządkowaniem brudnego i zimnego domu.

- Mhm... - mruknęła.

- Idź do łóżka. Ja zostanę tu przy ogniu. Będę czuwał.

- Po co? - Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Czy to przed duchami chcesz mnie chronić? Tu chyba nie ma również żadnych duchów.

- Przed tym, czego się obawiasz. - Gdy nie odpowiedziała, tylko lekko potrząsnęła głową, przyklęknął na owczych skórkach obok niej, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. - Zaniosę cię do sypialni.

- Tam jest zimno - mruknęła. - Oddałam termofor Polly.

No tak, można było się tego spodziewać, pomyślał Blake. Większości dam nigdy by to nie przyszło do głowy. Zakładałyby, że służba ogrzeje sobie cegłę w kuchennym palenisku.

- Dobrze, w takim razie śpij tutaj. - Położył ją na skórkach i cofnął ramię.

Zasnęła, ledwie jej głowa dotknęła miękkiej wełny. Ułożył skóry tak, by osłonić jej plecy przed przeciągiem od drzwi, a potem dołożył do ognia. Uświadomił sobie, że nie może teraz wyjść, bo nie ma kto zamknąć za nim drzwi. Mógł oczywiście

spędzić noc w szopie, ale nie miał na to ochoty.

Wyszedł sprawdzić, czy koniowi niczego nie potrzeba, następnie wrócił do frontowego pokoju i popatrzył na meble – dwie ławy i niewygodny drewniany fotel, wszystko z surowego drewna i bardzo zimne.

Ściągnął buty, kurtkę, kamizelkę i krawat i ułożył się obok Eleanor, nakrywając ich obydwójce skórą. Oparł głowę na zgiętym ramieniu i przymknął oczy. Skóry pachniały owcą i lanoliną, cały pokój dymem i kurzem, a Eleanor dobrym zwyczajnym mydłem.

Odsunął nieco skóry, otoczył ją swoim ciałem i przymknął oczy. Spodziewał się, że on również nie będzie mógł zasnąć ze zmęczenia i niespokojnych myśli, ale w mgnieniu oka zapadł się w nicość.

Było jej ciepło, a łóżko pachniało owcami i czymś jeszcze – Blakiem. W jednej chwili uświadomiła sobie, dlaczego jest jej ciepło i dostrzegła, że w pasie obejmuje ją czyjeś ramię, a jej ciało opiera się o duże, mocne ciało.

Zamrugnęła w szarym świetle świtu i ramię zsunęło się z niej.

- Obudziłaś się. - Był tak blisko, że jego ciepły oddech owiewał jej kark. - Przepraszam, nie chciałem cię przygnieść - powiedział sennym głosem.

- Blake. Milordzie. Jesteś w moim łóżku.

Musiała się zmusić, żeby udawać oburzenie, bo bardzo przyjemnie było czuć go przy sobie.

- To było jedyne wygodne i ciepłe miejsce, a poza tym oboje jesteśmy ubrani i nikt o tym nie wie.

- Ja wiem - zauważyła, ale nie poruszyła się. - I ty też wiesz.

- Ale ja nikomu nie powiem. - Jego ciepły oddech znów owiał

jej kark.

- Doprawdy? - Nie mogła już udawać, że to tylko sen. Gdyby to był sen, Blake by ją całował zamiast głupio gadać, a ona byłaby piękna i nie obawiałaby się niebezpieczeństwa.

Usłyszała, że odetchnął, chcąc coś powiedzieć, a potem wstrzymał oddech i przycisnął usta do jej skóry.

- Blake! - Serce dudniło jej ze strachu i podniecenia.

Wymamrotał coś, czego nie zrozumiała, i jego usta przesunęły się za ucho. Ellie poruszyła się nieco, ale zaraz zastygła, gdy poczuła na sobie jego ciężar. Tym razem nie leżeli już na łące pod otwartym niebem, lecz w łóżku, skąd nie było ucieczki.

Poruszyła się gwałtownie i jego ręka zsunęła się po jej żebrach. Naraz Blake stoczył się z niej.

- Do diabła. Przepraszam. Nie obudziłem się jeszcze porządnie i... Nie mam dla siebie usprawiedliwienia. - Przesunął dłońią po włosach i spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem. - Eleanor, jesteś o wiele za szczupła. Sama skóra i kości. Za mało jesz.

Nic nie mogło jej skuteczniej przywołać do rzeczywistości. Naturalnie, że nic jej nie groziło ze strony Blake'a. Usiadła i obróciła się z groźnym spojrzeniem.

- Jak śmiesz tak mówić?

- Bo to prawda. Pewnie mam posiniaczone ramię od twoich żeber i kości biodrowej. - Wyciągnął się na skórkach jak barbarzyński wojownik. Spod koszuli na piersi wyłaniały się czarne włoski. - Niektórzy ludzie z natury są szczupli, ale ty jesteś wygłodzona, Eleanor. Przez cały ten czas, kiedy byliśmy razem, nie widziałem, żebyś zjadła porządny posiłek.

- Mam kiepski apetyt. Poza tym to nie twoja sprawa.

- Nie moja, ale martwię się o ciebie. Nie powinienem wczoraj

ci rozkazywać i żądać, żebyś stąd odjechała. Powiniennem spokojnie cię przekonać. Wróciłem tu, żeby przeprosić i sprawdzić, czy jesteś bezpieczna, a nie po to, żeby cię uwodzić. I za to powiniennem przeprosić cię jeszcze bardziej.

Zastanawiała się, jak często ten człowiek czuł potrzebę, by kogoś za coś przeproszać. Zapewne nieczęsto. Czy to duma sprawiała, że tak głęboko skrywał uczucia?

- Dziękuję. Przyjmuję przeprosiny za to, że mnie tu zostawiłeś i za to, co zdarzyło się przed chwilą. Potrafię to zrozumieć. Byłeś jeszcze w półśnie. Ja też, bo inaczej to by się nie zdarzyło. Dziękuję ci za troskę. Ale teraz czy mógłbyś mnie już zostawić?

Gdy Blake się nie poruszył, dodała:

- Daję ci słowo, że Grimshaw jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, a dom jest cały i kiedy już trochę się nagrzej, będzie nam tu bardzo wygodnie.

- Wczoraj wieczorem...

- Wczoraj wieczorem byłam zbyt zmęczona i zmarznięta, żeby zdobyć się na optymizm. A teraz jestem wyspana i wiem, że wszystko będzie w porządku.

Podniosła się i narzuciła koc na ramiona pokryte rozsądną flanelową koszulą i szlafrokiem. To, że miała na sobie ten strój, a nie jakieś cieniutkie jedwabie i atłasy, było kolejnym dowodem, że to nie jest tylko sen.

- Rozpalę w kuchni i nastawię czajnik. Pewnie chętnie napiłbyś się kawy, zanim odjedziesz.

Poszła do kuchni, w której było chłodno, choć na palenisku wciąż płonął ogień, osłonięty dla bezpieczeństwa kawałkami darni. Przegarnęła żar pogrzebaczem, dołożyła drewna i nalała do starego żelaznego czajnika wody z pompy w rogu kuchni. Czajnik wyglądał, jakby miał tyle samo lat co dom. Postawiła go

na ogniu i poszła na górę, żeby się ubrać. Nie chciała znów widzieć Blake'a, ale w razie gdyby miało się tak zdarzyć, wolała być szczelnie okryta kilkoma warstwami ubrania.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Znowu pada, proszę pani.

Marjorie, najmłodsza córka Grimshawa, która przychodziła trzy razy w tygodniu, żeby posprzątać i pomóc w praniu, stanęła w drzwiach, podzieliła się tą dobrą wiadomością i poszła dalej do kuchni, niosąc na biodrze kosz z rzeczami do prasowania.

- Coś takiego - mruknęła Ellie, przygryzając końcówkę pióra, która siedziała właśnie nad księgami rachunkowymi. - Tego jeszcze nie było. Padało rano, pada po południu i pewnie będzie padać wieczorem i przez całą noc. Tak samo było wczoraj, w zeszłym tygodniu i jeszcze w poprzednim. Ksiądz niedługo wygłosi kazanie na temat Arki Noego, ale jeśli ktokolwiek się spodziewa, że pomogę zapędzać owce na arkę, to bardzo się myli. To głupie zwierzęta.

Wpatrywała się w te księgi przez cały dzień, ale rachunki wcale nie wyglądały od tego lepiej. Na początku miała wiele optymizmu. Północnoafrykańskie przygody kochanego małego Oscara ku jej wielkiemu zdziwieniu spodobały się panom Broderickowi i Alleynowi - pewnie dlatego że udało jej się w porę powstrzymać i nie pozwoliła, by porwali go korsarze. Książka była teraz w druku i wkrótce miała zaspokoić apetyty młodych czytelników spragnionych informacji o zbiorze daktyli, wielbłądach i wykorzystaniu papirusu do produkcji papieru. Jeszcze lepszą wiadomością było to, że pieniądze za książkę były już w Hawking Bank w Lancaster razem z kwartalną rentą

od pana Grimshawa. Znaczna część tej kwoty wracała do pana Grimshawa w postaci tygodniówki Marjorie oraz jako zapłata za jajka, mleko i cotygodniową wyprawę do Lancaster na targ. Ale na to Ellie mogła sobie pozwolić.

Żyło im się dość wygodnie. Po miesiącu harówki udało się doczyścić i w znacznym stopniu ogrzać dom. Ogień płonął nieustannie i mury wreszcie trochę się nagrzały. Ellie i Polly miały osobne sypialnie, a pozostałe pokoje na górze zamknęły. Na dole używały saloniku jako bawialni i gabinetu, a Polly królowała w kuchni. Planowała, że jeśli kiedyś przestanie padać, założy ogród kuchenny i kurnik. Ale to mogło tylko pomóc napełnić żołądki, nie rozwiązywało jednak największego problemu.

Ellie naostrzyła pióro, próbując dostrzec jakieś dobre strony sytuacji. Z powodu deszczu musiała przez cały czas siedzieć w domu. Przeważnie zabawiała się pisaniem romantycznej, pełnej namiętności powieści, której bohaterem był szarooki władca pustyni na czarnym ogierze. Wygląd miał diaboliczny, ale całował jak sam anioł. Przynajmniej w ten sposób mogła racjonalnie wykorzystać wiedzę zdobytą na temat północnej Afryki. Poza tym ten projekt pociągał ją znacznie bardziej niż to, co zaproponowali jej panowie Broderick i Alleyn – opowieść dla młodzieży opartą na historii Szkocji. Rozpoczęcie pisania tej książki opóźniało się, bo z dala od londyńskich bibliotek i księgarń Ellie nie miała łatwego dostępu do źródeł.

Miała nadzieję, że gdy skończy, uda się ją sprzedać wydawnictwu Minerva Press i próbowała wymyślić sobie odpowiedni pseudonim literacki. Musiała jednak najpierw skończyć obecną powieść i liczyć na to, że wydawnictwo ją zaakceptuje. Bóg jeden wie, czy będą z tego jakieś pieniądze

i kiedy.

Tymczasem miała się dobrze. Nie marzyła, było jej w miarę wygodnie i pracowała. Do tego przybierała na wadze. Skrzywiła się i przesunęła palcem po szwach ciasnego gorsetu. Wzięła sobie krytykę, czy też troskę Blake'a do serca. Nie musiała już jeść jak ptaszek z obawy, że nabierze kobiecych kształtów. W domu nie było mężczyzny, który mógłby jej zagrozić, a poza domem nosiła wiele warstw ubrania. Zima w tym roku okazała się wyjątkowo zimna.

Zmusiła się do skupienia i znów spojrzała na księgi rachunkowe. Blake nie powinien już jej nic obchodzić. Miała inne zmartwienia na głowie. Dobre zdrowie, praca i nawet ewentualny sukces nienapisanej jeszcze powieści nie mogły jej pomóc w naprawie dachu.

Wezwała budowniczego, by obejrzał zaciek, który wypatrzyła Polly, i budowniczy znalazł jeszcze dziesięć kolejnych. Zapewnił ją, że dach przetrwa jeszcze sto lat, problemem jednak były przecieki. Część ciężkich kamiennych łupków wyszczerbiła się, a kołki przegniły. Trzeba było wszystko rozebrać i złożyć od nowa. Oczywiście wtedy, gdy przestanie padać.

Dalej była jeszcze kwestia strumienia, z którego czerpali wodę. Pomimo deszczu wyraźnie wysychał. Grimshaw twierdził, że winny temu jest Bond z sąsiedniej farmy, który nawadnia wodą ze strumienia nowe pastwisko. Podobno miał do tego pełne prawo, bo źródło znajdowało się na jego ziemi. W każdym razie tak powiedział prawnik, do którego Ellie się zwróciła. W rezultacie nie miała strumienia, tylko wysoki rachunek za bezużyteczną poradę. Grimshaw stwierdził, że należy wykopać studnię, po czym poinformował ją o koszcie tego przedsięwzięcia. Tymczasem zaś musiał prowadzić bydło do

pojenia na drugi koniec dzierżawionych pastwisk. Prawnik oświadczył, że zgodnie z warunkami dzierżawy Ellie powinna zapewnić mu wystarczający dostęp do wody, a jeśli tego nie zrobi, Grimshaw ma prawo domagać się zmniejszenia czynszu. Na razie o to nie poprosił, była jednak na to przygotowana.

Prawnik dodał również, że albo zdobędzie gdzieś pieniądze na studnię i dach, albo będzie musiała zaakceptować niższy czynsz i utratę dochodu, a to jeszcze bardziej odsunęłoby perspektywę naprawy dachu i wykopania studni. Albo też musi znaleźć kogoś, kto zechciałby kupić farmę, na której brakowało wody, choć ciągle padał deszcz.

Rachunki nie schodziły jej z myśli, przeszkadzały w pisaniu i nie dawały się wyprowadzić na prostą. Pieniądze od wydawcy nie wystarczyły i na dach, i na studnię a do tego musiałyby się pożegnać z wygodnym życiem.

Naraz rozległo się mocne stukanie do drzwi. Ellie odłożyła pióro. Grimshawowie i robotnicy z farmy podeszliby do drzwi kuchennych, podobnie jak obnośni handlarze. Stukanie powtórzyło się. Polly wyrabiała właśnie ciasto na chleb i pewnie miała ręce po łokcie unurzane w mące.

Ellie zrzuciła podomkę, podeszła do drzwi i otworzyła. Na progu stał młody dżentelmen, a za nim mały powozik zaprzężony w kucyka.

- Najmocniej panią przepraszam, ale zgubiłem się. Proszę mi powiedzieć, którądy do Lancaster. - Uprzejmie zdjął kapelusz i stał na progu. Deszcz moczył mu włosy. Wydawał się bardzo przyzwoity, a do tego był zupełnie przemoczony.

- Może schroni się pan przed deszczem i napije herbaty. Do Lancaster jest godzina drogi i przeziębci się pan na śmierć, jeśli się pan nie rozgrzeje. Proszę zaprowadzić kucyka na tył domu.

Jest tam szopa, do której można wstawić powóz. A potem proszę wejść do domu przez kuchenne drzwi.

- Jestem pani niezmiernie zobowiązany. - Włożył kapelusz, co w tej chwili nie miało już sensu, i zrobił, co mówiła.

Ellie poszła do kuchni i kazała Polly nastawić czajnik, a sama wspięła się na górę i znalazła ręczniki. To było niedorzeczne, jak bardzo cieszyła ją perspektywa godzinnej rozmowy z obcym człowiekiem. Szkoda, że nie był skrzatem, który zdradziłby jej, gdzie jest ukryty garnek złota.

Młody człowiek przedstawił się jako James Harkness i powiedział, że ma jakieś sprawy do załatwienia w Lancaster. Polly rozwiesiła jego ociekający wodą płaszcz i kapelusz przed kominkiem i obiecała, że zanim wyjdzie, znajdzie dla niego pelerynę.

Okazał się miłym towarzyszem. Opowiedział im o swoich przygodach w drodze na północ. Przyjął propozycję wypicia drugiej filiżanki herbaty i z wdzięcznością poczęstował się ciastem.

- To piękny stary dom, proszę pani. Wygląda na mocny i ciepły.

- Jest mocny, z wyjątkiem dachu. - Ellie westchnęła, sięgając po kolejny kawałek ciasta. - Dach bardzo potrzebuje naprawy.

- Przykro mi to słyszeć, proszę pani. Przy tak dużym domu to pewnie spory wydatek.

- Owszem, spory. - Ellie zmusiła się do uśmiechu. - Jakoś będziemy musieli sobie z tym poradzić.

Zaopatrzyła młodego człowieka w pelerynę i dokładne wskazówki, a kiedy tylko wyjechał, wróciła do pracy.

James Harkness, prywatny detektyw, usiadł przy biurku

naprzeciwko Blake'a i wyciągnął notes.

- Nie wygląda to dobrze, milordzie. Spór o wodę zapewne doprowadzi do obniżki czynszu i wartości ziemi, a naprawa dachu wymaga sporych nakładów. W domu jest czysto i schludnie, ale widać prowizorkę i braki. Jeszcze nigdy w życiu tak nie przemarzłem i nie przemokłem. Miejscowi mówią, że to było najgorsze lato za ich pamięci i że wielu farmerów popadnie w ruinę. Obawiam się, że tej farmy nie sposób w tej chwili sprzedać za sumę, jakiej jest warta.

- A jak się miewa panna Lytton? - zapytał Blake, zdobywając się na obojętny ton. Powiedział wcześniej Harknessowi, że Ellie jest jego odległą krewną i na razie nie zamierzał tego prostować.

- Jest zmęczona - odparł tamten po chwili zastanowienia. - Zmęczona, zmartwiona i wyczerpana. Muszę przyznać, że nie brakuje jej odwagi. Miejscowi mówią, że zawsze jest uprzejma, płaci wszystkie rachunki na czas i jest dobrą sąsiadką. Ale widać, że się zastanawiają, co dama z południa robi na takim odludziu w Lancashire w towarzystwie jednej tylko pokojówki.

Znalazła się tam, pomyślał Blake, ponieważ pewien idiota był tak zaabsorbowany grą w karty, że nie powstrzymał innego idioty przed zrujnowaniem jej. A potem nie zrobił nic, aby uchronić ją przed katastrofą.

Przysiągł sobie, że nigdy więcej nie zaangażuje się uczuciowo, a tymczasem był tego teraz bardzo bliski. Ale mógł na szczęście użyć swoich pieniędzy i wpływów, aby pomagać jej na odległość. Nie musiał brać w tym udziału osobiście.

- Dobrze. Wrócisz tam teraz i spotkasz się z jej prawnikiem. Będziesz udawał, że reprezentujesz czyjeś interesy. Niech się tylko zastanowię... już wiem. Powiesz, że reprezentujesz

fabrykanta z Manchester, który wykorzystuje kryzys w rolnictwie i kupuje ziemię, dopóki ceny są niskie. Oczywiście robi to anonimowo. Zapewnij ją, że jej dzierżawca jest bezpieczny – o to na pewno będzie się martwić – i zapłać, ile tylko zechce. Nie próbuj się targować.

Miesiąc później Blake rzucił na biurko Jonathana akt własności farmy Ellie.

– Udało się. Jej prawnik pewnie nie mógł uwierzyć we własne szczęście, gdy znalazła fabrykanta z Manchester, który tak bardzo pragnął zdobyć tę ziemię, że zapłacił pierwszą cenę. Harkness mówi, że tam nadal pada, tak samo jak tutaj, tylko że tam jest zimniej.

– Jak sądzisz, co ona teraz robi?

– Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że kupi sobie gdzieś jakiś ładny domek, a resztę zamieni na roczną rentę. Tak, Turner?

Lokaj wsunął się do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

– Panna Lytton, milordzie. Chce z panem mówić. A właściwie tego żąda. Bardzo kategorycznie. Czy mam jej powiedzieć, że nie ma pana w domu?

– Eleanor Lytton? Tutaj?

– Tak, tutaj.

Drzwi za plecami Turnera otworzyły się i Eleanor wsunęła się do gabinetu. Blake miał nadzieję, że nie wygląda na tak idiotycznie zdumionego jak jego brat.

Obaj wstali.

– Lordzie Hainford, chcę odzyskać moją farmę.

– Dziękuję ci, Turner, to wszystko. Eleanor, może usiądziesz?

– Nie próbuj mnie obłaskawić. – Oparła dłonie na oparciu krzesła, ale nie usiadła. – Kupiłeś moją farmę pod fałszywym

nazwiskiem.

Wyglądała okropnie, choć przybrała na wadze i jej figura wyglądała teraz znacznie korzystniej. Oderwał oczy od falującej piersi i popatrzył na twarz. Pod oczami miała cienie, skórę jeszcze bledszą niż wcześniej, a pod jej gniewem wyczuwał desperację i zmęczenie.

- Zapłaciłem bardzo dobrą cenę. Z prawnego punktu widzenia wszystko jest w zupełnym porządku - odrzekł, nie było bowiem sensu zaprzeczać. - Skąd wiedziałaś, że to ja ją kupiłem?

- Na początku tak się ucieszyłam, że nie zastanawiałam się nad tym. - Obeszła krzesło dokoła i usiadła.

Blake również usiadł, ale zachował czujność, gotów zerwać się w każdej chwili i pochwycić ją, gdyby miała zemdleć. Zdawało się, że tylko złość pozwala jej utrzymać się na nogach.

- Następnego dnia uświadomiłam sobie jednak, że albo zdarzył się cud, albo dzieje się coś dziwnego. Stwierdziłam, że na mojej ziemi jest węgiel lub coś innego, czego wolałabym nie stracić. Dlatego przekupiłam pokojówkę, żeby wpuściła mnie do sypialni tego miłego pana Harknessa w gospodzie, kiedy on jadł śniadanie, i przejrzałam jego papiery.

- Przeszukałaś jego pokój?

- Oczywiście. Kiedy zobaczyłam pańskie nazwisko, wiedziałam, że on nie zechce przyjąć z powrotem pieniędzy, skoro pracuje dla pana. Dlatego przyjechałam prosto tutaj.

- Po co?

- Żeby oddać pieniądze. - Otworzyła torebkę i wyjęła czek bankowy. - Oto one. A teraz proszę mi oddać tytuł własności.

- Dlaczego, Eleanor?

- Nie chcę miłosierdzia.

Kiedy potrząsnął głową, sięgnęła po czek, podeszła do kominka i wrzuciła go w ogień. Jonathan z przekleństwem zerwał się i pochwycił pogrzebacz, ale było już za późno.

- Wypiszę po prostu następny czek - stwierdził Blake.

- A ja go nie przyjmę. Nie chcę być pańską dłużniczką. - Uniosła wysoko głowę i wpatrzyła się w jakiś punkt nad jego lewym ramieniem. Do jej oczu napływały łzy, choć ze wszystkich sił próbowała je powstrzymać. Naraz Blake uświadomił sobie, że to nie jest gniew, lecz ślepy upór kobiety, która dotarła do granic swojej wytrzymałości.

- Dlaczego nie pozwalasz sobie pomóc? - zapytał i uniół rękę, uciszając Jonathana, który zamierzał się odezwać. - Obwiniasz mnie za śmierć Francisa i za własną ruinę. Staram się zrekompensować ci to, jak mogę. Może w tej chwili się wydawać, że trochę przepłaciłem za tę ziemię, ale w końcu ta inwestycja mi się zwróci, a ty potrzebujesz pieniędzy już teraz, nie w przyszłości.

- Nie - szepnęła i przymknęła oczy, żeby powstrzymać łzy.

Popatrzył na jej rozchylone usta i naraz przypomniał sobie łąkę i stertę owczych skór, gdy bezbronna i ufna spoczywała w jego ramionach. Zamrugał, by odegnąć tę wizję.

Siedziała teraz naprzeciwko niego zmęczona, ale dumna i pełna godności jak zdetronizowana królowa.

- Dobrze - usłyszał własny głos. - Skoro nie chcesz wziąć pieniędzy, to weź mnie. Wyjdź za mnie.

- Co? - Usłyszał trzask krzesła, gdy Jonathan zerwał się na równe nogi.

- Mam za ciebie wyjść? - Eleanor szeroko otworzyła oczy. - Ja?

- A dlaczego nie? - Blake miał wrażenie, że słowa wychodzą

z jego ust bez udziału woli. - Pochodzisz z dobrej rodziny, a ja już dawno powinienem się ożenić.

Jonathan patrzył na niego tak, jakby oszalał. Pewnie zresztą tak było. Tak, to było to - czyste szaleństwo. Albo to był tylko sen.

Właśnie oświadczył się nieładnej starej pannie bez grosza przy duszy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ellie zamrugnęła i przełknęła łzy. Blake właśnie jej się oświadczył. Lord Hainford poprosił, żeby została jego hrabiną. Ale to oczywiście nie mogła być prawda. Była tak zmęczona, zmartwiona i nieszczęśliwa, że rozchorowała się od tego i teraz na pewno miała majaki w gorączce. Albo może to wszystko tylko jej się śniło...

Przekonana, że to musi być tylko fantazja, postanowiła nacieszyć się chwilę i odegrać swoją rolę, zanim się obudzi.

- Tak - powiedziała słabnącym głosem. Jego twarz rozmyła jej się w oczach i Ellie poczuła, że zsuwa się z krzesła.

Gdzie właściwie była? W jakimś ciepłym miejscu. Nie było tu wilgoci, powietrze nie pachniało dymem. Leżała na bardzo wygodnym łóżku w miękkiej puchowej pościeli. Ach tak, przecież miała zostać hrabiną... To wszystko wyjaśniało.

Z jękiem usiadła na łóżku i chwyciła się za skronie, bo wciąż wirowało w jej głowie. Obok łóżka zobaczyła sznureczek dzwonka. Pociągnęła, wiedząc, że nie zobaczy Polly. Jej pokojówka została w Lancashire, żeby nadzorować farmę. Chyba że to również jej się przyśniło...

- Dzień dobry, panno Lytton. - To nie była Polly, lecz wysoka, ciemnowłosa dziewczyna w niebieskiej sukience ze śnieżnobiałym fartuszkim i z tacą w ręku. - Właśnie miałam zajrzeć, żeby sprawdzić, czy już się pani obudziła, i przynieść pani czekoladę. Chce pani zjeść śniadanie w łóżku? Albo jeśli

woli pani wstać, to nakryję tutaj na stoliku.

- Gdzie jestem?

- W Londynie, panno Lytton. W najlepszej gościnnej sypialni w domu lorda Hainford przy Berkeley Square. Nic dziwnego, że jest pani zdezorientowana, bo pani zasłała. A tu jest tak uroczo i cicho, że aż trudno uwierzyć, że dom stoi w mieście, prawda?

A zatem to była prawda. Och nie, pomyślała z nagłym przerażeniem.

Tymczasem pokojówka postawiła tacę na stoliku i odsunęła zasłony.

- Mamy piękny ranek, panno Lytton. I nawet świeci słońce.

- Nie pada? - Ellie uniosła się na stercie poduszek i zamrugowała od jasnego światła. - Nie, nie pada.

Pokojówka też wydawała się prawdziwa, a czekolada rozpływała się w ustach jak miękki aksamit. Ale trzeba było wstać, stanąć przed Blakiem i zmusić go, żeby oddał jej akt własności farmy.

- Najpierw wstanę i umyję się, a potem dopiero zjem śniadanie - powiedziała.

- W takim razie napełnię wannę, proszę pani.

Pokojówka zniknęła za drzwiami, które wyglądały jak drzwi garderoby, i rozległ się szum płynącej wody. A zatem to była łazienka? Ellie gotowa byłaby wyjść za samego księcia regenta, gdyby tylko miał łazienkę z gorącą wodą.

Przyłożyła rękę do czoła. Nie, nie miała gorączki.

Wchodząc do gabinetu, wciąż próbowała oddzielić rzeczywistość od fantazji. Powiedziano jej, że Blake już na nią czeka.

Był sam. Stał przy oknie, oparty ramieniem o framugę. Odwrócił głowę, gdy usłyszał stuk drzwi, i odsunął dla niej krzesło przed kominkiem.

- Jak się dzisiaj czujesz, Eleanor?

- Dziękuję, znacznie lepiej. - Usiadła, a on zajął miejsce naprzeciwko niej i pochylił się w jej stronę. - Przepraszam za to zasłabnięcie.

- Przypuszczam, że przyjechałaś tutaj, nie zatrzymując się po drodze, żeby coś zjeść. Czym przyjechałaś? Dylizanssem pocztowym? - Gdy skinęła głową, chrząknął z niezadowoleniem.

- Doprowadziłaś się do choroby. Popatrz tylko, jak wyglądasz.

Nie brzmiał jak zakochany mężczyzna.

- Byłam zdenerwowana.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odrzekł Blake sucho. - Ale teraz musimy się dobrze zastanowić. Miałem zamiar zdobyć specjalną licencję i wziąć z tobą ślub natychmiast, ale nie wyglądasz najlepiej, więc chyba powinniśmy odłożyć to o kilka tygodni. Nie musimy dawać na zapowiedzi ani informować nikogo...

Urwał, gdy z ust Ellie wyrwał się dziwny dźwięk.

- O co chodzi?

- Licencja na ślub?

- Tak. Pamiętasz? Wczoraj po południu zgodziłaś się za mnie wyjść.

- Nie, to niemożliwe. To tylko sen. Halucynacje. Sam mówiłeś, że nie czuję się dobrze.

- Eleanor, skoro ty masz halucynacje, to dlaczego to ja jestem pewien, że zgodziliśmy się na małżeństwo? - Uśmiechnął się na widok wyrazu jej twarzy. - Ja czuję się doskonale.

- Ale dlaczego chcesz się ze mną ożenić? - Czy to miał być

jakiś okrutny żart, czyżby chciał ją ukarać za to, że wplątała go w swoje problemy?

- A dlaczego nie miałbym tego zrobić? I tak muszę się ożenić, wcześniej czy później, i zapewne im szybciej, tym lepiej. Pochodzisz z bardzo dobrej rodziny i teraz już trochę się znamy. Jesteś inteligentna, zdolna i znalazłaś się w trudnej sytuacji, z której to małżeństwo cię wyciągnie. - Gdy wciąż patrzyła bez słowa na jego zupełnie pozbawioną wyrazu twarz, dodał: - Jeśli cię to niepokoi, to nie mam absolutnie żadnych zobowiązań wobec nikogo.

- Ale ja jestem zupełnie zwyczajna. I do tego kuleję. Przywykłam do samotności, a w towarzystwie jestem uparta i kłótniwa. Nie mam żadnego posagu, a farmę właśnie straciłam przez kogoś, kto nadużył mojego zaufania. Nigdy nie debiutowałam w towarzystwie i nie mam pojęcia, jak się poruszać w kręgach, w których ty zapewne żyjesz.

- Tak, wiem o tym wszystkim. - Nawet nie próbował zaprzeczać. - Ale czy możesz powiedzieć, że czujesz do mnie niechęć? To znaczy w chwilach, gdy nie rozbieram się u White'a ani nie próbuję ci pomagać.

- Często miałam ochotę czymś w ciebie rzucić.

- A między tymi chwilami?

Znów się uśmiechnął. Ellie zastanawiała się, czy ma to być jego broń, czy też maska. Wziął ją za rękę, obrócił ją wnętrzem do góry i zaczął zataczać kciukiem kółeczka po zewnętrznej stronie jej nadgarstka. Dotyk był delikatny, ledwo wyczuwalny, ale Ellie miała wrażenie, że przenika ją na wskroś.

- Na przykład kiedy cię całuję? O ile sobie przypominam, uznałaś, że to było interesujące.

- Cóż... Rzeczywiście to nie było nieprzyjemne. - Zdała sobie

sprawę, że ma zamknięte oczy i bez reszty zaabsorbowana jest wrażeniami, jakich dostarczały jej palce Blake'a.

- Jeśli za mnie wyjdiesz, możemy to robić codziennie. - W jego głosie zabrzmiała nutka rozbawienia. - Zaufałaś mi na tyle, by spać w moich ramionach. Nie masz odwagi ani ochoty zostać hrabiną? Pomyśl, ile dobrego mogłabyś uczynić, ile towarzystw dobroczynnych wesprzeć. Albo mogłabyś mieć salon i sponsorować artystów.

Otworzyła oczy.

- Mam obowiązki. Grimshawowie byli dla mnie dobrzy, a są problemy z wodą... Nie mogę ich tak po prostu z tym zostawić. Myślałam, że sprzedaje farmę komuś, kto zajmie się tymi problemami, a nie komuś, kto mnie oszukał z czystej litości.

Blake nawet nie mrugnął.

- Powiem moim prawnikom, żeby się tym zajęli. I tak bym to zrobił. A jeśli okaże się, że nie sposób czerpać wodę ze strumienia, to każę wykopać studnię. Zgódź się, Eleanor, i zostań tutaj. Zaloty na tak wielką odległość byłyby bardzo męczące, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. - Gdy znów spojrzała na niego z oburzeniem, dodał: - Ale zrobię to, jeśli będę musiał.

- Muszę się zastanowić - powiedziała, cofając rękę.

- Dobrze. Przez całe przedpołudnie będę w domu.

- Ale ja potrzebuję więcej czasu.

Potrząsnął głową i wyszedł, zostawiając ją wpatrzoną nieruchomo w drzwi. Blake był utytułowany, przystojny, bogaty, miły i inteligentny. Dlaczego zatem nie był jeszcze żonaty ani nawet zaręczony? Dlaczego nie związał się z żadną kobietą, tylko czekał?

Wiedziała, że nie dowie się tego, dopóki go nie zapyta.

- Czyś ty zupełnie postradał rozum? - Jon chodził po gabinecie tam i z powrotem, rozpaczliwie targając włosy zdrową ręką. Drugie ramię miał jeszcze słabe, choć ciągle zapominał o temblaku. - Naprawdę chcesz wziąć ślub z tą panną Lytton?

- Tak. Jest córką baroneta - zauważył Blake, wpatrując się we własne paznokcie.

- To jedyna pozytywna rzecz w całej sytuacji. Ale przecież wiesz, że możesz się ożenić znacznie lepiej. Ona nie ma pieniędzy oprócz tych, za które chciałeś kupić jej farmę. Nie ma też żadnych koneksji. Jest zwyczajna, wygląda jak tyczka od fasoli, a do tego utyka.

- Ale jest też inteligentna, lojalna i odważna - dodał Blake i podniósł wzrok na sekretarza. - Chciałbym ci również przypomnieć, że mówisz o damie, która ma zostać moją żoną.

Jon zatrzymał się w miejscu i zamyślił.

- Wydawało mi się, że ją lubisz - powiedział Blake łagodnie.

- Lubię ją. Wszystko, co mówisz, to prawda. Ale... możemy jej zapłacić, jeśli nie jest jeszcze za późno.

- Zapłacić? - powtórzył Blake, podnosząc się z krzesła.

Jon podszedł do niego.

- Wiem, że nie masz najlepszych wspomnień z oświadczyn, ale nie musisz przechodzić z jednej skrajności w drugą.

- Co dokładnie przez to rozumiesz? - Blake obszedł biurko. Teraz stali twarzami do siebie.

- Och, do diabła. No dobrze, skoro muszę powiedzieć to głośno. Byłeś kiedyś zaręczony z idealną kandydatką na żonę. Była dobrze urodzona, uposażona, piękna i przypuszczam, że ją kochałeś. Nic z tego nie wyszło, więc teraz popadłeś w drugą

skrajność.

- „Nic z tego nie wyszło” to bardzo eufemistyczne określenie. Nie obawiaj się powiedzieć wprost, że doprowadziłem tę dziewczynę do śmierci. A poza tym pięć lat to dużo czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć, nie sądzisz? - dodał Blake spokojnie. Potem zamknął dłoń w pięść i uderzył Jona w brodę akurat w chwili, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich Eleanor.

Wbiegła do środka i opadła na kolana przy Turnerze, który zwał się na podłogę.

- Jonathanie, czy nic ci się nie stało? Blake, na litość boską, co ty wyprawiasz?

- Wszystko w porządku - odrzekł Jon stłumionym głosem, rozcierając podbródek. - Przepraszam, Eleanor, to był tylko sparing.

- Bzdury! Blake cię uderzył. Co tu się właściwie dzieje? Wstydź się - powiedziała, przeszywając Blake'a wzrokiem. - Jak mogłeś uderzyć mężczyznę, który ma tylko jedną rękę zdrową i nie może się bronić?

Jon podniósł się na nogi i wyciągnął rękę do Eleanor, by jej pomóc wstać.

- Zachowałem się bardzo nietaktownie i prowokująco. Zasłużyłem sobie na to. Zostawię was teraz, żebyście mogli porozmawiać.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Eleanor pytająco uniosła brwi. Pewnie ma zbyt wiele pytań i nie wie, które zadać najpierw, pomyślał Blake, podnosząc z podłogi przewrócone krzesło.

- Proszę, usiądź - odezwał się i wrócił za biurko. - Jon stwierdził, że moje wcześniejsze oświadczenia nie były

szczególnie udane, a ja uznałem, że nie powinien o tym wspominać. - Wzruszył ramionami. - Wyprowadził mnie z równowagi.

- Czy miałeś zamiar opowiedzieć mi o tych nieudanych oświadczeniach? - zapytała uprzejmie.

- Były tylko jedno. Byłem przyrzeczony młodej kobiecie, którą znałem przez całe życie. Małżeństwo zostało zaaranżowane przez naszych ojców, kiedy oboje jeszcze byliśmy dziećmi. Jej rodzice byli naszymi najbliższymi sąsiadami. - Wzruszył ramionami. - Niewiele o to dbałem, ale lubiłem Felicity i zawsze się dobrze dogadywaliśmy. Ojciec zapewniał, że to małżeństwo jest bardzo korzystne dla obu stron.

Eleanor patrzyła na niego uważnie.

- Wyjechałem na uniwersytet i dobrze się bawiłem. Nie zastanawiałem się nad małżeństwem aż do czasu, kiedy zmarł mój ojciec. Potem odziedziczyłem tytuł i ojciec Felicity zapytał z pewnym zniecierpliwieniem, kiedy wreszcie się z nią ożenię.

- I wówczas okazało się, że ona wcale tego nie chce.

- Jak zgadłaś?

- Zaniedbywałeś ją, uważałeś, że jest ci dana raz na zawsze, a potem przyszedłeś prosić, żeby za ciebie wyszła, w chwili, kiedy było to wygodne dla ciebie. - Eleanor wzruszyła ramionami. - Dlaczego właściwie miałyby to zrobić?

- Doskonale wszystko podsumowałaś. Powiedziała, że nie chce za mnie wyjść, a ja próbowałem ją zmusić. Zarzuciłem jej, że zrywa wieloletnią umowę, tłumaczyłem, że plotki zupełnie zniszczą jej opinię, a w końcu zacząłem ją całować ze zbyt wielkim entuzjazmem. Wierz mi, wcale nie jestem z siebie dumny, ale wtedy wydawało mi się, że robię to, co dla niej najlepsze.

- I co się stało?

- Uciekła z innym mężczyzną. Z poetą. Pewnie uważała, że jest wrażliwszy ode mnie. Wybuchł wielki skandal i moje małżeństwo skończyło się, zanim się zaczęło.

Nie pytaj o nic więcej, błagał ją w duchu, ale Eleanor oczywiście zapytała.

- A co się stało z nią?

- Zakochany poeta porzucił ją, gdy się dowiedział, że ojciec Felicity nie da jej posagu. Uciekli do Rzymu. W lecie to miasto prześladowają rozmaite zarazy. Zachorowała i... umarła.

Samotna, zdradzona i w nędzy. Nie miał zamiaru mówić nic więcej. Nie był w stanie myśleć spokojnie o tym, co się zdarzyło. Wydawało mu się, że Felicity musi za niego wyjść i że słusznie czyni, zmuszając ją do tego, ale był w wielkim błędzie. Mogła zrobić wiele innych rzeczy, ale wystraszył ją tak, że nie dostrzegała żadnych możliwości. A on pozostał sam i dopiero wtedy uświadomił sobie, że przez cały czas kochał tę kobietę.

W przeciwieństwie do Felicity Eleanor nie miała wielkiego wyboru, pomyślał, patrząc w jej duże, piwne oczy. Przy odrobinie szczęścia mogła zostać ubogą właścicielką ziemską, a gdyby tego szczęścia zabrakło, żyłaby w biedzie. Albo mogła za niego wyjść. W ten sposób próbował jakoś odkupić to, że odebrał możliwość wyboru Felicity. Wiedział, że nie może teraz zostawić Eleanor samej, bo sumienie nie dałoby mu spokoju.

- I sądzisz, że po tym, co usłyszałam, wciąż zechcę za ciebie wyjść? - W jej głosie nie było wrogości, tylko zdziwienie, jakby naprawdę próbowała go zrozumieć.

- Owszem. Mam nadzieję, że uda ci się zapomnieć o mojej przeszłości i o nieszczęsnych początkach naszej znajomości i że się zgodzisz.

- Bo to uspokoi twoje sumienie?

Ta kobieta miała skalpel zamiast języka.

- Przy tobie nigdy nie zabraknie mi ożywczej wymiany poglądów - rzekł, odrzucając dyplomację.

- W takim razie zgoda. Jak mogłabym odrzucić tak zaszczytną propozycję?

Poddała się. Przez chwilę nie był pewien, czy to, co czuje, to ulga, zdumienie czy przerażenie. Być może czuł to wszystko naraz. Dopiero po chwili zauważył, że Eleanor jeszcze coś mówi.

- Przypuszczam, że wzięłeś pod uwagę to, jak wiele złego małżeństwo ze mną może wyrządzić twoim politycznym ambicjom i życiu towarzyskiemu? Bo jeśli nie, to Jonathan z pewnością wkrótce ci to wyłoży. Ja chciałabym tylko prosić, żebyś nie... żebyś nie...

Po raz pierwszy straciła opanowanie. Blake spojrział na jej dłonie, które wykręcała na kolanach.

- Chciałabym prosić, żebyś zanadto nie obnosił się ze swoimi kochankami i uszanował moją godność - wykrztusiła pośpiesznie i poczerwieniała.

- O ile ty obiecasz mi to samo względem swoich kochanków.

Spojrzała na niego wstrząśnięta.

- Ja dotrzymuję obietnic, Eleanor - powiedział i teraz w jego głosie nie było już kpiny. - Jeśli rzeczywiście weźmiemy ślub, to obiecuję ci wierność, a nie tylko pozory wierności.

- Ja też będę ci wierna. Ale mnie łatwo jest to obiecać.

Blake poczuł irytację z powodu jej niskiej samooceny i dopiero teraz uświadomił sobie, że przestał już zauważać szczegóły wyglądu Eleanor. Stała się kimś mu bardzo bliskim. Powinna zrozumieć, że niczego jej nie brakuje...

Naraz uświadomił sobie, że właśnie stąd wziął się jego gniew na krytykę Jonathana.

- Mówisz tak, bo w tej chwili nie czujesz żadnej pokusy. - Uśmiechnął się, sygnalizując, że to żart. Eleanor przymrużyła oczy. - Ale z całą pewnością nie mam zamiaru rozmawiać o zdradzie w dniu naszych zaręczyn. Jestem zachwycony, że się zgodziłaś, Eleanor.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Blake otworzył szufladę i wyjął pudełeczko obciążone wytłaczaną czerwoną skórą. Nacisnął przycisk zamka i Ellie zamrugła, gdy światło roziskrzyło się w wielkim rubinie. Nie mogła oderwać od niego oczu.

Blake wyjął pierścień z pudełka i stanął przed nią.

- Niech ten pierścień będzie symbolem naszych zaręczyn. Jeśli jednak wolałabyś jakiś inny, oczywiście możemy czegoś poszukać.

Czy ten właśnie pierścień zamierzał dać swojej zmarłej narzeczonej? Jak ona miała na imię? Ach tak, Felicity. Z pewnością Blake nie trzymał tak wspaniałego klejnotu w biurku na wszelki wypadek, gdyby w pobliżu miała się pojawić jakaś kobieta, która wpadnie mu w oko. Ale nie mogła go o to zapytać.

Popatrzyła na kamień płonący wewnętrznym ogniem.

- Jest piękny. - Ale czy akurat dla niej? To był kamień odpowiedni dla wpływowej damy o wysokim statusie. Patrząc na niego, Ellie czuła się jak uzurpatorka. Po ślubie jednak będzie musiała udawać hrabinę. Małżeństwo z Blakiem miało jej zapewnić status, bezpieczeństwo, majątek i możliwość rozwijania własnych zainteresowań, ona zaś w zamian za to powinna go wspierać w polityce, towarzystwie i zarządzaniu majątkiem. Klejnoty i piękne suknie miały się stać częścią parawanu, który musiała skonstruować, by ukryć za nim prawdziwą siebie.

Wyciągnęła do niego lewą rękę wnętrzem do dołu.

- To bardzo piękny pierścień i nie mogłabym cię prosić o nic innego.

Wsunął pierścień na jej palec, a ona instynktownie zwinęła dłoń w pięść.

- Mój Boże, nie przywykłam do noszenia takich klejnotów.

Pierścionek z perełką, który należał kiedyś do jej matki i który nosiła na drugiej ręce, wydawał się przy nim blady jak księżyc przy słońcu.

- Wkrótce się przyzwyczaisz. Oczywiście jest też rodzinna biżuteria, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Któregoś dnia pokażę ci rodzinne portrety, żebyś mogła prześledzić pochodzenie tych klejnotów. To bardzo ciekawe ćwiczenie i zajmie ci czymś myśli, żebyś nie zamartwiała się przez cały czas, że nasze dzieci odziedziczą nos Pencarrowów.

Dzieci... Tak naprawdę dotychczas o tym nie myślała. Ale to naturalne, że Blake chciał mieć dzieci. Przecież po to zawierano małżeństwa dynastyczne. Ona sama pogodziła się już z myślą, że nigdy nie wyjdzie za mąż i nie będzie matką, a potem wmówiła sobie, że nie ma nic przeciwko temu. W końcu wiele kobiet nie zakładało rodziny. Teraz jednak zaczęła się zastanawiać, czy jej wcześniejsza decyzja nie była zwykłą ucieczką.

- Wyślę te klejnoty do firmy Rundell, Bridge i Rundell, żeby je oczyścili - powiedział Blake. - Potem wybierzesz sobie te, które ci się spodobają, a pozostałe wrócą do sejfów.

Ellie podniosła głowę i uśmiechnęła się nieco wymuszenie. Blake odpowiedział jej uśmiechem.

- Przyznaję, że niektóre z tych klejnotów są straszne, ale zawsze można oprawić je na nowo.

Na myśl o tym, że miałyby się jej nie spodobać stare rodzinne klejnoty i że po prostu odesłałaby je do sejfu, omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem. Ani jej ojciec, ani ojczym nie byli biedni, ale żaden z nich nie obsypywał narzeczonej rodzinną biżuterią. Wydawało jej się jednak, że nie powinna okazywać zdziwienia.

- Bardzo chętnie je zobaczę. Czytałam o rodzinnych klejnotach, które mają długą i fascynującą historię. Czy wśród twoich są jakieś związane z legendą albo klątwą?

- Jeśli chodzi o magię, mamy biżuterię z granatami ciotecznej babki Matyldy, która jest tak brzydka, że może wywołać u noszącego przyływ głębokiej melancholii, a także brylantowy komplet, od którego podobno inne damy zielenieją z zazdrości.

Ellie rozluźniła się i uśmiechnęła. Blake, jakiego znała wcześniej, zabawny i niepoważny, powrócił. Miała nadzieję, że za takiego właśnie wyjdzie.

- Z pewnością musimy oczyścić brylanty przed ślubem. Sądzę, że będziesz chciała włożyć cały komplet - powiedział i Ellie przestała się śmiać.

- Przed ślubem? A gdzie będzie ślub? - Wyobraziła sobie naraz, jak kuśtyka przez całą długość nawy jakiegoś modnego londyńskiego kościoła, a wszyscy zgromadzeni chichoczą w chusteczki albo ronią łzy nad tragiczną narzeczoną Hainforda. - Nie mam rodziny. Mam oczywiście przyjaciół, ale z całą pewnością jest ich mniej niż tych, których ty chciałbyś zaprosić.

- Mamy rodzinną kaplicę - zasugerował Blake. - Ale wtedy trzeba byłoby wyrzucić wszystkich gości z domu, żebyśmy mogli spędzić tam miesiąc miodowy.

- A może kościół świętego Jerzego przy Hanover Square? - podsunęła swobodnie. - Tam moglibyśmy zaprosić wszystkich. Jonathan mógłby się zająć organizacją. Przynajmniej miałyby coś do roboty, zamiast nieustannie okazywać mi dezaprobatę.

Pomyślała, że skoro ma zostać hrabiną, to nie będzie ukrywać swojej ułomności. Wszyscy po prostu muszą się do tego przyzwyczaić. A poza tym zamierzała znaleźć suknię, która swoją wspaniałością przyćmi jej kalectwo.

Jonathan wyraźnie zawstydzony i z równie wyraźnym sińcem na podbródku, zajął się planowaniem ślubu. Blake ze znanych tylko sobie powodów oznajmił, że uroczystość ma się odbyć za sześć tygodni.

Mieli wziąć ślub w kościele świętego Jerzego przy Hanover Square. Weselne śniadanie zaplanowano w miejskim domu Blake'a i tu mieli spędzić noc poślubną, a potem wyjechać do Hainford Hall na dłuższy pobyt.

Najpierw jednak Blake ściągnął daleką kuzynkę, która miała odegrać rolę przyzwoitki. Umieścił ją razem z Polly i Ellie w niedużym, lecz bardzo zacnym hoteliku przy Albemarle Street. Panna Paston była spokojną kobietą po czterdziestce. Pomagała kiedyś kuzynce Margaret, czyli wicehrabinie Crampton, w opiece nad dziećmi. Wydawała się miłą, choć nieco bezbarwna, i Ellie przypuszczała, że jako uboga krewna odgrodziła się od życia nieprzekraczalną barierą.

Przeszedł ją dreszcz, gdy uświadomiła sobie, że tak właśnie mogło wyglądać jej życie. Wiecznie byłaby cudzą towarzyszką, pozostającą w cieniu, z roku na rok starszą i cichszą. A tymczasem miała wyjść za earla.

Przyjęła nowy czek za farmę Carndale i odwiedziła pana

Rampiona. Zamierzała wybrać się do niego fiakrem w towarzystwie Polly, ale gdy panna Paston o tym usłyszała, wpadła w przerażenie i natychmiast wysłała wiadomość do drogiego kuzyna Blake'a, który zaopatrzył je w powóz ze stangretem i lokajem. Przyszła hrabina nie mogła jeździć po mieście fiakrem.

Pan Rampion, ożywiony perspektywą szczegółowych negocjacji, wziął czek, wypłacił Ellie zaliczkę i bardzo ceremonialnie odprowadził ją do powozu. Ellie usiadła wyprostowana, przyciskając do siebie torebkę, w której znajdowała się wypchana sakiewka.

- Dokąd jedziemy teraz, panno Lytton? - zapytał lokaj.

- Och... Na Brook Street, proszę - odpowiedziała i usiadła wygodniej. Wiedziała, że nigdy nie będzie piękną i zawsze będzie się różnić od pozostałych kobiet. No cóż, skoro tak, to mogła się różnić w jak najlepszym znaczeniu tego słowa, a osobą, która mogła jej doradzić, jak się do tego zabrać, była lady Verity Standing, najbardziej ekscentryczna kobieta spośród jej znajomych.

Verity była siostrą księcia Severinghama. Przekroczyła już trzydziestkę, była niewiarygodnie bogata i ku rozpaczy całej rodziny uparcie odmawiała wyjścia za mąż. Należała do kręgu przyjaciółek Ellie, które próbowały swoich sił w pisaniu. Wszyscy wiedzieli, że miłość jej życia zmarła na gorączkę przed ponad dziesięciu laty, ale już nie wszyscy wiedzieli, że ta miłość była kobietą. Ellie, która już dawno doszła do wniosku, że w każdej postaci miłość należy przyjmować chętnie i być za nią wdzięcznym. Nie widziała w tym żadnego powodu do żbulwersowania i bardzo współczuła Verity.

Teraz wysłała lokaja Patricka, żeby zastukał do czarnych

drzwi frontowych, a sama czekała w powozie z nadzieją, że zastała przyjaciółkę w domu. Jeśli ktokolwiek potrafił dokonać cudu z jej wyglądem, to tylko Verity.

- Nigdy nie będziesz piękną. - Verity obchodziła ją dokoła, patrząc na nią jak ogrodnik na przerośnięty krzew cisu, który być może dałoby się odpowiednio przyciąć, by nadawał się na ozdobę ogrodu earla.

- Nie - zgodziła się Ellie, bardzo zadowolona, że przyjaciółka nie ma zamiaru jej pochlebiać.

- Ale możesz być oryginalna - oświadczyła Verity.

Z pewnością wiedziała, o czym mówi, bo sama farbowała swoje i tak już rude włosy na jeszcze bardziej przyciągający uwagę odcień, zawsze ubierała się na czarno i chodziła wszędzie z małą szkarłatną papuzką, która wbijała pazury w jej fryzurę.

- Właśnie taką miałam nadzieję - wymamrotała Ellie poprzez skrzek papugi.

- Czy chcesz coś zrobić ze swoim utykaniem? - Verity rzuciła się na głęboki fotel i pociągnęła za sznurek dzwonka. - Hopkins, proszę, przynieś nam herbatę i coś nieprzyzwoicie kleistego.

- Chciałabym, ale co z tym można zrobić? Jedna noga jest krótsza niż druga - zauważyła Ellie, gdy lokaj wyszedł.

- Ale różnica nie jest duża. Można by ci zrobić specjalne buty. Znam pewnego szewca. - Przechyliła głowę na bok. - Dobrze. Teraz włosy.

- Tylko nie czerwone - powiedziała Ellie pośpiesznie. - Blake wspominał, że powinnam je obciąć na krótko.

- Naprawdę tak mówił? Co za inteligentny mężczyzna.

Gratuluję ci. Musimy zrobić listę. – Verity sięgnęła po notatnik leżący na stercie książek obok krzesła. – Włosy, buty, suknia i wszystkie okropne szczegóły niezbędne do przetrwania w towarzystwie. Kto cię będzie oddawał panu młodemu? Chętnie sama bym to zrobiła, ale twój biedny Blake z pewnością nie chciałby skandalu, jaki by wybuchł, gdyby jego pannę młodą oddawała w małżeństwo przyjaciółka safonka. Wiem, kto może to zrobić. Podge.

– Kto?

– Podge. Mój brat Percival. To okropny stary nudziarz, ale bryluje w towarzystwie, a nie ma nic lepszego od księcia, żeby nadać ton na ślubie, chyba że mówimy o księciu z królewskiej rodziny, bo w tym wypadku poziom gwałtownie się obniża. Ile mamy czasu?

– Sześć tygodni. – Ellie nie wiedziała, czy powinna być podniecona, czy przerażona. Książę miał oddać ją mężowi, a jej metamorfozy dokonać jedna z największych londyńskich ekscentryczek.

– Blake będzie z ciebie dumny. Przypuszczam, że kochasz go do szaleństwa?

– Ja... – Ellie zaczęła się zastanawiać, czy jest zakochana w Blake’u. Pożądała go, śniła o nim, lubiła go... przeważnie. Ale czy go kochała?

– Nie. I bardzo źle byłoby, gdybym go pokochała – powiedziała szczerze. – Dlaczego właściwie zgodziłam się na to szaleństwo?

– Bo bardzo niewiele już brakowało, żebyś została ubogą starą panną i utknęła na farmie w Lancashire, gdzie sufit przecieka, a do najbliższej biblioteki jest wiele mil – zasugerowała Verity.

- Mimo wszystko gdyby oświadczył mi się ktoś inny niż Blake, odmówiłabym. Nie chcę miłosierdzia. Ale ponieważ to Blake, pomyślałam, że może będę mogła dać mu coś w zamian. Wydaje mi się, że on czegoś potrzebuje i być może ja właśnie to mam. Choć otacza go mnóstwo przyjaciół i przyrodni brat, który go uwielbia, to jednak czai się w nim głęboki mrok.

Verity wyprostowała się gwałtownie. Papuga zaskrzeczała i wzbiła się do góry, prosto na Hopkinsa, który omal nie upuścił tacy z herbatą. Postawił ją na stoliku, popatrzył z potępieniem na swoją pracodawczynię i wyszedł.

Ellie sięgnęła po niewielkie ciasteczko i spróbowała.

- Jakie to pyszne! Skosztuj.

Verity tylko pomachała ręką.

- Mrok? Ellie, moja droga, upewnij się najpierw, że to jest mroczny zakamarek, który możesz rozświetlić, a nie czarna pustka, która i ciebie pochłonie.

Pięć tygodni później Ellie wciąż się zastanawiała nad ponurym prorocstwem Verity. Rzadko widywała Blake'a. Pojawiał się tylko czasem, żeby zapytać ją o zdrowie, donieść o postępach przygotowań i zabrać na przejażdżkę po parku, gdy akurat przestawało padać.

Wciąż była w żałobie, mogła więc kryć się za anonimową czernią i woalką. Dzięki temu, choć cały Londyn huczał od plotek po ogłoszeniu zaręczyn lorda Hainford z nieznaną nikomu dziewczyną, nikt nie mógł jej winić za to, że usuwa się z widoku.

Wzmogło to jeszcze spekulacje na jej temat. Wiedziano o niej tyle, ile można było znaleźć w herbarzu i księgach genealogicznych. Pewnym problemem był okropny wypadek,

który odebrał życie jej przybranemu bratu, i jego związek z szokującymi wydarzeniami u White'a. W końcu jednak nawet najwięksi plotkarze musieli uwierzyć, że sir Francis Lytton po prostu stanął w niewłaściwym miejscu w niewłaściwej chwili.

Verity, która miała uszy i oczy otwarte, powiedziała Ellie, że ogólnie rzecz biorąc, wszyscy uznali, że właśnie ta tragedia zbliżyła do siebie przybraną siostrę Lyttona i lorda Hainford. Wszyscy również twierdzili, że to dobrze, że Hainford wreszcie zdecydował się ożenić, szczególnie po skandalu, jaki wyniknął z jego wczesnych zaręczyn. Plotkarze twierdzili, że Felicity Broughton musiała być głupią i zepsutą dziewczyną, skoro poświęciła majątek, pozycję, a w końcu nawet własne życie dla jakiegoś poety.

Trzy dni przed ślubem Blake zabrał Ellie na przejażdżkę o dziesiątej rano, znacznie wcześniej niż zwykle, w porze, gdy całe dobre towarzystwo popijało jeszcze gorącą czekoladę albo chwyciło resztki snu za zaciągniętymi szczelnie zasłonami.

- Jak się czujesz? - zapytał, gdy wjechali do Green Parku. Foryś pozostał na ławce przy bramie, gdzie miał cierpliwie czekać na ich powrót.

- Dziękuję, dobrze. A ty?

- Ja też dobrze. Cierpię tylko przez Jonathana, który uparł się zorganizować idealny ślub. Powinien wiedzieć, że żadna uroczystość nie jest idealna. Musiałem znieść długą dyskusję o dokładnym odcieniu mojego krawata, liczbie koni, jakie mają być zaprzężone do powozu i do którego powozu, czy na pewno wystarczy szampana dla wszystkich gości i ile należy dać napiwku dzwonnikowi. - Wziął ostry zakręt i dodał: - I to tylko dzisiaj rano.

- Nie wierzę ci! - Ellie zaśmiała się. - A co ja mam

powiedzieć? Ciągle muszę chodzić na zakupy. Wbijają we mnie szpilki, a wszystkie moje druhny wciąż rozprawiają o stroikach na głowę, wstążkach i modlitewnikach.

Druhny, wybrane spośród przyjaciółek zainteresowanych książkami, zazwyczaj niewiele uwagi poświęcały strojom i Verity robiła, co mogła, żeby upodobnić je do dam z towarzystwa.

Ellie musiała się również nauczyć chodzić w butach, które sporządził dla niej szewc Verity. Było to bolesne, bo przyzwyczała się już poruszać się z nieco krótszą nogą. Była pewna, że nie zacznie nosić tych butów na co dzień, chciała jednak przejść w nich przez kościół, gdy wszyscy znajomi i rodzina Blake'a zobaczą ją po raz pierwszy. Wystarczyło już, że Blake musiał znosić plotki i komentarze o tym, że jego narzeczona jest zupełnie nikim. Ellie nie chciała dodawać do tego jeszcze swojego kalectwa. Znowu zacznie zachowywać się normalnie, kiedy już się do niej przyzwyczają.

Krawcowa Verity obchodziła ją dokoła, posykując i mrużąc coś o wszyciu poduszek do sukni, Ellie jednak nie zgodziła się na to. Starła się dobrze jadać, ale wiedziała, że wcześniej czy później Blake zobaczy ją bez ubrania i sam się przekona, co w jej wyglądzie było prawdziwe, a co fałszywe. Była mu winna szczerłość. Zastanawiała się tylko, czy on również odpowie jej szczerością i usiłowała się przekonać, że nie ma się o co martwić.

- Co się dzieje? - zapytał Blake, gdy Ellie zamilkła. - Zwykle nie jesteś w takim melancholijnym nastroju.

- Skąd wiesz? - odrzekła lekko. - Może przez cały czas popadam w melancholię.

Zwykle dużo czasu spędzała na pisaniu, a ta czynność

wymagała wiele namysłu. Odkąd Blake jej się oświadczył, prawie nie tknęła swoich rękopisów. Musiała dokończyć ostatni tom edukacyjnych podróży Oscara, bo wiązała ją umowa z wydawcą, ale gdy chodziło o romans dla wydawnictwa Minerva Press... Nie, hrabiny nie pisywały skandalizujących powieści. Być może Ellie niewiele wiedziała o wyższych sferach, ale tego jednego była zupełnie pewna. Manuskrypt i wszystkie notatki schowała na samym dnie kufra. A poza tym miała teraz swojego szarookiego, czarnowłosego bohatera na żywo i nie musiała już snuć o nim fantazji.

Blake wciąż patrzył na nią ze zmarszczonym czołem. Uświadomiła sobie, że nie widzi jej twarzy przez woalkę, odrzuciła ją i uśmiechnęła się.

- Tylko się z tobą drażnię. Po prostu mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Verity szkoli mnie intensywnie w zasadach zachowania w towarzystwie i kręci mi się od tego w głowie. Słowo daję, wczoraj w nocy przyśnił mi się koszmar, w którym miałam zaplanować rozsądzenie gości przy stole podczas kolacji, na którą zaproszeni byli wiejski wikary, syn markiza, dobrze urodzona, lecz wywołująca skandale kochanka księcia z królewskiej rodziny, arcybiskup Canterbury i premier. To cud, że moje krzyki nie obudziły Polly.

- Daję ci najświętsze słowo honoru, że nigdy nie zaproszę arcybiskupa na kolację - przysiągł uroczyście Blake i oboje wybuchnęli śmiechem. Wsunęła rękę w zgięcie jego łokcia i znów poczuła się dobrze.

Mięśnie jego ramienia drgnęły. Zapewne ściągnął wodze konia, choć nie zauważyła, by poruszył dłonią. To, jak wyczuwał ruchy konia, było bardzo podniecające. Czy potrafił równie dobrze wyczuwać kochankę? Przypomniała sobie pocałunek na

pastwisku i zadrżała, niepewna, czy z niepokoju, czy z wyczekiwania. A jeśli Blake, gdy już znajdą się w łóżku, uzna, że jej chude ciało jest nieatrakcyjne i zacznie tęsknić za pięknymi twarzami byłych kochanek? Wiedziała, że mężczyźni nie potrafią udawać podniecenia.

A co z nią? Jakoś udawało jej się dotychczas nie wybiegać myślą poza pocałunki, ale noc poślubna polegała na czymś więcej i Ellie nie była pewna, czy uda jej się ukryć przed Blakiem swoje lęki. Kobiety, co prawda, potrafiły udawać podniecenie, ale akurat nie w tym leżał problem...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Zimno ci? Mogę się zatrzymać i poszukać pledu. - Blake ściągnął lejce i obrócił się przez ramię. Widocznie zauważył, że przeszył ją dreszcz.

Ellie spojrzała na boki. Znajdowali się w samym środku dużej kępy zarośli, osłonięci od strony otwartego trawnika. Nikt ich tu nie widział ani nie słyszał, chyba żeby zaczęła krzyczeć. Mimo wszystko...

- Nie, nie jest mi zimno.

Blake rzucił bicz i owinął lejce wokół uchwytu.

- Stać.

Dobrze wyszkolone konie zastrzygły uszami i znieruchomiały. Blake ściągnął rękawiczki. Ellie uznała to za sygnał, że zamierza zaczekać i wysłuchać wszystkiego, co ona ma do powiedzenia.

- Boję się.

- Czego się boisz? - zapytał ze zdziwieniem, ale zaraz zmarszczył brwi. - Eleanor, powinienem był pomyśleć o tym wcześniej. Nie masz matki ani zamężnej siostry, które mogłyby ci doradzić i wyjaśnić, co będzie się działo. Proszę, nie obawiaj się. - Łagodnie dotknął jej policzka. - Ja... nie będziemy się z niczym śpieszyć. Nie zdarzy się nic, czego nie będziesz chciała.

- Nie, nie, Blake, nie w tym rzecz. - O Boże, pewnie była czerwona jak burak z zażenowania. Dlaczego w ogóle zaczęła o tym mówić? - Tego absolutnie się nie obawiam - skłamała.

Nie potrafiła jednak zdobyć się na to, by wyznać, co spotkało ją kiedyś, tej koszmarnej nocy, kiedy złamała nogę, a ojczym zmarł.

- Obawiam się, że nie będę potrafiła cię zadowolić. Tamtego wieczoru przed kominkiem powiedziałaś, że posiniaczyłeś sobie ramię o moje kości.

- Jestem idiotą - stwierdził Blake. - Martwiłem się o ciebie, bo byłaś taka szczupła, i bałem się, że wpędzisz się w chorobę. Ten żart miał cię zachęcić, żebyś zaczęła trochę więcej jeść. Za nic na świecie nie chciałbym cię zranić, Eleanor.

Szczerzość, upomniała siebie. Powinna mu opowiedzieć, jak doprowadziła się do wychudzenia, bo bała się ojczyrna i chciała się pozbyć kobiecych kształtów. Spojrzała na konie, drzewa i własne dłonie w rękawiczkach, starannie jednak omijała wzrokiem twarz Blake'a.

- Po wypadku nie czułam się dobrze - zaczęła mówić ostrożnie. - Straciłam apetyt i trudno mi było znowu zacząć jeść.

- Biedactwo - powiedział Blake i przesunął palcem po jej policzku aż do warg. W końcu podniosła na niego wzrok.

- Jesteś bardzo kobieca, Eleanor. Obfite kształty to nie wszystko. Jeśli tylko nie będziesz się mnie obawiać, to wszystko dobrze się ułoży, obiecuję.

Mimowolnie musnęła ustami jego kciuk, a on wsunął go w jej usta i zaczął nim poruszać.

- Eleanor...

Czy to było pytanie, stwierdzenie czy żądanie? Nie wiedziała, ale pochyliła się w jego stronę, a on wziął ją w ramiona i namiętnie pocałował. Wiedziała, że powinna być przestraszona. To nie był pocałunek, jakim dżentelmen mógłby

obdarzyć niewinną narzeczoną, lecz śmiała deklaracja pożądania. Smakował tak samo jak wtedy na pastwisku albo na owczych skórkach, ale intencja tego pocałunku była zupełnie inna. Eleanor czuła to pomimo swojej ignorancji. W końcu był to zaledwie trzeci pocałunek w jej życiu.

A potem straciła umiejętność analizowania tego, co się dzieje. Tulila się do Blake'a, roztapiając się w jego ciepłe. Teraz to już nie tylko on ją całował, lecz całowali się nawzajem. Ellie wsunęła język w jego usta i jej serce zaczęło bić szybciej, gdy zauważyła jego reakcję.

Konie poruszyły się i szarpnęły powozem. Odsunęli się od siebie, nieco zdyszani. Usta Blake'a były zmysłowo nabrzmięte.

Zrobiłam to, pomyślała Ellie. Całowałam go i niczego się nie bałam. Może jednak będę mogła to zrobić...

- Czy wątpisz, że cię pragnę? - zapytał Blake ochryple.

Dlaczego? - zastanawiał się Blake, usiłując zapanować nad końmi i własnym ciałem. Właśnie pocałował młodą, niedoświadczoną kobietę w samym środku Green Parku i z trudem się powstrzymał, by nie ściągnąć jej z siedzenia gdzieś pod osłonę krzewów i nie rzucić się na nią z całą siłą wrzącej w nim namiętności. Całował tak Felicity, a ona wyrwała mu się, przejęta zgrozą. Tymczasem Eleanor oddawała pocałunki.

Zamrugnęła, jakby ze zdumieniem. Usta miała różowe i nabrzmięte, skórę zarumienioną. Nawet teraz trudno ją było nazwać piękną, ale wyglądała słodko i uroczo. Blake dotychczas zawsze szukał pięknych kochanek. Był przystojny i pożądany, więc ignorował zwyczajne, niezręczne istoty. Arogancki łajdak, pomyślał. Nieczęsto się zdarzało, by patrzył na siebie oczami innych i nie było to przyjemne uczucie. Czy tak właśnie widziała

go Eleanor przy ich pierwszym spotkaniu - jako uprzywilejowanego, wyniosłego arystokratę, który bierze z życia, co chce, ignorując skutki uboczne?

Felicity była piękna, idealna, i to była jedna z rzeczy, za które ją kochał. Kochał ją, choć wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy. Zapewne nie wyglądała już pięknie, gdy umierała trawiona gorączką w jakimś podrzędnym pensjonacie w Rzymie. To on zniszczył jej urodę, podobnie jak całe jej życie.

A jednak pożądał kobiety, która teraz siedziała obok niego. Jej cera zaczynała już odzyskiwać normalną barwę, włosy jak zwykle wysuwały się ze szpilek i spod skraju kapelusza. Smakowała marmoladą, czarną herbatą, niewinnością i pożądaniem.

- Nie. Nie wątpię w to, że mnie pragniesz - powiedziała sztywno jak nauczycielka z niedzielnej szkółki.

Blake szarpnął wodze i konie ruszyły stępa.

- Moje badania wykazały, że prawie każda kobieta może wzbudzać pożądanie mężczyzn i że to pożądanie nie ma nic wspólnego z uczuciami.

- Twoje badania? - Blake spojrzał na nią. Jakież to badania nad męskim pożądaniem mogła przeprowadzać ta kobieta?

- Teoretyczne - uspokoiła go. Przypuszczał, że śmieje się z niego w duchu. Jej głos nieco drżał. - Czytałam o tym i rozmawiałam z przyjaciółmi.

Ramiona Blake'a rozluźniły się.

- Rozumiem. Wiedza z książki takiej jak ta o rolnictwie śródziemnomorskim?

- W tamtej książce nie było nic o męskim pożądaniu - wyjaśniła. - Tylko o zbiorze daktyli i nawadnianiu pól nad Nilem.

Zamierzał zapytać, dlaczego interesowały ją tak egzotyczne tematy, gdy znów zaczęła mówić.

- Muszę ci coś wyznać.

- Wyznać - powtórzył bezbarwnie. - Mów.

Ellie uświadomiła sobie, że to nie był najlepszy moment. Nie powinna wspominać o tym tuż po pocałunkach i rozmowie o męskim pożądaniu. Nic dziwnego, że Blake nastroszył się jak pies, który zwęszył szczura.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli ci to pokażę. Czy mógłbyś zabrać mnie z powrotem do hotelu?

U bram parku na ławkę wspiął się foryś, toteż w drodze powrotnej nie rozmawiali więcej, ale do hotelu Bailey's nie było daleko. Ellie zauważyła na czole Blake'a zmarszczkę.

Panna Paston wyraźnie się zdziwiła, że tak szybko wrócili z przejażdżki i że Blake wszedł do hotelu razem z Eleanor. Poróżowiała, gdy pocałował ją w policzek i uścisnął dłoń.

- Chciałam tylko pokazać coś lordowi Hainford, Antonio - wyjaśniła Ellie i zdjęła z półki wszystkie tomy dzieła pani Bundock. - To ja je napisałam. Jestem panią Bundock.

- Bundock? - Blake wziął do ręki tom *Oscar i Miranda odkrywają Londyn*. - Któż to, u licha, jest Oscar?

- Nieznośny przemądrzały smarkacz - wyjaśniła. - Właśnie skończyłam pisać książkę, w której odwiedził północne wybrzeże Afryki. Stąd właśnie wzięły się palmy daktylowe i Nil. Muszę przyznać, że z największym trudem się powstrzymałam, żeby nie wrzucić go w łapy berberyjskich piratów. Żeby się jakoś pocieszyć, pozwoliłam, żeby wpadł do kanału nawadniającego.

Blake sięgnął teraz po *Młodego podróżnika w Szwajcarii*.

- Ja bym go chętnie wrzucił do szczeliny w lodowcu. A czy

panowie Broderick i Alleyn nie wiedzą, kim jest pani Bundock? To znaczy, czy znają twoje prawdziwe nazwisko?

- Tak, oczywiście. Musiałam rozmawiać bezpośrednio z nimi, bo nie miałam zaufania do Francisa w kwestii pieniędzy. Czy sądzisz, że to może być jakiś problem?

Wcześniej nie przyszło jej to do głowy, obawiała się tylko, że Blake odniesie się z dezaprobatą do jej pisanie i będzie próbował ją namówić do zerwania kontraktu.

- Wydaje mi się, że przygody drogiego Oscara pióra hrabiny Hainford mogą się sprzedawać jeszcze lepiej, nie sądzisz? Wydawcy to ludzie interesu i nie przegapią takiej okazji, by się rozreklamować. Możemy się tylko cieszyć, że nie napisałaś żadnej powieści - powiedział nieobecny tonem, patrząc na tytuły.

Ellie poróżowiała, a potem pobladła.

- Muszę z nimi pomówić.

- Jonathan to robi.

- Ale ja piszę dla nich kolejną książkę. Mam kontrakt.

- Jonathan tym również może się zająć.

- Nie lubię zawodzić nikogo, Blake. Pisanie dla nich pomogło mi utrzymać się na powierzchni finansowo i zawsze honorowali wszystkie swoje zobowiązania.

Popatrzył na nią z uwagą, ale na szczęście nie marszczył już czoła. Rozpoczynanie związku od awantury o Oscara nie byłoby dobrym omenem.

- Jeśli zagwarantują nam dyskrecję, to nie widzę żadnego problemu. Dlaczego nie powiedziałaś mi o swoim pisaniu wcześniej, Eleanor?

Pani Paston pożegnała ich i zapewne poszła do swojej sypialni. Ellie usiadła przy stole, zastanawiając się, dlaczego

dotychczas zachowywała swoje pisanie w tajemnicy przed Blakiem. Najważniejszym powodem była zapewne powieść, w której sportretowała go jako śmiałego władcę pustyni.

Blake oparł się biodrem o skraj stołu i cierpliwie czekał, miarowo uderzając rękawiczkami o udo. Ellie patrzyła na twarde mięśnie pod obcisłymi bryczesami z jeleniej skóry. Polly powiedziała jej kiedyś, że Francis wszedł do wanny w nowych skórzanych bryczesach, bo chciał, by stały się tak obcisłe jak bryczesy jego idola Hainforda.

- Przywykłam zachowywać wiele rzeczy w tajemnicy - wyjaśniła w końcu. - Nie mówiłam o tym Francisowi ze względu na pieniądze. Nie mam szerokiego kręgu przyjaciół. Poza tym nie napisałam żadnej powieści z kluczem, która mogłaby poruszyć towarzystwo i nakłonić do zgadywania, na kim opierałam poszczególne postacie. Oscar to portret naszego wikarego, bardzo pompatycznego człowieka.

- Nie sądzę, by to mogło wyrządzić jakąś szkodę, nawet jeśli wiadomość się rozniesie, i zgadzam się, że należy dotrzymywać umów. Czy właśnie dlatego tak często masz palce poplamione atramentem?

- Kiedy piszę, zapominam o wszystkim - przyznała. - Pewnie macham piórem, gdy wymyślam dialogi. Wiem na pewno, że gryzę końcówkę i to ma katastrofalne skutki, jeśli akurat obróć je odwrotną stroną. Bardzo trudno jest zmyć atrament z języka.

Blake parsknął śmiechem.

- Nie wyczułem smaku atramentu. Wystaw język, sprawdzę, czy jest czarny.

Gdy to zrobiła, pochylił się do niej i skradł jej pocałunek.

- Jeśli przegram wszystkie pieniądze, będziesz mogła napisać

skandalizującą książkę o dobrym towarzystwie i w ten sposób ocalić nam życie.

- Jeśli zaczniesz tak dużo przegrywać, to cię opuszczę, milordzie. Ostrzegam z góry.

Śmiech zniknął z jego oczu i ujrzała w nich pustkę, choć powiedział lekkim tonem:

- Nie, Eleanor, nie opuszczaj mnie.

- Nie zrobię tego - obiecała. - Ja też dotrzymuję słowa.

Nadszedł dzień ślubu.

Miała wrażenie, że głowę ma zupełnie pustą i lekką, jakby lada chwila miała oderwać się od ramion i odlecieć jak balon wypełniony gorącym powietrzem. Utrzymywał ją na miejscu tylko ciężar brylantowych kolczyków.

Otworzyła oczy i spojrzała w lustro. Zobaczyła przed sobą zupełnie nieznaną kobietę, inną nawet od tej, którą widziała poprzedniego wieczoru po bezlitosnym obcięciu włosów.

Oczywiście w dalszym ciągu nie była piękną. Puder ryżowy nie był w stanie zupełnie zamaskować piegów, skrócić nosa ani nadać jej twarzy bardziej interesującego kształtu niż zwykły owal. Ale włosy zwinięte w miriady malutkich pierścionków rzeczywiście wyglądały jak fryzura, a nie jak wronie gniazdo. A poza tym Ellie uświadomiła sobie, że ma kości policzkowe. Nos nie wydawał się jeszcze dłuższy, choć tego się obawiała, a fryzura odsłaniała koniuszki uszu, dzięki czemu urocze kolczyki były dobrze widoczne.

- Teraz suknia. - Verity, krawcowa i pokojówka włożyły jej suknię przez głowę.

- Nie ruszaj się. Nie, nie patrz w lustro, dopóki nie zasznujemy. O, teraz.

Suknia była z jedwabiu w migdałowym odcieniu, ze złotym haftem i przykryta siatką w kolorze ciepłego kremowego brązu. Przy białym albo różowym jej twarz wydawałaby się zupełnie bezbarwna, ale ten odcień ocieplał ją i podkreślał kolor oczu.

- Och... - Westchnęła, gdy Verity przyciemniała jej brwi. - Ja mam jakąś figurę.

To na pewno była zasługa gorsetu i kroju sukni, ale mimo wszystko...

- Przecież ci mówiłam. Przygryź usta. Wolałabym ich nie malować - nakazała Verity. - Teraz naszyjnik i welon.

Naszyjnik też był brylantowy i Ellie pomyślała, że przynajmniej nikt nie będzie patrzył na jej twarz. Welon przytrzymała brylantowa tiara. W końcu wsunęła stopy w buty i skrzywiła się z bólu. Tylko dzisiaj, obiecała sobie. I może jeszcze na dworze, jeśli Blake zechce, żeby została tam przedstawiona. Obiecał, że to zrobi, ale wydawało się to tak nieprawdopodobne, że Ellie nie wierzyła mu.

Przeszła kilka kroków w jedną i w drugą stronę, próbując się przyzwyczaić do bolesnego rwania mięśni, które zdążyły się już przystosować do dysproporcji w długości nóg.

- Nadal utykam.

- Nie, tylko elegancko kołyszysz biodrami - powiedziała Verity. - Czas już iść.

- Tak, oczywiście. Nie możemy się spóźnić.

- Naturalnie, że możemy. Mężczyznom dobrze robi, gdy trochę poczekają. Opuść welon.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Blake wpatrywał się w ciemną boazerię za ołtarzem i starał się nie kręcić. Eleanor się spóźniała. Kościelny zegar wybił godzinę co najmniej dziesięć minut temu. Nie chciał jednak okazywać niepokoju, bo szept i spekulacje i tak już krążyły po całym towarzystwie. Za nim stał Jonathan, nieruchomy i milczący, emanujący pewnością siebie. Długo opierał się prośbie, by być drużbą, aż w końcu zniecierpliwiony Blake powiedział mu, że ich podobieństwo dałoby pożywkę plotkarzom i częściowo odwróciłoby uwagę od Eleanor.

- Większość ludzi i tak już wie, kim jestem - zauważył Jon.

- Tak, ale bardzo to irytuje cioteczną babkę Hermione.

- No cóż, w takim razie będzie to dla mnie zaszczyt. - Jon uśmiechnął się i trącił Blake'a łokciem.

- Eleanor już jest.

Wbrew temu, co sobie obiecywał, Blake obrócił się i popatrzył w stronę drzwi, gdzie powstało jakieś zamieszanie. Oznaczało to, że w kościele pojawił się książę Severingham. Blake wdzięczny był lady Verity, że zadbała o jego obecność w geście wsparcia dla Eleanor.

Nie miał pojęcia, czego powinien oczekiwać. Poczł wielką ulgę, gdy Eleanor zapowiedziała, że zrezygnuje z żałobnego stroju. Gdyby wziął ślub z kobietą spowitą w żałobną czerń jak wrona na drucie, wtedy dopiero plotkarskie kolumny gazet miałyby o czym pisać. Ale ta drobna postać w jasnej, niemal białej sukni, która zmierzała w jego stronę, stanowiła zupełnie

nieoczekiwany widok. Naraz Blake coś sobie uświadomił.

- Jon, to nie jest Eleanor. Ona nie utyka - powiedział cicho.

- Troszeczkę utyka. Pewnie zrobiła coś z butami - odszepnął Jon.

Kościół świętego Jerzego był dość nowy i nie miał długiej nawy, więc Blake musiał szybko się opanować, ale kiedy panna młoda stanęła u jego boku, był już odpowiednio poważny i skupiony. Razem zwrócili się do ołtarza. Blake przygotował się wcześniej i przestudiował tekst nabożeństwa ślubnego. Mówił nawet, co trzeba, w odpowiednich miejscach, bo Jon nie szturchał go łokciem. Obok siebie słyszał cichy, lecz wyraźny głos Eleanor.

W końcu ksiądz ogłosił ich mężem i żoną i zapadła cisza, jakby wszyscy w kościele wstrzymali oddech. Blake odwrócił się, ujął skraj cienkiego kremowego welonu, zarzucił go na diamentową tiarę i zaniemówił. W pierwszej chwili nie poznał kobiety, która na niego patrzyła, dopiero potem zauważył zwrócone na niego duże piwne oczy. Piegi wciąż tam były, przykryte warstwą pudru ryżowego, kształt twarzy również pozostał ten sam. Ale włosy... Nieporządna strzecha zniknęła i teraz twarz Eleanor otaczały miękkie kędziorki. Ta fryzura odsłaniała twarz i podkreślała długą szyję.

Jego żona nie była piękna, ale wyjątkowa, uderzająca, wyrazista. Ujął jej dłonie, ucałował koniuszki palców, potem zsunął z nich wielki rubin, który nosiła na prawej ręce, i wsunął go tuż za ślubną obrączką.

- Teraz jesteś moja - szepnął.

Dzielna dziewczyna, pomyślał, wyczuwając drżenie jej dłoni i patrząc na łagodny uśmiech. Obrócił ją twarzą do gości - tłumowi ludzi, których nie znała, a którzy mieli ją oceniać,

szufladkować i komentować jej wygląd. Mocno ujęła go pod ramię i powoli poszli w stronę podwójnych drzwi. Blake czuł wysiłek jej mięśni, gdy starała się nie utykać, i zastanawiał, co takiego zrobiła. Nietaktownie byłoby ją o to zapytać, ale martwił się. Pod warstwą pudru ryżowego była bardzo blada, choć mogło to wynikać ze zdenerwowania. Położył dłoń na jej dłoni spoczywającej na jego ramieniu i uścisnął ją lekko.

Drgnęła na widok tłumu przed kościołem, który zawsze się tu gromadził przy okazji ślubów. Zauważył reporterów, którzy pisali coś w notatnikach, starając się pochwycić każdy szczegół sukni na użytek kolumny towarzyskiej jakiejś gazety. Rysownicy gorączkowo sporządzali szkice. Suknia miała się pojawić w następnym miesiącu na stronach *La Belle Assemblée* albo *Ackermann's Repository* jako „suknia ślubna hrabiny Hainford” razem z opisem tkaniny, dodatków i wykończenia. Blake zastanawiał się, czy Eleanor ma coś przeciwko temu, czy może czuje się rozbawiona poświęconą jej uwagą. Znał ją na tyle dobrze, żeby mieć pewność, że jej to nie schlebia. Poświęcano jej uwagę nie ze względu na jej własny gust czy osobowość, lecz z powodu jej pozycji jako żony lorda.

- Tu jesteś bezpieczna - powiedział, gdy usiedli w otwartym powoziku. - Czułem się tam jak ścigany lis.

- Tak. - Zadrżała lekko. - Tłum nawet w dobrym nastroju jest przerażający. Dzisiaj to były schody kościoła, wczoraj schody gilotyny.

Blake uśmiechnął się.

- Wyglądasz olśniewająco, moja droga. Jesteś elegancką i wyjątkową w każdym calu hrabiną.

- I w każdym calu Ellie? - zaśmiała się z napięciem.

- W każdym - zgodził się i zatrzymał wzrok na jej dekolcie. -

Bardzo doceniam to, że posłusznie objadałaś się ciastami z kremem. – Zarumieniła się lekko. – Ale Ellie? Czy wolisz, żeby tak cię nazywać?

– Ja tak myślę o sobie, ale lubię, kiedy nazywasz mnie Eleanor, bo to mi przypomina, że teraz jestem kimś innym.

– Mam nadzieję, że nie jesteś nikim innym. Ożeniłem się z Ellie tak samo jak z Eleanor. A którą z was całowałem w tych krzakach w Green Parku?

– Z całą pewnością Ellie.

Tym razem uśmiechy ich obojga były zupełnie szczere.

– Podobają mi się twoje włosy. – Wydawało mu się, że one również należą do Ellie. Eleanor była hrabiną, Ellie dziewczyną o piwnych oczach, zaskakującą panią Bundock, kobietą, która odważnie stawiała czoło życiu na przemoczonej, przeciekającej farmie.

– To ty mi zasugerowałaś tę fryzurę i miałaś rację. Mnie też się podoba, choć mam wrażenie, że moja głowa jest tak lekka, że lada chwila oderwie się od ramion i odfrunie. – Dotknęła krótkich kosmyków. – Dobrze, że przytrzymują ją te wszystkie diamenty.

– Pasują do ciebie. Nie zdejmuj ich.

Zmarszczyła czoło.

– Czy to znaczy, że powinnam je zdjąć, gdy już będziemy w domu? Myślałam, że będę je nosić, dopóki goście nie odjadą.

– Miałem na myśli później... kiedy zdejmiesz już wszystko inne.

Goście mogli sobie iść do diabła. Blake żałował, że nie zaplanował wyjazdu z Londynu jeszcze przed nocą poślubną, ale chciał, żeby wszyscy mogli się napatrzeć na jego nową hrabinę.

- Blake! - Zarumieniła się uroczo i Blake, który wcześniej powtarzał sobie, że musi spełnić w łóżku małżeński obowiązek i starać się nie myśleć przy tym o swoich pięknych i wyrafinowanych kochankach, naraz odkrył ze zdumieniem, że zapewne w ogóle nie będzie miał ochoty o nich myśleć. Zawsze wymagał od kobiety urody, pewności siebie i bujnych kształtów, a także zmysłowości, i oczekiwał, że jego żona będzie mogła się poszczycić wszystkimi tymi cechami. Oczywiście oprócz doświadczenia. Ale patrząc na uśmiechniętą Eleanor nie mógł już się doczekać, żeby nauczyć wszystkiego właśnie ją.

Napięcie zniknęło z jej twarzy. Może rzeczywiście była po prostu zdenerwowana uroczystością i nie odczuwała żadnego fizycznego dyskomfortu. Zapytałby ją, ale powóz zatrzymał się już przed domem przy Berkeley Square i po schodkach zbiegali lokaje. Przy drzwiach stał Turner z uroczystą miną. Blake podał Eleanor rękę i poprowadził ją do drzwi. Na szczycie schodów zatrzymał się.

- Obiecuję, że tym razem będę delikatniejszy niż wtedy na pastwisku.

Pochylił się, wziął ją na ręce i przeniósł przez próg. Pisnęła ze zdziwienia i zacisnęła ramiona na jego szyi.

- Nie upuszczę cię - uspokoił ją, wchodząc do holu.

- Wiem - szepnęła i pocałowała go w ucho.

Impuls, żeby go pocałować, pojawił się znikąd. Jego ucho znajdowało się tuż przy jej ustach i miała wielką ochotę przygryźć płatek. Zdumiona tą myślą, pocałowała tylko miękką skórę, wdychając ciepły, ostry zapach, i uśmiechnęła się, gdy jego włosy połaskotały ją w twarz.

Blake zatrzymał się i postawił ją.

- Ty łasiczko - szepnął z westchnieniem i pocałował ją

w policzek. – Witaj w nowym domu, lady Hainford.

Rozległy się brawa. Ellie rozejrzała się i zobaczyła tłum służby – lokaje, pokojówki, kucharz, dama o poważnym wyglądzie, zapewne ochmistrzyni, i nawet jakieś dzieci, które wyglądały nieśmiało zza fartuchów pomocy kuchennych. Tyle służby, a to był tylko dom miejski. Jutro mieli wyruszyć do posiadłości w Hampshire i tam spędzić miesiąc miodowy.

Miesiąc miodowy. Obróciła te słowa w głowie. Miesiąc miodowy kojarzył się z intymnością, bliskością, całkowitym oddaniem drugiej osobie. Nie miała pojęcia, czy uda jej się nie rozczarować Blake’a i nie wiedziała też, jakie uczucia on w niej wzbudzi.

Najpierw jednak musiała przetrwać weselne śniadanie i noc poślubną.

Brnęła przez cały dzień krok po kroku, starając się skupiać wyłącznie na najbliższym zadaniu. Teraz należało stanąć obok Blake’a i powitać wszystkich gości, którzy wkrótce pojawią się w drzwiach. Stała pomimo bólu nogi, pleców i biodra. Musiała się uśmiechać i emanować pewnością siebie, choć była pewna, że nie zapamięta żadnej twarzy ani nazwiska. Dam sobie radę, pomyślała. Verity dobrze mnie przygotowała.

Polly odprowadziła ją na bok, zdjęła welon, poprawiła spódnice, jeszcze raz przypudrowała piegi i znów zaprowadziła do Blake’a.

– Już idą – powiedział i pierwsi goście stanęli w drzwiach. – O, dobrze. Miałem nadzieję, że się pojawią.

– Kto taki?

– Królewska rodzina – odrzekł i zanim Ellie zdążyła uciec, dodał: – W każdym razie Sussex i Clarence.

Ellie wzięła głęboki oddech, gdy zbliżało się do nich dwóch

przysadzistych dżentelmenów. Znała ich twarze z licznych druków i karykatur. Wydawali się wypełniać cały hol. Rozmawiali przyjaźnie z Blakiem, uścisnęli mu dłoń, po czym zwrócili się do niej. Zmusiła swoje obolałe stawy do głębokiego dygnięcia.

Reszta dnia minęła jej jak we śnie. Poruszała się, uśmiechała i rozmawiała jak w transie, aż w końcu usłyszała głos Jonathana.

- Bogu dzięki, ci byli już ostatni.

- Jak ci się to udało? - zaśmiał się Blake. - Wygoniłeś ich stąd widłami?

- Wystarczyło, że kazałem nie podawać więcej szampana. Ja też już pójdę. Turner jest zajęty w jadalni, Polly czeka w sypialni pani hrabiny, a Jacques powiedział, że lekka kolacja zostanie podana w twojej sypialni. Jeśli nie masz już dla mnie żadnych zadań, to pójdę do siebie. Mam zamiar zrzucić te przeklęte buty, spalić krawat i upić się do nieprzytomności.

Skłonił się przed Ellie.

- Najmocniej przepraszam panią hrabinę za mój język - dodał i zniknął, zanim zdążyli mu podziękować.

Wreszcie koniec, pomyślała. Udało się. O ile wiedziała, nie popełniła żadnych rażących błędów i wszyscy traktowali ją niezmiernie uprzejmie. Nawet księżęta z królewskiej rodziny rozmawiali z nią, próbowali życzliwie flirtować i wychwalali Blake'a za doskonały posiłek. Teraz jeszcze tylko musiała wejść na górę. Specjalne buty zmieniły się w narzędzie tortur. Wszystkie jej mięśnie i stawy protestowały przeciwko pozycji, w jakiej nie pracowały już od lat. Siedzenie było dla niej równie bolesne jak stanie. Bardzo chciała wreszcie zdjąć wszystko

i w końcu się położyć.

Ale to była jej noc poślubna. Następny krok.

- Jonathan jest cudotwórcą - powiedziała. - Chyba już pójdę na górę.

- Oczywiście. Niedługo przyjdę po ciebie i zjemy kolację, dobrze?

Kolacja. To chyba nie miał być eufemizm, w końcu Jonathan też wspominał coś o posiłku. Przeszła przez hol, zbliżając się do schodów, przy których stało dwóch lokajów. Uśmiechnęła się do nich i zaczęła się wspinać na górę. Dobrnęła wreszcie do drzwi swojej sypialni i oparła się o nie ciężko, pewna, że nie jest w stanie zrobić już ani jednego kroku.

- Milady! - Polly dopadła do niej z okrzykiem.

- To te przeklęte buty. Zabierz je i spal. Nigdy więcej nie chcę ich widzieć na oczy! Nie włożę ich nawet podczas prezentacji przed Jej Królewską Mością!

Polly opadła na kolana, pomogła jej zdjąć buty i podtrzymała Ellie, która syknęła z bólu.

- Teraz wszystko mnie ciągnie w przeciwną stronę. Pomóż mi się położyć, Polly. Może ten ból trochę minie.

Polly rozebrała ją do koszuli i pomogła włożyć aksamitny szlafrok, ale ból nie zelżał. Miała wrażenie, że ktoś powtykał w jej stawy ostrza sztyletów.

- Czy mam przynieść laudanum? - zapytała pokojówka.

- Polly, to jest moja noc poślubna! Nie mogę być nieprzytomna. Co by sobie pomyślał lord Hainford?

Ale ta myśl była ogromnie kusząca. Mogłaby wziąć tylko trochę, żeby wszystko wydawało się niewyraźnym snem...

- W sztuce *Lord mrocznej fortecy* Isabella wzięła laudanum - powiedziała Polly. Widziałam w teatrze. Zaprosił mnie Thomas

od sąsiadów. Zrobiła to, żeby uciec przed przebrzydłymi uściskami hrabiego Horatia.

- Ja nie próbuję uciekać przed przebrzydłymi uściskami - odrzekła Ellie, śmiejąc się przez łzy.

- Nie, milady. Może naparzę herbatkę z kory wierzbowej? To dobre na bóle głowy i miesięczne dolegliwości.

- Możemy spróbować. A potem gorąca kąpiel.

Oparła się na stercie poduszek, przymknęła oczy i zmusiła się, by przywołać na myśl wszystkie dobre rzeczy, jakie się zdarzyły. Piękna sukienka i uprzejmość księcia, który prowadził ją do ołtarza. Blake, który stał przy ołtarzu, przystojny i niezmiernie poważny. Wyraz jego twarzy, gdy podniósł welon i spojrzał na nią tak, jakby w tej chwili była piękna. Mężczyzna z jej marzeń i fantazji należał teraz do niej.

Weselne śniadanie przebiegło bez zgrzytów i nie zauważyła, by ktoś szeptał o okropnym mezaliansie, jaki popełnił Hainford. Teraz musiała jeszcze tylko zdobyć się na siłę woli, by przetrwać resztę wieczoru i noc w towarzystwie Blake'a, tak aby nie zauważył, że coś jest nie tak.

Gorąca kąpiel pomogła. Nowo zainstalowana wanna była tak duża, że Ellie mogła się w niej położyć. Do tej pory jeszcze nie miała okazji zauważyć praktycznych korzyści wpływających z małżeństwa z bogatym człowiekiem oprócz tego, że obsypał ją klejnotami, a to tylko przysparzało zmartwień. Ale gorące kąpiele z pewnością były wielką zaletą.

Popijała gorzką herbatkę i zdrzemnęła się chwilę w parującej wodzie, aż w końcu zawołała pokojówkę, żeby pomogła jej wyjść.

- Proszę bardzo. - Polly cofnęła się o krok, podziwiając efekt swoich wysiłków. - Pokojówka lady Verity mówiła, że ta koszula

nocna będzie odpowiednia, a do tego zielony aksamitny szlafrok i takie same pantofle.

Ellie miała zamiar znów włożyć suknię i potraktować kolację jak normalny posiłek, a nie preludium. Gorąca woda i herbatka złagodziły najgorszy ból i znów zaczęła się denerwować. Widziała, że podobała się Blake'owi w sukni ślubnej błyszczącej od diamentów i ściśnięta gorsetem, ale obawiała się, że teraz, odarta ze wszystkich ozdób, będzie mu się kojarzyć najwyżej z bukietem polnych kwiatów.

Rozległo się stukanie do drzwi i nie miała już czasu o nic się martwić.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gdy Blake wszedł, a Polly wysunęła się z pokoju. On też był już przebrany i w długim szkarłatnym szlafroku, spod którego wyłaniała się rozpięta pod szyją koszula, wyglądał zupełnie jak jej egzotyczny władca pustyni. Przeszedł przez pokój, wziął ją na rękę i zaniósł do drzwi w rogu pomieszczenia.

- Mamy wspólny salonik - wyjaśnił, zamykając drzwi ramieniem. - Ale ja mam jeszcze gabinet, więc ten salonik będzie twój. Powiedz mi, co chciałabyś tu zmienić.

Popatrzyła na kremowe ściany z różowymi draperiami i pomyślała, że wszystko wygląda idealnie. Na chwilę zapomniała nawet o tym, że Blake trzyma ją w ramionach. Gdy ją postawił, zsunęła się po jego śliskim jedwabnym szlafroku i opadła na podłogę nieco zbyt gwałtownie. Zachwiała się i przytrzymała oparcia krzesła.

- Eleanor, zraniłaś się? Ależ ze mnie niezgrabny dureń. Co się stało? Kostka?

Dokuśtykała do najbliższego krzesła i usiadła.

- Nie, to absolutnie nie była twoja wina. To tylko moja noga. Jestem trochę zmęczona.

- Zmęczona? - Przyklęknął przy niej i popatrzył uważnie na jej twarz. - Nie, nie jesteś zmęczona, tylko cierpisz. Co sobie zrobiłaś, Eleanor? Powiedz mi. Wiedziałem, że powinienem zapytać, kiedy w kościele zauważyłem, że prawie nie utykasz. Coś pogorszyło stan twojej nogi, bo wcześniej nie przysparzała ci takich cierpień. Powiesz mi sama czy mam to z ciebie

wytrząsnąć?

- Właśnie to robisz - wykrztusiła. Blake trzymał dłonie na jej ramionach i potrząsał nimi.

Gwałtownie znieruchomiał.

- Przepraszam, Eleanor - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Jak to się stało, że przestałaś kuleć?

- To przez ten specjalny bucik. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo to obciąży wszystkie stawy i mięśnie, które już przyzwyczyły się do tej nierówności. Dlatego teraz wszystko mnie boli.

- Powinienem zauważyć wcześniej, że przez cały dzień cierpiałaś. Dlaczego nie zdjęłaś tych przeklętych butów? - zapytał, rozkładając szeroko ręce.

- Bo nie chciałam dawać wszystkim kolejnego powodu do krytyki. Musiałam przejść przez kościół nie utykając, żeby wszyscy nie twierdzili, że ożeniłaś się z kaleką. I tak by się wkrótce o tym dowiedzieli, ale nie chciałam, żeby to się stało w dzień twojego ślubu.

- Jacy wszyscy?

- Twoi przyjaciele i znajomi. Wszyscy z twojego świata.

- To jest nasz świat. Nasi znajomi. I wkrótce niektórzy zostaną również twoimi przyjaciółmi. Eleanor, utykasz, ale to nie ma znaczenia, a jeśli komuś to przeszkadza, to niech idzie do diabła. Zaraz zabiorę cię do łóżka i wezwę lekarza.

Wyciągnął do niej ramiona, ale Ellie odsunęła je.

- Nie możesz wzywać lekarza o tej porze. A poza tym on nic nie poradzi? Wzięłam gorącą kąpiel i wypłam herbatę z kory wierzby.

- Oczywiście, że mogę wezwać lekarza. - Miała wrażenie, że Blake jest na skraju wybuchu. - W końcu jestem lordem

Hainford.

- W życiu nie widziałam większego aroganta!

- To fakt. Ale jestem jego najlepszym pacjentem, więc przyjdzie nawet dlatego, że moja żona z próżności zaniedbała swoje zdrowie.

- Z próżności? Po prostu nie chciałam ci przynieść wstydu, Blake. I nie chcę wracać do swojego łóżka. Chcę pójść do twojego.

- Jeśli sądzisz, że będę wypełniał obowiązek małżeński z kobietą, która cierpi ...

- Miałam nadzieję, Blake, że będziesz mnie kochał, a nie że będziesz wypełniał ze mną obowiązek małżeński! - przerwała mu. Nie próbowała ukrywać urazy i złości. To był długi, wyczerpujący dzień i nie tak miał się skończyć. - Musisz mi wybaczyć mój brak pewności siebie i to, że próbowałam dokonać niemożliwego, żeby być dla ciebie idealną żoną.

- Nigdy nie prosiłem o to, żebyś była idealna. - Przeszedł przez pokój i wpatrzył się w komodę takim wzrokiem, jakby miał ochotę ją kopnąć.

- Powiedziałaś zupełnie jasno, że zwyczajna stara panna, taka jak ja, nie spełnia twoich standardów - odparowała.

Blake przez chwilę patrzył na nią nieruchomo, po czym zrozumiał, o czym mówi.

- Słyszałaś to?

- Słyszałam. Dlatego potem jadłam, aż mnie mdliło, żeby trochę przytyć, i wydałam mnóstwo pieniędzy na suknię, włosy i te przekłete buty., Nie chciałam, żebyś musiał się mnie wstydzić i żeby ci wszyscy ludzie patrzyli z pogardą na mnie i na ciebie, bo się ze mną ożeniłeś.

Próbowała wzbudzić w sobie złość, bo obawiała się, że za

chwile się rozplacze, a to byłoby ostateczne upokorzenie.

- A jeśli chodzi o ciebie, to naprawdę nic mnie już nie obchodzi, co o mnie myślisz, bo widzę jasno, że skorzystasz z każdego pretekstu, żeby nie zabrać mnie do łóżka. A to wielka szkoda, bo trochę już za późno, żeby się rozmyślić.

- Pretekstu? Eleanor, ty cierpisz. Uważasz mnie za zupełnego brutala?

- Nie uważam cię za brutala - wykrztusiła. - Ale wiem, że ożeniłeś się ze mną z litości i nie sądzę, żeby...

- Z litości? Eleanor, wygadujesz głupstwa. - Blake znów opadł na kolana i pochwycił ją za ramiona. Jego palce były ciepłe i delikatne.

- W takim razie dlaczego się ze mną ożeniłeś?

- Bo cię pragnę! Bo cię lubię! Bo wydawało mi się, że będziemy się dobrze rozumieć! Nie ożeniłem się z tobą po to, żebyś wpędziła się w zupełne kalectwo, próbując osiągnąć standardy, których ja ci w żadnym wypadku nie wyznaczałem. I nie musisz na mnie tak patrzeć. Byłem głupi i osądzałem cię powierzchownie, zanim cię lepiej poznałem. Nie chciałem cię polubić, Eleanor. Czułem się winny z powodu Francisa, a to poczucie winy było mniejsze, gdy uważałem cię po prostu za trudną, niemiłą kobietę. Oczywiście wiem, że to mnie w żadnym wypadku nie usprawiedliwia.

- To nawet nie brzmi logicznie - dodała, zaśmiała się drżącym głosem i pochyliła tak, że ich ciała się zetknęły. - Czy to jest nasza pierwsza kłótnia małżeńska?

- Chyba tak. - Odchylił się do tyłu na piętach i spojrzał na jej twarz. - Tylko że właściwie nie jesteśmy jeszcze małżeństwem.

Poczuła, że się rumieni.

- Chciałabym, żeby to już się stało.

- Eleanor, bądź szczerą i powiedz, na co masz ochotę. Możemy zjeść kolację i iść spać albo możemy się kochać, a ja postaram się zrobić wszystko, żeby nie zadać ci bólu.

Nie musiała pytać, czego on chce. Patrzył na nią spod wpróprzymkniętych powiek, a na jego twarzy malowało się wyczekiwanie. Ona pragnęła tego samego, chciała, żeby ten lęk wreszcie przeminął.

- Kochajmy się w moim łóżku - powiedziała bez wahania. - Nie jestem głodna.

Blake skinął głową i sięgnął do sznurówek jej szlafroka. Rozwiązał je i wpatrując się w nią, zsunął szlafrok z ramion. Teraz siedziała przed nim w samej nocnej koszuli, otoczona zielonym aksamitem.

- Czy chcesz, żebym zdmuchnął świece? - zapytał łagodnie, pociągając ją na nogi.

Potrząsnęła głową. Chciała na niego patrzeć, widzieć, że to Blake, a nie żaden inny mężczyzna.

Wyciągnął do niej rękę i pozwoliła się poprowadzić do jego sypialni. W jej centralnym punkcie stało wielkie łóżko, które wyglądało tak, jakby pamiętało pokolenia rodziny Blake'a od czasów Henryka VIII. Myśl o wszystkich zdenerwowanych pannach młodych, które tu trafiały, przyniosła Ellie dziwną pociechę.

- Łatwiej będzie zdjąć ubranie, zanim wejdziemy do łóżka - powiedział Blake praktycznie. Może uważał, że w ten sposób pomoże jej się uspokoić.

Rozwiązał pasek swojego szlafroka, zrzucił go z ramion i ściągnął koszulę przez głowę. Ellie udało się nie westchnąć głośno, gdy zobaczyła jego nagą pierś pokrytą ciemnymi włoskami, które pamiętała z tamtego dnia, gdy ranny pojawił

się w jej domu. Powiodła wzrokiem wyżej. Jego ramiona bez ubrania wydawały się jeszcze szersze, we wgłębieniu szyi mocno bił puls. Zerknęła niżej i zobaczyła białą bliznę po ranie od kuli.

Pochylił się do niej i poczuła jego ciepły, korzenny zapach. Tuż pod linią podbródka miał odrobinę mydła do golenia; to jej uświadomiło, że jest tylko ułomnym człowiekiem, a nie postacią zrodzoną w fantazjach. Zanim zdążyła się zorientować, ściągnął z niej koszulę i posadził ją na samym środku łóżka, a potem po prostu na nią patrzył.

Miała ochotę zakryć rękami piersi i okropną bliznę na udzie, ale powstrzymała się. Ta myśl była tak niedorzeczna, że musiała się uśmiechnąć. Blake również odpowiedział jej uśmiechem i powiódł palcami po jej żebrach. Wstrzymała oddech. Nie spodziewała się, że dotknie jej akurat tutaj.

- Bardzo się o ciebie martwiłem tamtej nocy w Lancashire. Wydawało się, że nikt nie żyje w oczach.

Usiadł na łóżku obok niej i tym razem popatrzyła na niego zupełnie otwarcie. Męskie ciało było dziwne, ale wspaniałe. Gdzieś w jej umyśle odezwał się stary lęk. Chcę tego, powiedziała sobie. To nie to samo, co zdarzyło się wcześniej. To nie ma nic wspólnego z tamtym miejscem ani z tamtym mężczyzną.

- Jesteś bardzo proporcjonalna - powiedział, gładząc jej piersi. - Małe, ale doskonałe.

- Naprawdę?

Jego palce wydawały się brązowe na jej mleczej skórze, czubki piersi stwardniały aż do bólu. Jej ciało ufało mu i odpowiadało na niego, choć umysł wciąż stawiał opór.

- Naprawdę.

Przez chwilę pieścił jej piersi, a potem jego dłonie powędrowały w dół do bioder i ud. Gdy znalazły się tuż obok blizny, Ellie poruszyła się niespokojnie.

- Czy to boli?

- Nie - potrząsnęła głową. - Czasami trochę ciągnie i jest brzydkie.

- Tak - zgodził się spokojnie. - Ale ty przez to nie stajesz się brzydka. Spójrz.

Obrócił się do niej plecami i zobaczyła poszarpany czerwony ślad, biegnący ukośnie od prawej łopatki aż do lewego biodra. Inaczej niż biała blizna po kuli, ta rana nie zagoiła się równo.

- Moja blizna jest większa od twojej. Spadłem z drzewa, kiedy miałem czternaście lat, a ten ślad zostawiła złamana gałąź. - Znow usiadł twarzą do niej. - Życie zostawia blizny nam wszystkim. Niektóre widać, innych nie.

Położył się obok niej na plecach.

- Czy chcesz mnie dotknąć?

- Gdzie tylko zechcę?

- No cóż, nie tam - wskazał w dół. - I tak jest zanadto podniecony, nie trzeba go jeszcze bardziej zachęcać.

Nie wiedziała, czy chciał ją rozbawić, ale nie wydawał się urażony, gdy wybuchnęła śmiechem. Trudno było czuć lęk, gdy się śmiała, albo bać się mężczyzny, który w takiej chwili potrafił z siebie żartować.

Oparła dłoń na jego piersi. Czarne włoski były jednocześnie sztywne i miękkie. Usłyszała głęboki pomruk dochodzący z jego piersi i przesunęła rękami po żebrach i kościach biodrowych, aż w końcu zatrzymała je po obu stronach męskości.

- Wydaje mi się, że mógłbym dojść do końca, gdybyś tylko siedziała tutaj i tak na mnie patrzyła - powiedział ochryple.

Dojść do końca. To oznaczało orgazm. Verity jej to wyjaśniła i opowiedziała o męskiej anatomii.

- Pocałuj mnie - poprosił.

Musiała niemal się na nim położyć i przypuszczała, że właśnie tego chciał. Jego ciało było ciepłe i silne, a dotyk włosków na jej skórze podniecający. Zaczynała się już jednak niecierpliwić. Chciała czegoś więcej niż tylko pocałunków i łagodnych pieszczot. Chciała Blake'a i chciała wreszcie uwolnić się od tego lęku.

Stoczyła się z niego i położyła na plecach.

- Wszystko w porządku, Blake. Kora wierzbowa działa, więc nie musisz mnie traktować, jakbym była ze szkła.

Obrócił się na bok i wsparł na łokciu.

- Jesteś delikatna jak szkło. Nie jesteś już wychudzona, Eleanor, ale nadal jesteś szczupła, a ja jestem duży i...

- Mmm - mruknęła, niepewna, czy to w czymś pomoże.

Blake chyba uznał to za prowokację.

- Łasiczko... - westchnął i powoli opuścił się nad jej ciałem, wspierając się na łokciach i kolanach. Nie zamykała oczu, powtarzając sobie przez cały czas, że to Blake. Poruszyła się tak, by mógł się w nią wpassować, i wiedzona instynktem wsłuchiwała się w sygnały, jakie wysyłało jej własne ciało. Lęk wciąż czaił się w tle, ale równocześnie narastała magia.

Blake trącił ją w intymnym miejscu, a ona instynktownie uniosła biodra, po czym znieruchomiała, gdy wsunął się w nią odrobinę i zaczął się kołysać w przód i w tył, mrużąc jej coś do ucha i całując szyję. Przycisnął ją mocniej do siebie i naraz przestała widzieć jego twarz, czuła tylko jego ciężar i siłę. Był znacznie silniejszy i większy od niej, a ona była zupełnie bezradna.

I naraz, jakby ktoś otworzył zaporę, wezbrała w niej panika i znowu znalazła się w tamtej sypialni w Londynie. Migoczące światło świecy oświetlało sylwetkę ojczyma, który wgniatał ją w materac i próbował rozsunąć jej nogi, drugą ręką zatykając jej usta.

Nie, nie, nie! Uwolniła dłoń, szarpiąc się szaleńczo, i zacisnęła palce na świeczniku stojącym obok łóżka. Wzięła zamach i usłyszała głuchy odgłos, gdy świecznik w coś trafił. A potem, tak samo jak kiedyś przed laty, przygniatające ją ciało zniknęło.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Piekło i szatani! - Blake zsunął się z łóżka poza zasięg jej ramienia. - Eleanor, wystarczyło powiedzieć, żebym przestał...

A potem zobaczył jej szeroko otwarte, niewidzące oczy, poczuł dreszcz przebiegający przez jej zeszywniałe ciało i usłyszał te same gorączkowo szeptane słowa co wtedy, kiedy była pod nim uwięziona w przewróconym powozie.

- Eleanor, to ja, Blake. Wszystko jest w porządku. To ja, nikogo więcej tu nie ma.

Narzucił na nią zielony szlafrok, wszedł na łóżko i przycisnął ją do piersi.

- Eleanor, kochana, daję ci słowo, że jesteś bezpieczna.

Świecznik wypadł spomiędzy jej palców na pomietą pościel. Zwinęła się w kłębek i zaszlochała.

- Blake? Tak mi przykro. Zraniłam cię? - zapytała stłumionym głosem i poczuł wilgoć na piersi. Płakała. Doprowadził tę dzielną kobietę do płaczu, choć wszystkie dotychczasowe przeciwności znosiła z odwagą i determinacją, nie roniąc nawet łzy.

- Nie - uspokoił ją, ignorując ból w lewym ramieniu. - Powiedz mi, Eleanor, ale tym razem powiedz mi prawdę. Kto to był?

Wydawało się, że nie ma zamiaru odpowiedzieć, że usnęła w jego ramionach, ale potem pociągnęła nosem i zsunęła się z jego kolan, ocierając oczy wierzchem dłoni.

- Mój ojczym - wyznała szeptem, wpatrując się we własne

dłonie. - Ale nie... nie udało mu się... - Przełknęła. - Tylko próbował. Uderzyłam go karafką na wodę i zaczęłam krzyczeć. Przybiegła Jane, która była wtedy moją pokojówką. Zwolnił ją następnego dnia, ale potem już pilnowałam, żeby nie znaleźć się z nim sam na sam. Zamykałam drzwi na noc i zostawiałam komodę. Nosiałam przy sobie nóż.

Blake milczał, zmuszając się, by siedzieć nieruchomo. Napięcie nie opuściło Eleanor i wiedział, że jeszcze nie powiedziała mu wszystkiego. Nie słuchał Felicity, próbował ją przegadać, przekonany, że to on zna wszystkie odpowiedzi i wie, co dla nich najlepsze. Nie zamierzał teraz powtórzyć tamtego błędu.

- Nie boję się ciebie, przysięgam, to nie o to chodzi - mówiła szybko, napiętym tonem. Zerknęła na jego twarz i znów wpatrzyła się w swoje ręce. - Chciałam, żebyś się ze mną kochał. Jest mi dobrze, kiedy mnie całujesz i tulisz. Myślałam, że wszystko będzie w porządku... - Jej głos zamarł, po czym znów się wzmocnił. - Tak mi przykro.

- Nie masz mnie za co przepraszać. Zupełnie nie. Szkoda, że on już nie żyje - powiedział Blake. - Dla niektórych ludzi jedna śmierć to za mało.

Poruszyła się gwałtownie.

- Eleanor, ale ty chyba...? Czy on próbował znowu i ty...

- Nie, Bogu dzięki, to nie byłam ja. W każdym razie nie mam krwi na rękach.

Jej głos był już mocniejszy, ale Blake wolał nie ryzykować i nie próbował jej znów przytulić do piersi.

- Któregoś wieczoru osaczył mnie w bawialni. Myślałam, że nie ma go w domu i nie zachowałam ostrożności. Próbowałam przed nim uciec. Potknęłam się, wpadłam do kominka

i złamałam sobie nogę tuż przy stawie biodrowym. Krzyczałam z bólu i strachu, a nóż miałam pod plecami i nie mogłam go dosięgnąć. Przybiegła służba. Nie wiem, co go zabiło, może myśl, że opowiem o tym wszystkim i że oni pomyślą, że mnie popchnął. Dostał ataku i zmarł dwa dni później.

Słowa teraz płynęły jak rzeka i Blake uświadomił sobie, że Eleanor nigdy nikomu o tym nie opowiadała.

- Wszyscy sądzili, że potknęłam się, a on biegł, żeby mi pomóc. Niczego nie próbowałam wyjaśniać, bo to nie miałyby sensu. Potem się okazało, że Francis nie odziedziczył zbyt wiele pieniędzy i musiał sprzedać dom, w którym mieszkaliśmy. Trafiliśmy do wynajętego domu, a kiedy moja noga mniej więcej się wygoiła, dla oszczędności przejęłam obowiązki ochmistrzyni. Skoro kulałam, i tak nie nadawałam się do niczego innego.

- Czy Francis też... - Blake musiał usłyszeć wszystko, chciał oczyścić ranę, żeby mogła zacząć się goić.

- Nie, nigdy nie dał mi najmniejszych powodów do obaw. Choć i tak budził we mnie lęk już tylko przez to, że wyglądał jak młodsza wersja swojego ojca - przyznała. - Lubił ładne rzeczy - dobre ubrania, piękne kobiety, przystojnych mężczyzn.

Blake poczuł się tak, jakby dała mu w twarz. Potraktował ją arogancko, jak jej przyrodni brat, tylko dlatego, że nie była piękną. I przypuszczał, że zaliczał się do tych przystojnych mężczyzn, o których wspomniała i na których musiała patrzeć, gdy Francis trwonił swoje i jej pieniądze, próbując go naśladować.

- Powinam ci powiedzieć o tym wcześniej.

Patrzyła na niego, gdy tak siedział, pogrążony we własnych bolesnych myślach, nurzając się w poczuciu winy. Potrzebowała

teraz pociechy i bezpieczeństwa, a nie jego wyznań.

- Wiem, że nie chciałbyś się wtedy ze mną ożenić, ale to nie dlatego nic ci nie powiedziałam. Naprawdę myślałam, że uda mi się przezwyciężyć ten lęk albo przynajmniej go ukryć.

Na myśl, że miałyby ukrywać lęk w chwili, gdy on odbierałby jej dziewictwo, zrobiło mu się niedobrze. Powinien wcześniej odgadnąć, że jej reakcja w przewróconym powozie wynikała z czegoś znacznie poważniejszego i głębszego niż zwykła ostrożność wobec mężczyzn. Czy naprawdę był tak arogancki i samolubny, jak mu zarzucała? Niezdolny do empatii i zrozumienia innych, żyjący uprzywilejowanym życiem, pewny siebie i pełen poczucia wyższości?

Blake wyglądał teraz tak jak tamtego ranka, gdy zakrwawiony pojawił się na progu jej domu, skrywając ból i wstrząs pod maską opanowania. O czym myślał? Chyba nie sądził, że sama się o to prosiła i że prowokowała ojczyma, który właśnie to jej zarzucił. Pewno zastanawiał się, czy ożenił się z kobietą kaleką nie tylko fizycznie, ale też psychicznie, z kobietą, która nigdy nie będzie dla niego odpowiednią żoną ani matką jego dzieci. Zrozumiał też, że zachowała to wszystko w tajemnicy, choć powinna mu powiedzieć na długo przed ślubem.

Verity mówiła, że nagłe przerwanie podniecenia jest dla mężczyzn bolesne. A zatem zraniła go nie tylko świecznikiem.

- Tak mi przykro - powtórzyła.
- Dlaczego jest ci przykro? Przecież to nie twoja wina.
- Powinnam ci powiedzieć wcześniej.
- To nie było najłatwiejsze, prawda? Poza tym wydawało ci się, że uda ci się ukryć to, co czujesz. Rozumiem cię.

- Do tego zadałam ci ból. Nie o tym mówię - dodała, gdy on potrząsnął głową i poruszył ramieniem, żeby jej udowodnić, że wszystko jest w porządku. - Verity mówiła, że kiedy mężczyzna chce i nie może... że to boli.

Oblała się rumieńcem.

- To nie jest problem, kiedy myśli się o czymś innym - wyjaśnił Blake. - A zupełnie szczerze mogę powiedzieć, że twoja opowieść odwróciła moją uwagę.

Tym razem jego uśmiech był szczery i niewymuszony.

- Ja... Blake, czy moglibyśmy spróbować jeszcze raz? - Wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale Ellie szybko mówiła dalej: - To znaczy jeśli zechcesz. Wiem, że pewnie nie masz już ochoty, ale wydaje mi się, że teraz już wszystko będzie dobrze.

- Czy ty próbujesz być dzielna, Eleanor? - Spróbował mówić surowym tonem, ale gdy szybko zerknęła na jego ciało, zobaczyła, że jest w gotowości.

- Nie. Wydaje mi się, że jeśli tylko będę miała swobodę ruchu... Wpadłam w panikę, kiedy mnie przygniotłeś i przestałam widzieć twoją twarz.

- Chcesz powiedzieć, że jestem gruby?

Skoro potrafił z nią żartować, to widocznie była nadzieja, że wszystko się ułoży.

- Oczywiście, że nie. - Z łomotem serca zsunęła szlafrok z ramion i wyciągnęła do niego rękę.

Blake był delikatny, ale nie wahał się i w głębi duszy Ellie była mu wdzięczna za doświadczenie i pewność siebie. Gdyby zachowywał się zbyt ostrożnie, panika pewnie by wróciła. Gdy na nią opadł, bardzo pilnował, by utrzymywać cały ciężar ciała nad jej ciałem i zostawić jej ręce wolne. Przekonała się, że ma ochotę go objąć i przycisnąć do siebie.

Zaczęła się kołysać wraz z nim i poczuła, że się otwiera. Wydawało się, że to powinno boleć, bo był bardzo duży, ale jednak nie bolało. Kiedy Blake naparł mocniej, poczuła tylko uszczypnięcie. Wymamrotał coś, czego nie zrozumiała. Westchnęła głęboko, przywarła do jego mocnych ramion i uniosła wyżej biodra.

Pragnęła czegoś więcej, czegoś, co pozostawało poza jej zasięgiem, a potem znalazła to i zatraciła się w intensywnych wrażeniach. Blake zesztyniał i naparł jeszcze raz.

- Ellie...

Pod jej zamkniętymi powiekami rozjarzyło się światło i poczuła się tak, jakby przez jej żyły płynął ogień. To musiała być magia, bo na nieskończenie długą chwilę stali się jednym, choć jeszcze przed chwilą było ich dwoje.

Eleanor spała mocno, snem ludzi bardzo młodych albo zupełnie wyczerpanych. Blake siedział oparty o poduszki i patrzył na nią, wyraźnie podniecony. Chciał jednak dać jej odpocząć. Delikatnie odsunął od siebie jej dłoń i ułożył na piersi w mniej prowokującej pozycji.

Z loczkami wijącymi się wokół twarzy wyglądała jak elf, jakaś istota ze *Snu nocy letniej*. Zmyła już z siebie ten przekłety puder ryżowy i znów mógł policzyć jej piegi, ale przypominałoby to liczenie gwiazd w Drodze Mlecznej. Miała również kilka piegów na piersiach.

Ostatnia noc była dla niego objawieniem pod wieloma względami, zarówno gdy chodziło o przeszłość Eleanor, jak i o jego własny brak spostrzegawczości. Przypuszczał, że w trakcie małżeńskiego życia czeka go jeszcze wiele takich objawień i że nie wszystkie będą przyjemne.

Poruszyła się przez sen. Była bardzo dzielna, a na koniec bardzo namiętna. Musiał kierować się instynktem, żeby jej nie zranić, wyglądało jednak na to, że mu się udało. Ale był na nią bardzo zły z powodu tych przeklętych butów i wściekły na siebie, że pozwolił jej myśleć, że powinna stać się modelową hrabiną.

Oświadczył jej się pod wpływem impulsu. Potrzebowała pomocy, on zaś wiedział, że powinien już się ożenić, a Eleanor była inteligentną kobietą i miłą towarzyszką. Wydawało mu się, że będą mogli stworzyć przyjazny, życzliwy związek, który nie będzie niósł ryzyka głębokich uczuć, a zatem i cierpienia. A teraz zastanawiał się, czy nie popełnił poważnego błędu. Jego żona oczekiwała od niego czegoś więcej niż tylko tytułu i statusu. Może miała swoje kłopoty, ale przez całe życie była bardzo niezależna, a teraz, gdy będzie się obracać w najlepszych kręgach, będzie musiała zrezygnować z tej niezależności. Gdyby do tego obdarzyła go uczuciem, mógłby ją rzeczywiście bardzo unieszczęśliwić, bo nie byłby w stanie odpowiedzieć tym samym. Nie mógł pozwolić na to, żeby zaczęła go kochać i by dostrzegła w nim pustkę uczuciową, bo to mogłoby ją bardzo zranić.

Zaburczało mu w brzuchu. Zerknął na zegar. Była siódma. Poprzedniego wieczoru nie jedli kolacji. Zamierzał zamówić wielkie śniadanie i dopilnować, żeby Eleanor wszystko zjadła. Jajka, śmietanka, gorąca czekolada. Musi nabrać sił. Nieco już przytyła, ale nadal widać jej było zebra. Duże śniadanie, a potem wizyta lekarza. Należy sprawdzić, czy nie uszkodziła sobie stawów biodrowych. Teraz należała do niego i musiał o nią dbać.

Znów się poruszyła i oparła o niego, jakby sądziła, że to

węzłowie łóżka. Jej głowa znalazła się na jego brzuchu, a dłoń na żebrach. Uśmiechnął się, gdy połaskotał go jej oddech, a potem poczuł trzepotanie rzes przy wrażliwej skórze podbrzusza.

- W brzuchu ci burczy - powiedziała stłumionym głosem.

- Jestem głodny. Moja żona wczoraj była na mnie zła, a potem mnie uwiodła i przez to nie zjadłem kolacji.

Parsknęła i pocałowała go w pępek, a potem szeroko otworzyła oczy.

- O mój Boże. Czy tak jest przez cały czas?

Blake uniósł się na łokciach i popatrzył na nią.

- Nie. To twoja wina i teraz będziesz musiała mi pomóc coś z tym zrobić, zanim zjemy śniadanie.

Pochylił się, pocałował ją i pociągnął na siebie.

- Pamiętasz, co masz robić?

- Oczywiście, ale chyba będziemy musieli trochę poćwiczyć! - Roześmiała się i w jej oczach błysnęły złote cętki.

Pomyślał, że jeśli będzie uszczęśliwiał ją w łóżku, to może Eleanor nie zauważy tego wszystkiego, czego nie mógł jej dać.

- Blake, tuczysz mnie jak gęś - zaprotestowała, gdy dołał jej czekolady.

- Posłałem po doktora Murraya - powiedział, podając jej dzem truskawkowy. - Chcę, żeby sprawdził, czy nie zrobiłaś sobie krzywdy tymi butami. To bardzo dobry lekarz, młody i wykształcony w Edynburgu. Szkot. Polubisz go.

Myśl, że miałyby polubić lekarza, była dla niej zupełnie nowa. Do tej pory miała do czynienia z medykami tylko przy okazji złamanej nogi, którą wielokrotnie i boleśnie próbowali nastawiać, toteż nie pozostały jej po tym najlepsze

wspomnienia.

- Tak, Blake - powiedziała posłusznie i zauważyła jego podejrzliwe spojrzenie.

Doktor Murray pojawił się zaraz po śniadaniu i Ellie zaczęła podejrzewać, że Blake wezwał go o jakiejś niehumanitarnej godzinie, zanim jeszcze zdążyła się ubrać. Rzeczywiście okazał się pogodnym, wrażliwym człowiekiem i nie patrzył na nią z góry. Wszystko to było dla niej nowością. Zbadał ją taktownie przez koszulę, rozprawiając o różnicach między Londynem a Edynburgiem, o pogodzie, o niedorzecznej modzie w tym sezonie. Wszystkie te dywagacje przeplatane były pytaniami.

- Jak się pani czuje, jeśli uciskam ten staw? Proszę wychylić się jak najdalej w prawo. Czy próbowała pani kiedyś wcześniej chodzić w bucie z podwyższoną podeszwą?

Gdy weszła za parawan, by znów się ubrać, powiedział:

- Są dwie możliwości. Może pani nosić ten but i wszystko z czasem się dostosuje, ale będzie to bolesny proces, albo może pani wrócić do zwykłych butów i pogodzić się z utykaniem. Jeszcze przez kilka dni mięśnie będą pani dokuczać, ale nie widzę tu żadnych trwałych uszkodzeń.

- A jeśli nauczę się chodzić na podwyższonej podeszwie, to wtedy, gdy jej nie włożę...

- Będzie się pani czuła jeszcze gorzej niż teraz - dokończył za nią lekarz. - Będzie jej pani musiała używać przez cały czas.

- W takim razie nie ma o czym mówić. Wracam do tego, co było wcześniej - powiedziała Ellie i wyszła zza parawanu. - Mogłam chodzić zupełnie swobodnie bez względu na to, czy byłam w butach, czy boso. Ale chcę pana zapytać o coś jeszcze.

Uśmiechnęła się do siebie w duchu i wskazała lekarzowi krzesło. Widziała, że on przygotowuje się na nieśmiałe pytania

dotyczące jakiejś intymnej sprawy.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie mogłabym się nauczyć jeździć konno?

Doktor Murray miał pogodną, piegowatą twarz i zapewne musiał dużo ćwiczyć, żeby nauczyć się ściągać ją w maskę bez wyrazu, odpowiednią dla człowieka jego profesji. Uśmiechnęła się do niego szczerze, bo podobało jej się w nim wiele rzeczy, również i to, że był tak samo piegowaty jak ona.

- Nie ma żadnego powodu - odrzekł. - Ale radziłbym pani poczekać, aż minie ból po wczorajszych doświadczeniach. Czy chciałaby mnie pani zapytać o coś jeszcze?

- Już o nic - zapewniła go i znów stłumiła uśmiech. Była pewna, że Blake potrafi wystarczająco wyjaśnić wszystkie jej wątpliwości. - Będę bardzo wdzięczna, jeśli zechce pan zapewnić mojego męża, że nie stała mi się żadna poważna krzywda.

Doktor Murray skłonił się i wyszedł. Ellie odesłała Polly i rozejrzała się po swojej sypialni, w której dotychczas spędziła bardzo niewiele czasu. Blake oznajmił, że następnego dnia wyjadą do Hampshire. Opóźnił wyjazd o jeden dzień, żeby mogła wypocząć. Wiedziała, że pewnie minie jeszcze sporo czasu, zanim przestanie ją traktować, jakby była zrobiona ze szkła. Ale ostatniej nocy i tego ranka w końcu trochę się zapomniał i te chwile były dla niej równie cenne jak przyjemność, którą odczuwało jej ciało.

Blake jej nie kochał i wciąż nie potrafiła zrozumieć, dlaczego się z nią ożenił, ale była przy nim bardzo szczęśliwa i zamierzała uszczęśliwić również jego. Był spełnieniem jej marzeń, choć nie odkryła jeszcze wszystkich jego tajemnic. Przypomniała sobie słowa Verity i zadrżała. Bardzo łatwo

byłoby jej go pokochać, przekroczyć punkt, w którym zatraci instynkt samozachowawczy. Na tę myśl otrzeźwiała. Blake mógł złamać jej serce, w ogóle się o to nie starając.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Blake.

- Nie przeszkadzam?

- Absolutnie nie - skłamała Ellie.

- Murray mówi, że nie stało ci się nic poważnego.

- Tak. To dobra wiadomość. Ostrzegł mnie jednak, że nie mogę używać podwyższonego buta tylko od czasu do czasu. Muszę się na coś zdecydować. Postanowiłam wrócić do tego, co było wcześniej.

Na twarzy Blake'a odbiły się jakieś emocje, których nie potrafiła rozszyfrować.

- Przykro mi, Blake. Wiem, że to nie wygląda dobrze, ale dzięki temu będę mogła chodzić wszędzie, nawet boso w sypialni. Po prostu taka jestem naprawdę - dodała niezręcznie.

Wyposażenie domu, ubrania Blake'a, nawet służba - wszystko świadczyło o tym, że przywykł do rzeczy doskonałych. Gdyby stłukł się wazon, fachowiec naprawiłby go tak, że uszkodzenia byłyby zupełnie niewidoczne, albo zostałyby wyrzucony.

Blake zmarszczył brwi i serce Ellie ścisnęło się.

- Ellie, prosiłem cię, żebyś wyszła za mnie taka, jaka jesteś. Za nic na świecie nie chciałbym, żebyś zadawała sobie cierpienie po to, żeby stać się kimś innym. Przecież zawsze wiedziałem, że utykasz.

Naraz poczuła się bardzo szczęśliwa.

- W takim razie nie będziesz na mnie zły, kiedy ci powiem, że

oszukałam cię w kwestii moich włosów, bo tak naprawdę to jest peruka, a ja jestem łysa? – zapytała, udając niepokój.

– Co? Jesteś okropna! – Blake przyszedł przez pokój, wziął ją na ręce i położył na łóżku. – Zdejmę z ciebie absolutnie wszystko, zaczynając od tej peruki. – Pociągnął ją za włosy, a gdy pisnęła, powiedział: – Widzę, że jest mocno przyklejona. Będziemy musieli sprawdzić, czy z czasem ten klej puści. A skoro już przy tym jesteśmy, warto dokładnie wypróbować to łóżko.

Był nieprzyzwoicie wprawny w rozbieraniu kobiet i mimochodem zrzucił również własne ubranie. Ellie z fascynacją patrzyła na jego pracujące mięśnie tuż nad jej nagą gładką skórą. Uwięził jej nogi między swoimi udami i pochylił się nad nią, oparty na rękach.

Ta pozycja z czymś jej się skojarzyła.

– Doktor Murray powiedział, że mogę się nauczyć jeździć konno.

– Tak powiedział? A nigdy wcześniej nie jeździłaś? – Gdy potrząsnęła głową, uśmiechnął się. – Jeśli chcesz, możesz zacząć już teraz.

– Teraz? Przecież...

– Wsiadaj. – Położył się obok niej na plecach. – Spróbuj, tylko sprawdź, czy nie będą cię bolały mięśnie.

– Chcesz, żebym...? Jak to się robi?

– Sama musisz znaleźć sposób! – Roześmiał się figlarnie.

Ellie ostrożnie usiadła na nim i przekonała się, że mięśnie nie stawiają oporu, a ta pozycja daje jej zachwycające poczucie władzy. Pochyliła się, by go pocałować, ocierając się piersiami o jego pierś. Było to takie przyjemne, że na chwilę znieruchomiała, aż w końcu Blake pociągnął ją na siebie.

Poruszył biodrami i oparł ręce na jej biodrach.

- Podnieś się - powiedział. - A teraz usiądź na mnie i kiedy będziesz gotowa, zacznij się poruszać.

Opadła, biorąc go w siebie, zdziwiona, że czuła się na niego zupełnie gotowa. Blake wpatrywał się w nią z napięciem. Kocham cię, pomyślała, ale udało jej się nie powiedzieć tego głośno.

- Eleanor, obudź się. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Zamrugła i rozejrzała się. Siedziała zwinięta w kłębek w kącie podróżnego powozu. Blake siedział obok, rozluźniony i swobodny.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Bo wyglądasz zupełnie jak śpiący kot.

Na widok wyrazu jego oczu zarumieniała się i roześmiała.

- Twoja twarz, Eleanor, odbija wszystkie twoje myśli. Nie potrafisz niczego udawać. Nie umiesz ukryć złości, a kiedy jesteś szczęśliwa, cała promieniejesz.

Zaparło jej oddech, gdy dostrzegła płomień w jego oczach, zaraz jednak powóz zwolnił i gwałtownie skręcił. Blake uderzył o oparcie siedzenia i nastrój prysł.

Traktował poczucie bliskości jak czysto fizyczne doznanie. Tak jakby pozwalał jej dostrzegać, że pragnie jej ciała, ale nie dopuszczał jej do swoich myśli i pragnień.

- Większość kobiet okazuje uczucia - odrzekła cierpko, nie dając się ponieść iluzjom i złudnej nadziei. - Ale jeśli kobieta jest ładna, ludzie nie dostrzegają tego. Ja niestety nie mam urody.

- Twoje oczy zmieniają kolor w zależności od nastroju. Widzę też, że... - Powóz zatrzymał się i Blake wyjrzał przez okno. -

Jesteśmy już na miejscu. To brama posiadłości. – Otworzył okno i wychylił się. – Dzień dobry, Fallowfield. Żona i dzieci zdrowe?

– Dziękuję, milordzie, wszyscy zdrowi. Mój najstarszy wyjechał do Fareham i terminuje u kowala.

– Na pewno będziesz z niego dumny. A to jest moja żona. Przyjechała tu po raz pierwszy.

Wyciągnął rękę do Ellie, która przysunęła się do okna i spojrzała na potężnego mężczyznę z jednym tylko ramieniem.

– Witamy w Hainford Hall, milady – powiedział.

– Dziękuję, Fallowfield. Jestem pewna, że będę tu bardzo szczęśliwa.

– Jak stracił ramię? – zapytała, gdy przejechali przez bramę i znaleźli się w rozległym parku.

– Był naszym kowalem. Wielki koń pociągowy, którego wprowadzono do kuźni, kopnął go w ramię i przycisnął do ściany. Ramię było tak zmiażdżone, że trzeba było je amputować, więc dałem mu tutaj dom i powierzyłem nadzór nad wszystkimi innymi domami, granicami posiadłości i drwałami.

Ellie uświadomiła sobie, że posiadłość przypomina niewielkie królestwo. Zaraz jednak zapomniała o zdenerwowaniu, bo zobaczyła dom, długi i niski, ozłocony światłem słońca, równie piękny i elegancki jak jego właściciel.

– Podoba ci się... – stwierdził Blake na widok wyrazu jej twarzy.

– Ogromnie. Obawiałam się, że zobaczę wielki pałac, a to jest... – Przełknęła łzy. – A to rzeczywiście wygląda jak dom. Nasz dom. Od śmierci ojca nigdy nie miałam domu, tylko miejsca, w których mieszkałam. Kiedy moja matka wyszła powtórnie za mąż, dom przestał być domem.

- Stał się niebezpieczny z powodu twojego ojczyma?

Skinęła głową.

- A dom, w którym mieszkałam z Francisem... To było tylko miejsce do spania. Dach nad głową. Gdyby sytuacja nie była taka trudna, farma Carndale mogłaby się stać moim domem, ale to wymagałoby sporo czasu. A to...

- Dobrze było tutaj dorastać - przyznał Blake.

Nigdy dotychczas nie rozmawiali o dzieciach, jeśli nie liczyć jednej wzmianki o nosie Pencarrowów. Teraz Ellie zobaczyła oczami wyobraźni chłopców ganiających się po parku na kucykach i roześmiane dziewczynki biegające za szczeniakiem i piłką po wielkim tarasie za rogiem budynku.

- To zachodni fronton. - Wskazał Blake. - My przyjechaliśmy z północy, ale główne wejście do domu znajduje się po południowej stronie.

Ellie zauważyła zarys wieży za drzewami na skraju parku.

- A co jest tam? Jeszcze jeden dom?

- Sąsiednia posiadłość. - Twarz Blake'a zmieniła się w maskę bez wyrazu. - W tym miejscu nasze ziemie zbliżają się do ziemi sąsiada. Dwa pokolenia temu najlepszy przyjaciel mojego dziadka, Charles Harper, wicehrabia Trenton, zbudował swoją posiadłość prawie przy samej granicy, żeby ich rodziny były jak najbliżej siebie.

- To brzmi jak wstęp do małżeństwa - stwierdziła Ellie.

- Mogło się tak stać - odrzekł Blake z dziwnym napięciem. - Ale mój ojciec miał tylko braci, podobnie jak George Harper, spadkobierca Trentona.

- A ty jesteś jedynym dzieckiem poprzedniego earla? Czy wicehrabia nie miał córki, z którą mógłbyś się ożenić? - zapytała lekkim tonem, ale Blake odwrócił się gwałtownie.

- Och, przepraszam. To była Felicity, tak? Powinnam odgadnąć to wcześniej.

Blake na chwilę przymknął oczy, a gdy znów je otworzył, były ciemne i nieprzeniknione.

- Mówiłem ci, że Felicity miała inny pomysł na życie. Kiedy uciekła z tym przeklętym poetą, złamała serce swojemu ojcu. - Od tamtej pory minęło już kilka lat, ale Blake wydawał się mocno poruszony.

- Zaraz staniemy przy drzwiach. Włóż kapelusz, Eleanor.

Starannie zawiązała kapelusz, starając się zapanować nad wyrazem twarzy. Gdy znowu spojrzała na Blake'a, była opanowana i uśmiechnięta. Pochylił się i poprawił jej wstążkę.

- Doskonale. Witaj w domu, moja droga.

- Milordzie. - Tennyson, kamerdyner, zbliżał się do powozu szybkim krokiem, nie wydawał się jednak zdyszany, choć był już starszy, przysadzisty i czerwony na twarzy. To zasługa mojego najlepszego portu, pomyślał Blake i poczuł się nieco lepiej. Znał Tennysona jeszcze z czasów, gdy tamten był chudym młodszym lokajem i wykradał dla niego resztki słodczy pozostałe po kolacji dorosłych.

- Milady. - Tennyson niemal zgiął się wpół. - Witaj, pani, w Hainford Hall. Jestem Tennyson. Ten dom już zbyt długo nie miał swojej pani.

Blake wiedział, że ta uszczypliwość wymierzona była w niego. Zerknął na Eleanor. Na jej twarzy nagle pojawiło się napięcie, ale zdobyła się na uśmiech.

- Dziękuję, Tennyson. Nie mogę się już doczekać, aż poznam całą służbę, szczególnie ochmistrzynię. Jak ona się nazywa?

- Pani Morgan, milady. Czeka przy frontowych drzwiach

razem ze wszystkimi, żeby panią powitać.

Blake podał jej ramię i poprowadził do szerokich schodów, wyjaśniając po drodze:

- Wschodnie skrzydło jest najstarszą częścią domu. Potem dobudowano zachodnie, a centralna część zastąpiła wcześniejszy parterowy łącznik między nimi. Może się wydawać dziwny z architektonicznego punktu widzenia, ale jest całkiem wygodny.

Spojrzał na nią ostrożnie. Uśmiechała się i nie wydawała się spłoszona. Najwyraźniej wiedziała dość o zarządzaniu dużym domem, by zdawać sobie sprawę, że będzie zarządzać służbą przez ochmistrzynię, a kamerdyner będzie wykonywał polecenia Blake'a.

- Pani Morgan jest doświadczona i kompetentna - upewnił ją.

- Mam nadzieję, że nie będzie oczekiwać ode mnie posłuszeństwa wobec jej wskazówek?

- Ja też mam taką nadzieję. - Blake posłał jej miły uśmiech i przypomniał sobie, że Eleanor zarządzała wcześniej domem brata. Hainford Hall z pewnością był większy, ale miała już pewne doświadczenie.

Westchnęła cicho, gdy służba stanęła po obu stronach schodów. Kilka dni wcześniej napisał do Tennysona i prosił go, żeby przygotował służbę na to, że hrabina utyka. Mieli nie pokazywać po sobie, że to zauważają, chyba że hrabina sama poprosi o jakąś pomoc. Teraz uważnie patrzył, czy nikt się nie zdradzi, i uświadomił sobie, jak ważne jest dla niego, by nie ranić Eleanor ani nie wyprowadzić jej niczym z równowagi. Zamknął dłoń na jej dłoni, wprowadził ją na schody, po czym porwał na ręce i przeniósł przez próg.

Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł się tak, jakby

rzeczywiście wrócił do domu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Myślałam, że wasza wysokość zechce zacząć od góry i schodzić w dół - powiedziała pani Morgan.

- Dziękuję, ale nie. Zaczniemy od suteren - odrzekła Ellie stanowczo. - Z pewnością zgodzi się pani, że dobre zarządzanie domem zaczyna się od samego dołu. Oficjalne pokoje może mi pokazać mąż.

Jej mąż. Wciąż czuła się dziwnie, wypowiadając to słowo, jak również wtedy, gdy zwracano się do niej „milady”, choć Blake przy każdej okazji podkreślał jej rolę. Nie spodziewała się, że będzie chciał się kochać z nią tak często i tak intensywnie, ale nie zamierzała narzekać, choć była nieco obolała. Tylko tego ranka kochali się dwa razy i w rezultacie zjedli śniadanie o oburzająco późnej porze. Ellie była pewna, że służba doskonale zdaje sobie sprawę, dlaczego drzwi sypialni pozostają zamknięte tak długo, Blake jednak zupełnie nie zwracał na to uwagi.

Pokazał jej dużą jadalnię - poprzedniego wieczoru kolację zjedli w małej - a potem oprowadził po ogrodach w pobliżu domu i znów zabrał do środka, żeby pokazać bawialnię hrabiny. Powiedział, że może ją urządzić, jak tylko zechce. Następnie przeszli jeszcze do długiej galerii, gdzie wisiały portrety przodków.

Ellie skurczyła się pod wyniosłym spojrzeniem nieskończonego szeregu obrazów. Na szczęście nie wszystkie kobiety były piękne, choć obfite kształty i wytrzeszczone oczy

hrabin z czasów Karola II niewątpliwie wyznaczały wówczas standardy damskiej urody.

Blake pokazywał jej portrety w porządku chronologicznym, zaczynając od pierwszego, pociemniałego obrazu przedstawiającego Gilesa Pencarrowa, który przybył z Zachodniego Kraju, by zaryzykować wszystko u boku najeźdźcy Tudora i został za to nagrodzony tytułem barona. Ostatni był portret Blake'a namalowany przed dziesięciu laty przez George'a Romneya. Blake stał, trzymając konia za uzdę. U jego stóp siedziały dwa charty, a w tle słońce zachodziło nad Hainford Hall. Ellie miała ochotę przyjrzeć się dokładniej tej młodej, aroganckiej i pięknej twarzy, ale zawróciła i znów przeszli powoli wzdłuż trzech pokoleń przodków. Starła się zapamiętać ich imiona.

- Będę tutaj przychodzić codziennie, dopóki wszystkiego się nie nauczę - oświadczyła.

- A ja poślę po Lawrence'a, żeby namalował nasz portret ślubny - odrzekł Blake swobodnie. Ellie pomyślała, że może wielki Thomas Lawrence w magiczny sposób doda jej urody, podobnie jak to uczynił z księciem regentem.

A teraz stała w holu wejściowym i rozmawiała z ochmistrzynią, starając się pokazać, kto tu rządzi, jednocześnie jej nie urażając.

- Pani Morgan, jedzie jakiś powóz! - zawołał lokaj stojący przy drzwiach.

- To pewnie pierwszy z gości - odrzekła ochmistrzyni. Ellie przy jej boku zeszywniała z napięcia. - Czyj to powóz, James?

- Lorda Trenton. Poznają jego konie.

- Pójdę przygotować poczęstunek, milady. Czy przyjmie go pani w chińskim salonie?

To pytanie było czystą formalnością, bo już prowadziła Ellie w stronę imponujących podwójnych drzwi.

- Zawiadam natychmiast jego lordowską wysokość, James - zawołała Ellie przez ramię.

Bóg jeden wie, gdzie on się podziewał. Może był w stajniach albo jeszcze dalej, na farmie. Miała nadzieję, że nie będzie musiała sama przyjmować rodziców kobiety, z którą Blake chciał się ożenić.

Rozejrzała się nerwowo po pokoju. ściany były pokryte jaskrawoniebieską tapetą we wzór przedstawiający chińskie sceny. Usiadła w kącie, gdzie stały sofy i fotele, potem znów się zerwała i sprawdziła fryzurę w lustrze nad kominkiem. Znów usiadła i uświadomiła sobie, że powinna sprawiać wrażenie czymś zajętej, sięgnęła zatem po cienką książkę leżącą na stoliku, otworzyła ją i niewidzącym wzrokiem wpatrzyła się w tekst.

Po kilku oddechach uspokoiła się, bo przecież doskonale знаła zasady zachowania w towarzystwie i wiedziała, co powinna robić. Tylko gdzie się podziewał Blake?

- Lady Trenton i lord Trenton, milady.

- Dziękuję, Tennyson. Proszę, przynieś napoje. - Podniosła się i wyciągnęła rękę. - Lady Trenton, lordzie Trenton, to dla mnie wielka przyjemność. Dziękuję za odwiedziny.

Lord Trenton był krzepkim mężczyzną po sześćdziesiątce. Wydatny brzuch nie umniejszał wyrazu siły i determinacji. Jego żona była wypłowiałą jasnowłosą pięknnością, wciąż jednak pełną wdzięku i uroku.

- Nowa panna młoda w Hainford Hall. Cóż za radość - wymruczała, całując Ellie w policzek.

- Mój mąż zapewne za chwilę do nas dołączy. Piękne

popołudnie na przejażdżkę, choć wydaje mi się, że dom państwa nie leży daleko stąd.

- O rzut kamieniem - odrzekł lord Trenton. - Nasze ziemie stykają się na całej długości doliny.

Tennyson wniósł herbatę, a za nim weszło kilku lokajów z przyborami i talerzykami słodczy. Ellie podawała właśnie gościom cytryny i mleko, kiedy Blake wszedł do salonu. Nastąpiły wylewne powitania, po czym wszyscy usiedli nad herbatą. Rozmowa była ogólna i zadziwiająco sztywna. Ellie uznała, że zapewne to jej obecność przytłumiła nastrój. Podniosła wzrok na lady Trenton i pomyślała, że jeśli córka podobna była do matki, to musiała być bardzo piękna. Duma jednak kazała jej się uśmiechać serdecznie. Może była zwykłym wróblem i nie wychowano jej na wielką damę, zamierzała jednak pokazać, że potrafi się zachować w towarzystwie.

Z determinacją rozmawiała z lady Trenton, która powiedziała, że właśnie wróciła z Bath, gdzie czuwała przy łożu śmierci dalekiej krewnej. Ellie zauważyła, że lady Trenton nie nosiła żałoby, toteż doszła do wniosku, że chodziło wyłącznie o spadek.

- Tak mi przykro z powodu pani straty, lady Trenton. Z pewnością dlatego nie mieliśmy przyjemności gościć państwa na naszym ślubie.

Lady Trenton zaśmiała się nerwowo.

- Tak, naturalnie. Bardzo żałowaliśmy, że nie mogliśmy przyjechać. Drogi Blake jest dla nas niemal jak syn. - Westchnęła ciężko. - Mieliśmy takie wielkie nadzieje...

Lord Trenton spojrział na nią z grymasem. Jego żona znów zaśmiała się nerwowo i pośpiesznie dodała:

- To znaczy mieliśmy takie wielkie nadzieje związane z naszą

drogą Felicity. Była bardzo piękna. – Odwróciła się od Ellie z wyraźną ulgą, gdy Blake usiadł obok niej na sofie. – Mój drogi, czy zamierzasz przywrócić do życia ogród różany?

– Nie zastanawiałem się nad tym. Z pewnością podupadł od czasów mojej matki, ale nie miałem czasu ani chęci zajmować się ogrodem.

– Nasza Felicity kochała róże. Z pewnością pamiętasz. – Mówiła ściszym, intymnym głosem, jakby byli sami. – Ja już nie hoduję róż w naszym ogrodzie. Za bardzo przypominają mi o niej. Tamten wieczór, kiedy spacerowaliście we dwoje wśród róż...

Lord Trenton podniósł się gwałtownie.

– Czas już iść, moja droga. Nie powinniśmy zajmować zbyt wiele czasu nowożeńcom. Przestań zanudzać Hainforda rozmową o ogrodnictwie. Teraz to będzie decyzja lady Hainford i to ona powie ogrodnikowi, co ma uprawiać i gdzie.

Ellie zdążyła jednak zauważyć wyraz twarzy Blake'a. Przez chwilę malowało się na niej cierpienie i ból, zaraz jednak znów się opanował. Uświadomiła sobie, że on kochał Felicity. Naraz poczuła w sercu ukłucie zazdrości i jej dobry nastrój prysł.

– Felicity musiała być bardzo piękna. Lady Trenton wciąż jest przystojną kobietą.

Blake popatrzył na Ellie, która stała obok niego, opanowana i na pozór pogodna. Moja żona, pomyślał. A jednak nie poświęcił jej nawet chwili uwagi, odkąd wszedł do bawialni i zobaczył Trentonów. Przeklęty idiota. Przecież wiedział, że przyjadą, i powinien się na to przygotować.

Był pewny, że Eleanor coś wyczuła.

– Kochałeś ją?

- Co? - Gwałtownie wrócił do terażniejszości. - Ja... tak, oczywiście. Znałem ją od lat, więc oczywiście, że ją kochałem.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedziała Eleanor z odrobiną zniecierpliwienia. - Ale pytałam, czy nadal ją kochasz. Wspomnienie o niej.

- Nie - odpowiedział zbyt szybko i zbyt gwałtownie. Sam nie wiedział, czy mówi prawdę, ale nie mógł uwierzyć, że Eleanor zapytała go o to tak bezpośrednio. Jej twarz miała dziwnie intensywny wyraz, jakby patrzyła na coś do zjedzenia i zastanawiała się, czy to jest dobre. - Nie - powtórzył. - Oczywiście, że nie. Jestem twoim mężem, Eleanor.

- A cóż to ma do rzeczy? - zdumiała się i Blake nagle uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, czy ona jest zraniona, zła czy po prostu zaciekawiona. - Miałam nadzieję, że mogę liczyć na szczerość z twojej strony.

Odeszła. Patrzył za nią, szukając jakichś słów, które mógłby wypowiedzieć, ale nie miał już żadnych wątpliwości co do jej uczuć, nawet jeśli nie potrafił rozeznaczyć się we własnych. Jego żona czuła się bardzo zraniona i bardzo zagniewana, a on mógł temu zapobiec, gdyby tylko zastanowił się wcześniej i lepiej potrafił kontrolować własne reakcje. Uporczywe pielęgnowanie poczucia winy, nie było honorowym sposobem wejścia w małżeństwo.

Niech to diabli! - zaklął w duchu. Wyszedł za nią na taras, ale Eleanor nigdzie nie było widać.

- Wilkins!

Pomocnik ogrodnika, który właśnie zmiatał resztki przyciętych pnączy, odrzucił szczotkę i podbiegł do niego.

- Czy widziałeś gdzieś jej wysokość?

- Tak, milordzie. Poszła w kierunku ogrodu różanego. Była... -

Nerwowo spojrział na Blake'a. - Bardzo się śpieszyła, milordzie.

Pewnie chciał mu w ten taktowny sposób powiedzieć, że płakała. Blake ponuro skinął głową i poszedł na drugi koniec tarasu, gdzie w niedużym zagłębieniu znajdował się ogród różany, zaniedbany od śmierci matki. Właśnie tam odbyły się jego katastrofalne oświadczenia.

Zamrugnął, gdy sobie przypomniał tę scenę. Felicity stała pośród białych i żółtych róż. Jej jasne włosy były jeszcze piękniejsze niż płatki kwiatów, postać bardziej wdzięczna niż łuk trejażu nad głową...

Otrząsnął się ze wspomnień i odkrył, że stoi na szczycie dziesięciu niskich stopni, które prowadziły do kwadratowego zagłębienia, wpatrzony w przerośnięte wrzośce. Pośrodku zagłębienia znajdowało się ośmiokątne oczko wodne, w tej chwili niewidoczne pośród przerośniętych róż i walących się altan oplecionych dzikim winem. Nasłuchiwał, ale zobaczył Eleanor, zanim ją usłyszał - między łodygami róż mignęła jej ciemnoróżowa spódnica.

Pochylił głowę, przeszedł pod niskimi, kolczastymi gałęziami, potem nad zapadniętą pergolą i znalazł się pośrodku ogrodu. Eleanor stała wpatrzona w brudną wodę, zwrócona do niego plecami. Felicity stała kiedyś w tym samym miejscu z pojedynczą białą różą w dłoni, a on podszedł do niej i pocałował ją w kark. Odwróciła się wtedy i uderzyła go w twarz, a potem wylała na niego cały swój gniew za to, że ją zaniedbywał i zakładał, że jest mu dana raz na zawsze.

Nie starał się poruszać cicho, ale Eleanor nie odwróciła się, kiedy stanął za nią.

- Lady Trenton ma rację, ten ogród należy uporządkować - powiedziała, patrząc na zarośnięte oczko wodne. - Chociaż

właściwie to już nie ma sensu. Każę to wszystko wyciąć.

- Naprawdę? - Blake zdziwiony był jej opanowaniem.

- Oczywiście. Trudno jest uprawiać róże w tym samym miejscu, gdzie rosły już wcześniej. Nie mam pojęcia, dlaczego tak jest, ale czytałam o tym. Dlatego każę wymienić również ziemię w tym miejscu.

Z ust Blake'a wyrwał się jakiś dźwięk. Eleanor obróciła się twarzą do niego i uniosła wysoko głowę. W jej oczach błyszczały łzy.

- Tak jak wspominał lord Trenton, piecza nad ogrodem różanym należy do pani domu. A ja jestem panią tego domu, czy ci się to podoba, czy nie, mężu.

- Eleanor, bardzo mi przykro. Nie wiem, co sobie myślisz, ale...

Podniosła rękę, uciszając go.

- Mnie też jest przykro, a to lady Trenton jest zupełnie pozbawiona taktu. Nie powinna mnie interesować twoja przeszłość ani nawet to, jakie teraz budzi w tobie uczucia. Nie powinnam być zazdrosna o ducha, nawet jeśli wciąż ją kochasz - dodała i zaśmiała się krótko.

- Eleanor, nie żartuj na ten temat. - Pochwycił ją za rękę i ustawił twarzą tuż przed sobą.

- Nie? A co innego mogę zrobić? Mogę tylko żartować i żyć dalej. Nie musisz mi mówić, że zachowuję się głupio.

- Moje uczucia składają się przede wszystkim z poczucia winy i żalu - powiedział Blake. - Byłem tak arogancko pewny, że wiem, co dla nas dobre, że próbowałem zmusić Felicity do decyzji, której nie była gotowa podjąć. Przez to poczuła się zmuszona uciekać i zrobiła coś, co nigdy nie przysłoby jej do głowy, gdybym był ostrożniejszy i bardziej cierpliwy. Dopóki nie

zniknęła, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co do niej czuję.

- I nie pojechałeś za nią? Za kobietą, którą kochałeś?

- Nie - przyznał. - Czułem się zraniony i zły. Sama wybrała swój los, a ja uznałem, że dobrze jej z tym. Zanim się dowiedziałem, że ten poeta porzucił ją w Rzymie, kiedy Trenton odmówił jej posagu, było już za późno.

- Biedna dziewczyna. Zdradzona w taki sposób...

Po policzku Eleanor spłynęła łza. Oczy miała zaczerwienione. Nie należała do kobiet, które potrafią ładnie płakać. Nos jej poróżowiał. Wydmuchała go energicznie w dużą praktyczną chusteczkę.

- Och, Ellie.

Podniosła wzrok, zdziwiona tym zdrobnieniem, a on pocałował ją, niesiony falą współczucia i żalu. Zdradzona. Czy on również przyczynił się do tej zdrady, nie sprawdzając, co się stało z Felicity?

Usta Eleanor były słone. Stała sztywno w jego ramionach. Przez chwilę wydawało mu się, że jej usta miękną i że rozluźnią się, ale zaraz odepchnęła go i spuściła głowę.

- Nie rób tego - poprosił.

- Mam cię nie odpychać? Nie, nie zrobię tego i oczywiście będę posłuszną żoną - powiedziała, patrząc na guziki jego kamizelki. - Ale musisz dać mi trochę więcej czasu. Nie jestem tak naiwna, jak sądzisz, i wiem, że nie oświadczyłeś mi się z miłości, ale nie zdawałam sobie sprawy, że wciąż kochasz kogoś innego.

Wyprostowała ramiona i podniosła wzrok na jego podbródek.

- Nie mam ochoty w tej chwili cię całować, ale to nie znaczy, że zamknę przed tobą drzwi sypialni.

Poczuł ulgę. Była wytrącona z równowagi i równie naturalne

było to, że potrzebowała czasu, by sobie z tym poradzić. Zamierzał przestać myśleć o Felicity, choć w tej chwili wydawało się to bardzo trudne. Ale on również przeżył wstrząs. Słowa lady Trenton otworzyły dawną ranę.

- Nie musisz się martwić, że zaniedbam obowiązki żony - mówiła dalej Eleanor już mocniejszym głosem. - Wiem, że potrzebujesz dziedzica.

Wzdrygnął się, słysząc jej słowa.

- Do diabła, Eleanor. Nie chcę, żebyś ze mną sypiała z poczucia obowiązku. Nie chodzi o dzieci.

Jej usta poruszyły się bezgłośnie.

- W takim razie o co? - zapytała, patrząc mu w oczy, choć wolałby, żeby tego nie robiła. - Jest oczywiste, że nie ożeniłeś się ze mną z miłości i chyba nie sądzisz, że ja cię kocham.

- Ale miałem nadzieję, że przynajmniej lubisz kochać się ze mną - powiedział nieco urażonym głosem.

- Tak - potwierdziła. - Jesteś w tym bardzo dobry. W każdym razie tak sądzę, bo nie mogę tego z niczym porównać. To jest bardzo...

- Jeśli powiesz, że jest miłe, to nie ręczę za siebie - stwierdził Blake ponuro.

Eleanor szeroko otworzyła oczy.

- Uderzyłbyś mnie?

Jego zaciśnięta pięść trafiła w gnijący słupek pergoli.

- Eleanor, nigdy nie uderzyłbym kobiety. Jeśli jeszcze tego nie wiesz, to...

- Och, co ty zrobiłeś?

Wyciągnęła do niego rękę i dopiero teraz zauważył, że zranił sobie dłoń. Jego pięść trafiła w roztrzaskane drewno skryte wśród różowych wrzośców. Sterczały z niej drzazgi i kolce, a po

palcach spływała krew.

- To musi bardzo boleć. Chodź do domu, wyczyszczę to i powyjmuję drzazgi.

Popatrzył na jej pochyloną głowę; poczuł, z jaką czułością trzyma jego bolącą dłoń, i zobaczył troskę na jej twarzy. Już wcześniej czuła się zraniona, a on jeszcze pogorszył sytuację. Uświadomił sobie, że właśnie dlatego się z nią ożenił. Ellie nie boczyła się i nie nosiła długo urazy. Była wielkoduszna i szczerą w uczuciach.

- Ellie... - odezwał się czule, a ona podniosła głowę. - Ożeniłem się z tobą, bo cię lubię.

To była szczerą prawda.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- No cóż - odrzekła Eleanor z przelotnym uśmiechem. - To dobrze, bo ja wyszłam za ciebie z tego samego powodu. Ale okaże się, czy nadal będziesz mnie lubił, kiedy skończę czyścić tę dłoń.

- Duncombe się tym zajmie.

Jego pokojowy był bardzo skuteczny w takich sprawach i nigdy nie interesował się, w jaki sposób powstały obrażenia.

- Nie, ja to zrobię.

Podeszła razem z nim do frontowych drzwi, nie zwracając żadnej uwagi na poplamiony krwią mankiet własnej sukni. Felicity pewnie już by zemdląła, pomyślał.

Praktyczne podejście Eleanor było bardzo odświeżające.

- Tennyson, przynieś do garderoby jego lordowskiej mości gorącą wodę, płótno na bandażę i trochę soli. Ja pójdę poszukać pęsety.

Duncombe przyniósł wodę i pomógł skrzywionemu z bólu Blake'owi zdjąć żakiet.

- Czy mam tu zostać, milordzie? Wydaje mi się, że to jest zbyt drastyczne dla kobiety - powiedział, podwijając rękaw koszuli Blake'a.

Blake popatrzył na swoją pulsującą dłoń.

- Jestem pewien, że jej wysokość doskonale sobie z tym poradzi.

Eleanor weszła do pokoju już przebrana, również z podwiniętymi rękawami, niosąc kilka przedmiotów, którym

Blake wolał się zbyt dokładnie nie przyglądać. Wsypała sól do gorącej wody i zamieszała.

- Włóż rękę do garnka. Muszę ją oczyścić, żeby dobrze widzieć. Jeśli zostaną jakieś drzazgi, rana może ropieć.

Blake włożył rękę do wody, myśląc z żalem, że gdyby operację przeprowadzał Duncombe albo lekarz, to mógłby przynajmniej ulżyć sobie przekleństwami. Przy Eleanor głupia męska duma kazała mu znieść wszelkie tortury bez słowa.

- Oprzyj łokieć na ręczniku i podnieś dłoń - powiedziała Eleanor po chwili. - Tu jest doskonale światło.

Usiadła, sięgnęła po pęsetę i pochyliła głowę nad jego dłonią, niemal trącając ją nosem.

- Tak naprawdę nigdy nie myślałam, że mógłbyś mnie uderzyć - wyznała. - Na chwilę zapomniałam, kim jesteś.

Nie dodała ani słowa więcej, a Blake nie wiedział, co mógłby rzec.

Minęło prawie pół godziny, zanim Eleanor wyjęła wszystkie drzazgi, i zaczęła bandażować jego rękę. W końcu zawiązała schludny supełek i odłożyła nożyczki.

Ręce jej drżały. Omijając go wzrokiem, zaczęła zbierać przyrządy.

- Eleanor? Ellie?

Podniosła wzrok. Oczy miała przekrwione, policzki poznaczone smugami łez, a włosy pomimo krótkiej fryzury potargane. Widocznie płakała przez cały czas, kiedy opatrywała jego dłoń.

- Eleanor, dlaczego płaczesz?

- Bo zadałam ci ból. - Sięgnęła po kawałek płótna i otarła oczy.

- Duncombe zrobiłby to o wiele mniej delikatnie. Zresztą

zasłużyłem sobie na to.

- Sądzę, że to nieproporcjonalnie dotkliwa kara za to, że nie patrzyłeś, w co uderzasz - odrzekła z cieniem uśmiechu.

Blake podniósł się, zdrową ręką pociągnął ją na nogi i pocałował. To była jego żona, a sypialnia znajdowała się tuż za drzwiami.

Wydała cichy dźwięk jak przestraszony kociak i zamrugła.

- Blake?

- Chcę cię, Eleanor - powiedział z brutalną szczerością i czekał na jej odmowę.

Był przygotowany na policzek, na wybuch gniewu, nawet na kolejne łzy, choć zauważył już, że Eleanor częściej płakała nad innymi niż nad sobą. Tymczasem ona zarzuciła mu ramiona na szyję i uniosła do niego twarz. Pocałował ją, wziął w ramiona i zaczął iść tyłem w stronę sypialni. Otworzył drzwi plecami i nie przestał jej całować, aż dotarli do łóżka. Eleanor opadła na nie z westchnieniem. Spróbowała się podnieść, ale on przytrzymał jej spódnicę i podciągnął ją do góry, a potem opadł przed nią na kolana z dłonią na jej nagich udach.

- Nie ruszaj się - mruknął, przeklinając zabandażowaną dłoń. Na szczęście palce miał odsłonięte...

- Blake! Co ty robisz? Och...

Znów opadła na poduszki, gdy rozsunął jej nogi szerzej, i uśmiechnęła się zapraszająco.

Czy ta kobieta niczego się nie bała? - przeszło mu przez myśl.

Piątego ranka przy śniadaniu, gdy Blake uprzejmie podziękował za podaną mu marmoladę, Ellie pomyślała ponuro, że ich małżeństwo jest niezmiernie poprawne. Od tamtego popołudnia, kiedy uświadomiła sobie, że on wciąż kocha

Felicity, odnosili się do siebie z wielką ostrożnością.

Blake oprowadził ją po tych częściach domu, których jeszcze nie widziała, i codziennie przez kilka godzin wyjaśniał wszystkie sprawy związane z majątkiem, dzierżawcami i farmą. Słuchała o inwestycjach i interesach i popadała w oszołomienie. Nic dziwnego, że Jon się uśmiechał, mówiąc, że przy Blake'u przez cały czas jest zajęty i że sam earl również pracuje bardzo ciężko.

Przyjmowali wizyty miejscowego ziemiaństwa, a trzeciego dnia, czyli w niedzielę, wybrali się do kościoła. Trentonowie również tam byli. Siedzieli w swojej ławce. Z ławki Hainfordów Eleanor widziała ponad drewnianą przegródką czubki ich głów. Wymienili uprzejme pozdrowienia, ale nie rozmawiali.

Blake wieczorem przychodził do jej pokoju i kochał się z nią wprawnie, ale ostrożnie. Chwilami miała ochotę potrząsnąć nim i domagać się gwałtownej namiętności, jaką okazał tamtego popołudnia, ale nigdy nie udało jej się znaleźć odpowiednich słów, by porozmawiać o małżeństwie i marzeniach, zanim pocałował ją na dobranoc i zostawił samą w wielkim łóżku. Uważał chyba, że dobry seks i wzajemna uprzejmość wystarczą, by uznać ich małżeństwo za zadowalające. Poza tym dziwnie lekko traktował temat dzieci.

Zamiast jednak się cieszyć, Ellie popadała w coraz większą melancholię. Nie miała żadnego powodu do niezadowolenia, tymczasem czuła się coraz bardziej nieszczęśliwa.

W końcu pogoda się poprawiła i Ellie przystąpiła do realizacji pierwszego punktu ze swojej listy. Jeszcze przed ślubem zamówiła sobie strój jeździecki, ale nie pokazywała go Blake'owi ani nie zamierzała mu wspominać, że uczy się

jeździć. Nie chciała, żeby się nad nią trząsał z powodu nogi i miała nadzieję, że koniuszy będzie mógł udzielić jej kilku lekcji.

- Polly, czy poznałaś już koniuszego? - zapytała.

- Fincha? - Polly nieoczekiwanie mocno się zarumieniła. - Tak.

- Jaki on jest?

- Młody jak na koniuszego, ale wszyscy mają o nim dobre zdanie, i jest bardzo męski.

Ellie nie chciała drażnić się z nią z powodu rumieńca, więc tylko skinęła głową.

- Przebiorę się w kostium jeździecki, zejdem do stajni i sama się przekonam.

Zupełnie się nie zdziwiła, gdy Polly przyszła za nią do stajni, rzekomo dlatego że znalazła lepsze rękawiczki.

Finch rzeczywiście był męski. Miłość do męża nie przeszkadzała Ellie docenić wysokiego, jasnowłosego i pięknie umięśnionego młodzieńca. Naturalnie podziwiała go na dystans.

Odniósł się do jej prośby zadziwiająco rzeczowo.

- Czy noga panią boli, milady? - zapytał, kiedy usiadła w siodle, a po jej przeczącej odpowiedzi, nie wspominał o tym więcej. Wybrał dla niej brązowego kuca o imieniu Toffi i spędzał z nią w padoku godzinę dziennie, ucząc ją cierpliwie. Polly wkrótce zarzuciła wyszukiwanie pretekstów. Szła do stajni razem z nią, by przysiąc na słupku do wsiadania albo na ogrodzeniu padoku.

- Ma pani naturalny talent, milady - oświadczył Finch po trzeciej lekcji.

Pod koniec trzeciego tygodnia spędzonego w Hainford Hall

Ellie potrafiła już jechać stępą i kłusa, a dobrze ułożony Toffi posłusznie wykonywał wszystkie jej polecenia. Poczwała wielką radość, gdy wreszcie zaczęła jeździć szybciej, choć tempo kuca nie przyprawiało o szybsze bicie serca.

Gdy po raz pierwszy wyjechała z padoku, uznała, że ona i Toffi stanowią zgraną parę. Obydwoje byli równie zwyczajni i niepozorni. Finch uprzejmie trzymał się nieco z tyłu, a Polly została przy stajniach. Popołudnie było uroczne. Blake siedział w towarzystwie Jona nad stertą dokumentów dotyczących posiadłości. Ellie starała się myśleć tylko o tym, czy dobrze siedzi w siodle, jak pięknie wygląda park i jak zamierza urządzić część ogrodu, gdzie wcześniej rosły róże.

Widok innego jeźdźca wyrwał ją z rozmyślań. Na ładnej gniadej klaczy siedziała postać w czerni. Ellie uświadomiła sobie, że jest w pobliżu granicy posiadłości Trentonów i w tej samej chwili odgadła, kogo widzi.

Puściła kuca luzem. Konie zatrzymały się obok siebie

- Dzień dobry, lady Trenton. Czy wybiera się pani do nas z wizytą?

- Właściwie tak. Ja... mam nadzieję, że zastanę drogiego Blake'a w domu - odrzekła lady Trenton, odrzucając woalkę. Ellie nie miała woalki, nie obawiała się bowiem, że wiejskie powietrze zepsuje jej cerę, która i tak nie przypominała płatków róży. Twarz lady Trenton wydawała się bardziej zmęczona niż wcześniej, a oczy miały niepokojące czerwone obwódki.

Obawiając się chyba, że Ellie to zauważy, lady Trenton uśmiechnęła się promiennie.

- Jaki uroczy kucyk. Co to za rasa?

Jej własna klacz wygięła szyję we wdzięczny łuk i pomachała pięknym ogonem. Lady Trenton była wprawna w siodle.

- Chyba żadna, ale to bardzo odpowiedni wierzchowiec, żeby nauczyć się jeździć - odrzekła Ellie z ciepłym uśmiechem.

- Nie jeździła pani wcześniej?

- Nie, ale szybko się uczę. Jeśli już się do czegoś zabieram, lubię to robić dobrze.

- Czy dotyczy to również małżeństwa i zarządzania dużą posiadłością? Przypuszczam, że do tego również nie jest pani przyzwyczajona.

- Do małżeństwa? Nie - zgodziła się Ellie, zmuszając się do uśmiechu.

- Oczywiście jest pani starsza niż ja, gdy wyszłam za mąż, i niewątpliwie bardziej doświadczona.

- Sądzę, że Blake jest w domu. Zostawiłam go w towarzystwie pana Wiltona. Może coś mu przekazać?

Lady Trenton wyciągnęła chusteczkę i dotknęła kącików oczu.

- Jeśli byłaby pani tak miła. Dla mnie to jest zbyt... Oczywiście napiszę do niego, ale proszę mu powiedzieć, że postanowiliśmy postawić przy kościele pomnik Felicity. Wiem, że minęło już dużo czasu od jej śmierci, ale...

Ellie zastanawiała się, czy to tylko zbieg okoliczności, że postanowili to zrobić akurat teraz, gdy Blake przywiózł do domu nową żonę.

- Z pewnością będzie to dla państwa wielka pociecha - udało jej się powiedzieć.

- Urządzimy niewielką uroczystość. Oczywiście przyślę oficjalne zaproszenie, ale wiem, że Blake chciałby tam być i chciałby dowiedzieć się o tym z wyprzedzeniem.

- Tak, naturalnie - odrzekła Ellie bezbarwnym tonem, gdy lady Trenton zawróciła konia w stronę domu. - Naturalnie.

To niczego nie zmienia, pomyślała godzinę później. Wróciła do domu i poszła do galerii poćwiczyć rozpoznawanie wspaniałych przodków Blake'a, ale nie potrafiła się skupić i w końcu się poddała. Usiadła przy oknie, otoczyła kolana ramionami i oparła na nich brodę. A jednak zmieniało. Wiedziała, że ta uroczystość poruszy wszystkie uczucia, jakie Blake wciąż żywił do utraconej miłości, i znów przywiedzie do niego poczucie winy.

Popatrzyła na wyniosłą elżbietańską damę, której portret wisiał naprzeciwko. Wydawało jej się, że w namalowanych oczach widzi nieufność do całego męskiego rodzaju.

Naraz jej uwagę pochwycił jakiś ruch. Odwróciła się i spojrzała przez okno na wewnętrzny dziedziniec. Blake rozmawiał z Jonem, opierając rękę na ramieniu brata. Śmiali się z czegoś w blasku słońca. Potem Blake potrząsnął głową, wciąż z uśmiechem, i obydwaj weszli do domu.

- Czy twoja pokojówka romansuje z moim koniuszym? - zapytał ją Blake tego wieczoru przy kolacji.

- Romansuje? Z Finchem? - Ellie zaśmiała się z jego doboru słów. - Jest nim urzeczona i któż mógłby ją za to winić? To bardzo przystojny mężczyzna, ledwie przekroczył trzydziestkę i ma dobre stanowisko. Wydaje mi się, że on też patrzy na nią przychylnie, ale zachowuje się bardzo dyskretnie. A dlaczego pytasz? Czy masz coś przeciwko temu?

- Absolutnie nie. Pytam tylko dlatego, że nie są tak dyskretni, jak ci się wydaje. Stryzki z sianem to bardzo kuszące miejsca...

- W takim razie będzie musiał się z nią ożenić - odrzekła krótko. - To porządna dziewczyna, a w każdym razie była

porządna, dopóki nie spotkała Fincha.

- On nie traktuje lekko takich spraw - zauważył Blake. - Jestem pewien, że zrobi, co trzeba. Nad pomieszczeniami, w których przechowujemy siodła i powozy, znajdują się pokoje, w których mogą zamieszkać.

- To bardzo miłe z twojej strony.

Blake wzruszył ramionami.

- To dobry człowiek, a ona jest lojalna wobec ciebie. Dlaczego nie mieliby być szczęśliwi i pozostać tutaj, jeśli zechcą?

- Nie ma żadnego powodu - zgodziła się Ellie.

Teraz, gdy już wyjechała poza park, zamierzała powiedzieć Blake'owi o swoich lekcjach jazdy, ale przypomniała sobie popołudniowe spotkanie i odeszła jej ochota. Chciała również przekazać mu wiadomość od lady Trenton, ale wciąż odkładała to na później.

Tchórz, pomyślała. Musisz to zrobić, zanim nadejdzie list.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Lokaj postawił na stole karafkę z brandy, ale Ellie nie wstała i nie zostawiła Blake'a.

- Dziękuję, Williamie - powiedziała. - Nie będziemy cię już potrzebować.

Blake spojrział na nią ze zdziwieniem. Długi stół w jadalni był złożony i siedzieli blisko siebie. Dostrzegła w jego oczach pytanie.

- Dziś po południu, jeżdżąc po parku, spotkałam lady Trenton - odezwała się, zebrawszy się wreszcie na odwagę. - Prosiła, żeby przekazać ci wiadomość.

Zmarszczył brwi.

- Zdaje się, że ta wiadomość nie była bardzo pilna.

- Bardziej niepokojąca niż pilna. - Ellie uświadomiła sobie, że mnie w palcach serwetkę i odłożyła ją na bok. - Lord i lady Trenton chcą postawić przy kościele pomnik Felicity i zamierzają urządzić uroczystość, na którą masz zostać zaproszony. Napiszą do ciebie w tej sprawie.

- Niepokojąca? - Blake nalał sobie brandy na dwa palce i zakręcił szklaneczką, wpatrując się w błyski światła w złocistobrazowym trunku. - Na pewno przyniesie im to pociechę.

- Mam na myśli ciebie. Wrócą do ciebie wspomnienia, które na pewno są bolesne.

Ręka Blake'a nie drżała, gdy podnosił szklaneczkę do ust.

- To będzie smutne dla wszystkich, którzy ją pamiętają. -

Popatrzył jej prosto w oczy. – Eleanor, ja naprawdę nie trzymam się kurczowo wspomnienia po niej. Po prostu żałuję tego, jak postąpiłem.

– Ale wciąż ją kochasz. – To nie było pytanie.

– Nie, mylisz się. Nie Kocham jej ani nawet wspomnienia o niej. Daję ci słowo.

Jego oczy miały głęboki odcień szarości. Nie uśmiechał się.

– Naturalnie – powiedziała. Dał słowo, a był przecież człowiekiem honoru. Pamiętała jednak rozmowę z Verity, która ostrzegła, że czarna pustka w duszy Blake’a może pochłonąć również i ją.

Nie chciała myśleć, że mąż mógłby ją okłamywać. Nie powinna tak myśleć. W końcu go kochała. Musiała mu ufać i mieć nadzieję, że któregoś dnia on również ją pokocha. Nie wiedziała tylko, jak przetrwa ich małżeństwo, gdy miłość fizyczna, która wydawała się jedynym łączącym ich spoiwem, napotka ograniczenia w postaci ciąży i małych dzieci?

– Naturalnie – powtórzyła. – Trentonowie będą ci wdzięczni za wsparcie.

Stojąc w stajni i rozmawiając ze swoim koniuszym, Blake pomyślał, że to wielka ulga, móc się skupić dla odmiany na cudzym małżeństwie.

– Jestem bardzo wdzięczny za mieszkanie i za aprobatę, milordzie – powiedział Finch, nakładając siodło na grzbiet nowego konia Blake’a. – Nigdy nie myślałem, że założę rodzinę, ale wie pan, milordzie, jak to jest z kobietami. W jednej chwili jest się wolnym jak ptaszek, nie myśli się o żonie i dzieciach, a w następnej poczuje się na sobie spojrzenie ładnych oczu i już jest po wszystkim.

- Mam nadzieję, że chodzi o coś więcej niż tylko ładne oczy. -
Blake poklepał Toskańczyka po szyi.

Finch poprawił wędzidło i wyprostował się.

- Ona wygląda tak, jakby mógł ją porwać wiatr, moja Polly, ale ma mocny kręgosłup.

Jaka pani, taka pokojówka, pomyślał Blake i wskoczył na siodło. Wielki koń parsknął i rzucił się w bok.

- Jest nieulożony, milordzie. Trzeba mu wybić z głowy kaprysy.

- Zabiorę go na przejażdżkę po łąkach. Chcesz ze mną pojechać na Romulusie? Zobaczymy, który jest lepszy.

- Dziękuję, milordzie, ale mam coś do zrobienia. Może innym razem. Obydwa są równie dobre.

Blake jechał stępa, aż koń przestał się wyrywać, potem przeszedł do kłusa. Dopiero za podjazdem pozwolił mu galopować. Wielki ogier płynnie przeskoczył nad bramą prowadzącą na pastwiska.

Blake był w paskudnym nastroju. Poprzedniego dnia na dziedzińcu kościoła odbyła się uroczystość. Była przygnębiająca, lecz nie z powodów, o jakich myślała Eleanor. Felicity należała już do przeszłości, a drobna postać stojąca obok niego w eleganckiej ciemnoszarej sukni była jego przyszłością. Mógł oddać hołd Felicity, będąc dobrym mężem dla Ellie.

Pomnik miał dwa metry wysokości. Była to kolumna z białego marmuru z owalną plaketką z profilem Felicity, zwieńczona urną, z której zwieszały się pędy bluszczu.

Lord i lady Trenton oczywiście byli głęboko poruszeni, Blake jednak widział, że ten pomnik, oznaczający, że ich córka w końcu zdobyła wybaczenie i akceptację rodziców, przyniósł

im głęboką pociechę. Dla niego z kolei był symbolem zamykającym w jego życiu pewien rozdział. Należało wreszcie pozbyć się żalu i poczucia winy i skupić się na tym, by uszczęśliwić żonę, która z pewnością na to zasługiwała.

Eleanor na pewno czuła się tam źle, ale stała obok niego ze spokojną, poważną twarzą. Przyszła, by wyrazić współczucie dla sąsiadów oraz by wspierać męża. Zastanawiał się, czy kiedyś będzie w stanie go pokochać. Zaczynał bowiem podejrzewać, że uczucie, które rozgrzewa jego serce, gdy na nią patrzył, i każe mu się biczować za każdym razem, gdy ją bezmyślnie zrani, jest miłością. Nie mógł jej jednak tego powiedzieć, żeby jej nie obciążać. Eleanor uznałaby za swój obowiązek odpowiedzieć mu tym samym, a miłości nie można było w sobie wzbudzić na zawołanie.

Oczywiście nie zasługiwał na to, by go kochała. Ale na pewno będzie kochała dzieci, o ile spotka ich to szczęście. Zastanawiał się, czy będzie zazdrosny o swoich synów i córki, gdy Eleanor będzie je kołysać w ramionach...

- Blake.

Szturchnęła go i uświadomił sobie, że nieliczna grupka przyjaciół i krewnych, którzy zostali zaproszeni na uroczystość, kładzie już kwiaty u stóp pomnika. Eleanor wysunęła się naprzód, trzymając w ręku bukiet z żółtych i białych róż oraz paproci. Otrząsnął się z zadumy i podał jej ramię. Razem wrócili do Trenton Grange.

Toskańczyk rzucił się w bok na widok stogu siana i Blake wrócił do rzeczywistości. Dalej położona łąka nie została jeszcze skoszona z powodu niesprzyjającej pogody. Musiał sprawdzić, czy można będzie wejść z kosami jutro. Ściągnął wodze i ruszył spokojnym kłusem w stronę żywopłotu na

horyzoncie.

Ruch konia działał na niego uspokajająco. Znów powędrował myślami do Eleanor. Nie mógł nawet przekląć losu za to, że zetknął go z Lyttonem i Crosse'em tamtego wieczoru u White'a, bo gdyby nie ta fatalna w skutkach rozgrywka, nie poznałby Eleanor.

Pozostała jeszcze jedna rzecz związana z pamięcią o Felicity, którą musiał zrobić, jeśli chciał oczyścić sumienie. Potem będzie mógł się skupić na przekonywaniu żony, że podjęła słuszną decyzję, gdy zgodziła się za niego wyjść.

Siedząc przy oknie galerii, Ellie widziała, że Blake wraca ze stajni. Zwykle szedł prosto do frontowych drzwi, żeby ją odnaleźć i opowiedzieć o tym, co robił. Dzisiaj jednak zmierzał szybko do bocznego wejścia i zdawało się, że nie chce, by ktoś go zauważył. Przez chwilę widziała jego nadzwyczaj poważną twarz. Widocznie uroczystość przy kościele poruszyła go bardziej, niż można było przypuszczać. Nie dziwiła się jednak, że starał się to przed nią ukryć. Obiecała sobie, że nie będzie pierwsza wspominać o Felicity, ale uznała, że powinna poszukać go i sprawdzić, czy on sam czegoś nie chce jej wyznać.

Gdy dotarła do podestu schodów, Blake zniknął już w swoich pokojach. Poszła zatem dalej, w stronę otwartych drzwi jego bawialni, i zatrzymała się przy sypialni. Te również były otwarte. Nie widziała Blake'a, ale słyszała, że ktoś jest w garderobie.

Bezgłośnie podeszła kilka kroków i zatrzymała się w drzwiach. Blake stał przy komodzie, zwrócony plecami do niej. Wyjął coś z szuflady i przez chwilę wpatrywał się w to nieruchomo.

- Blake?

Odwrócił się do niej i schował rękę za plecami.

- Wydawało mi się, że widziałam, jak wracasz do domu. Udała ci się przejażdżka?

- Oglądałem łąki. Nie wyglądają tak źle, jak się obawiałem po tych wszystkich deszczach. A ty jak spędziłaś popołudnie?

- Właściwie nic nie robiłam - przyznała. - Nie wiadomo, dlaczego poczułam się zmęczona, więc poszłam do galerii i starałam się zapamiętać kilku następnych przodków. Usiadłam przy oknie i wtedy zobaczyłam ciebie.

Blake pociągnął za sznurek dzwonka.

- Wykąpię się. Trochę jeszcze za wcześnie, żeby przebrać się na kolację, ale na pewno czuć ode mnie stajnię.

- Co takiego oglądałeś przed chwilą?

- Nic ważnego.

- Blake, proszę, nie okłamuj mnie.

Zesztywniał. Podejrzenia wezbrały w duszy Eleanor i nie miała zamiaru przejmować się tym, że urazi jego honor.

- Gdyby to nie było nic ważnego, nie próbowałbyś tego ukrywać.

- Nie chciałem cię denerwować. - Wyciągnął rękę zza pleców i pokazał jej miniaturowy portret.

- Felicity... - Westchnęła Ellie i pomyślała, że była ona piękna, niemal eteryczna. Miała w sobie niewinność i kruchość, od której zapierało dech. Nic dziwnego, że Blake zachował tę miniaturę i nie potrafił się oprzeć, by na nią nie patrzeć.

- Była urocza.

- Tak - zgodził się bezbarwnym tonem.

- Nic dziwnego, że ją kochałeś i że rodzice chcieli was skojarzyć.

- Moje uczucia nie miały z tym nic wspólnego.

- Nie? Czy to znaczy, że wcześniej, zanim ją pokochałeś, miałeś coś przeciwko tej umowie?

- Byłem spadkobiercą tytułu. Dziedzic powinien się odpowiednio ożenić. Mój ojciec uważał za swój obowiązek znaleźć mi odpowiednią żonę. To nie była jego wina, że swoją niezręcznością zniechęciłem Felicity do siebie.

- I ty również zawrzesz taki układ w imieniu własnego syna, kiedy nadejdzie odpowiedni czas?

- Oczywiście - odrzekł Blake ze zdziwieniem.

- Mimo że twoje własne małżeństwo nie przysporzyło ci żadnych korzyści?

Wzruszył ramionami.

- Mimo tego.

Ellie miała ochotę wykrzyknąć, że mówi o własnym dziecku, jakby to była jego kolejna posiadłość. Zauważyła jednak, że Blake zaciska palce na miniaturze.

- Powiedziałeś mi, że nie trzymasz się kurczowo wspomnienia po nieżyjącej kobiecie, a jednak ukrywałeś jej portret, żeby móc potajemnie się w niego wpatrywać.

- Eleanor, nie wpatruję się w niego potajemnie ani nie ukrywałem go. Tak jak powiedziałem, po prostu nie chciałem cię denerwować. To wszystko to już przeszłość. Felicity to przeszłość, przysięgam.

Miała ochotę zapytać, czy może mu ufać, ale usłyszała chrząknięcie Duncombe'a, który właśnie wszedł do sypialni, więc odwróciła się na pięcie i wyszła.

- Czy dobrze się pani czuje, milady? - Polly postawiła przy łóżku Ellie filiżankę z gorącą czekoladą i odsłoniła zasłony.

- Kiepsko spałam - wyznała Ellie.

Tę noc spędziła sama. Powiedziała Blake'owi, że musi się wyspać. Przez kilka godzin leżała bezsennie, zamartwiając się i powtarzając sobie, że powinna się cieszyć, że Blake nie ma żadnego romansu, ale w niczym jej to nie pomogło.

Dał jej słowo, że nie myśli już o Felicity, a jednak to nie była prawda. Eleanor wiedziała, że uczuć nie da się kontrolować.

Czasami żałowała, że kocha Blake'a. Byłoby o wiele prościej, gdyby potrafiła trwać w tym małżeństwie bez żadnych uczuć. Czekala na dzieci, spodziewając się, że wniosą radość w życie ich obojga, ale wydawało się, że dla Blake'a najważniejsze było posiadanie dziedzica i związane z tym ambicje. Czy to oznaczało, że będzie ignorować pozostałe dzieci? Wiedziała, że nie mogłby być okrutnym ojcem, ale wszystkie dzieci jednakowo potrzebowały bezwarunkowej miłości.

- Czekolada pani stygnie, milady - zauważyła Polly.

- Och. - W filizance formował się już kożuch, na którego widok Ellie zebrało się na mdłości. - Czy mogłabyś to zabrać i przynieść mi herbatę, Polly? Najlepiej rumiankową.

Popijała przejrzysty napar, ignorując zaniepokojone spojrzenia pokojówki, i po chwili poczuła się nieco lepiej.

- Chyba potrzebuję świeżego powietrza. Poślij do stajni, niech Finch osiodła Toffi. Przejadę się po śniadaniu.

Na dole okazało się, że będzie jadła sama. Jonathan pojechał gdzieś w sprawie zniszczonych rynien, Blake zjadł śniadanie wcześniej i również wyszedł, nikomu nie mówiąc, dokąd się wybiera.

- Na pewno jednak nie zajmie mu to długo, bo w innym wypadku przekazałby mi wiadomość dla waszej wysokości.

- Oczywiście, Tennyson, dziękuję. - Ellie usiadła przy stole,

skubiąc grzanekę. - Proszę, pošlij kogoś do ogrodu i niech ogrodnicy przygotowują mi nieduży bukiet róż.

Wstydziła się własnej zazdrości o Felicity i tego, że tak trudno było jej wybaczyć Blake'owi jego przywiązanie do zmarłej narzeczonej. Może niewielka pokuta pomoże jej oczyścić sumienie i emocje. A jeśli uda jej się uspokoić, to porozmawia z nim o dzieciach, które być może będą mieli.

- Chcę pojechać wzdłuż strumienia - powiedziała do Fincha. Jak zawsze, gdy jej towarzyszył, siedział na spokojnym szarym ogierze. Bukiecik róż wetknął w juki przy siodle. Kwiaty wyglądały niemal komicznie na tle wytartej skóry.

- Może są tam jakieś ładne miejsca na piknik. Jego lordowska mość wspominał coś o łowieniu pstrągów. Chciałabym urządzić dla niego wycieczkę, jeśli ładna pogoda się utrzyma. A potem pojedziemy do kościoła.

- To bardzo dobre miejsce na pstrągi, milady - zgodził się Finch. - Mogę pani pokazać najlepsze miejsca do połowu. A jeśli chodzi o piknik, będzie pani musiała sama wybrać. Ta ścieżka po lewej prowadzi wzdłuż brzegu. Jeśli będziemy się zachowywać cicho, to może uda nam się zobaczyć zimorodka - dodał.

Droga wzdłuż strumienia była bardzo przyjemna. Słońce iskrzyło się na wodzie płynącej przez płytkie żwirowe koryto, wierzby rzucały cień, na murawie kwitły polne kwiaty. Mijali jedno urocze zakole za drugim. Finch zapewniał, że w każdym z tych miejsc można łowić pstrągi. Gdy już mieli zawrócić i pojechać przez łąki w stronę kościoła, Finch zauważył zimorodka.

- Widzi pani, milady? Siedzi na tej nagiej gałęzi nad wodą

i poluje na ryby. Jeśli pojedziemy powoli, to może uda nam się zobaczyć go z bliska.

Zatrzymali się na otwartej przestrzeni w miejscu, gdzie ścieżka prowadząca na łąki dochodziła do rzeki. Barwny ptaszek zanurkował i wrócił na gałąź z pustym dziobem. Spróbował jeszcze raz i tym razem udało mu się pochwycić rybę.

Po jakichś dziesięciu minutach odleciał, a gdy zniknął w górze rzeki, Ellie zawróciła Toffi w stronę wioski. Czuła się teraz znacznie spokojniejsza. Przy bramie kościoła Finch pomógł jej zsiąść i podał bukiet, a sam poprowadził konie w stronę koryta do pojenia.

Ellie obeszła róg kościoła i zobaczyła Toskańczyka. Nie mogła się pomylić. Wielki ogier przywiązany był do bramy prowadzącej na posiadłość Trentonów. Na ten widok cofnęła się za duży grobowiec.

Blake stał przed pomnikiem Felicity z kapeluszem w ręku i dłonią przyciśniętą do kamiennej urny, pogrążony w myślach. Po chwili nałożył kapelusz, wyjął coś z kieszeni i podniósł ozdobną pokrywkę urny stojącej na szczycie kolumny. Wrzucił coś do środka i zamknął pokrywkę.

Ellie sama nie wiedziała, jak znalazła się na ławce przy szerokiej furtce cmentarnej. Jak mógł to zrobić? Skoro zostawiał dowody pamięci przy nagrobku Felicity, znaczyło to, że jego miłość do niej bynajmniej nie umarła. Okłamał ją, a ona przez cały czas tylko się łudziła, myśląc, że są sobie coraz bliżsi. Żołądek poszedł jej do gardła. Gdy Finch odnalazł ją w kilka minut później, wymiotowała przy cmentarnym murze.

- Zabiorę panią na plebanię, milady, i poślę po powóz - powiedział, gdy się wyprostowała. Podał jej chusteczkę

zwilżoną wodą z pompy.

- Dziękuję, Finch, ale wszystko już w porządku.

- Nie jestem pewny, czy powinna pani jeździć konno w tym stanie, milady.

- W jakim stanie? - Ellie zamrugała, powstrzymując łzy.

- Ależ... chyba nosi pani dziecko, milady, czyż nie? - zapytał wprost.

Ellie zemdląca po raz drugi w życiu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Odzyskała przytomność prawie od razu, na tyle szybko, żeby powstrzymać Fincha przed wołaniem o pomoc i zanieśieniem jej na plebanię.

- Skąd wiesz? - zapytała.

- Moja mama i siostry mają wiele dzieci. Kobieta wygląda wtedy inaczej. No i zrobiło się pani niedobrze.

- Pojadę sama. Toffi niesie równiej niż powóz, a nie chcę robić zamieszania.

Finch nie odezwał się więcej, dopóki nie dotarli do stajni. Pomógł jej zsiąść i popatrzył na nią, trzymając w wielkich dłoniach bicz i kapelusz.

- Milady...

- Nie mów o tym nikomu, Finch, oprócz Polly.

Poklepała Toffiego, poszła do swojej sypialni i zadzwoniła po pokojówkę.

- Gdyby ktoś o mnie pytał, powiedz, proszę, że boli mnie głowa i nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

- Co się stało, milady?

- Idź porozmawiać z Finchem.

Zamknęła drzwi za pokojówką i usiadła przed lustrem. Była zakochana w swoim mężu, który miał obsesję na punkcie dawnej miłości, a teraz nosiła jego dziecko. Byłby to cud, gdyby w tym małżeństwie potrafiła być szczęśliwa. Powinna zauważyć coś wcześniej, ale nie minęło jeszcze dużo czasu, a opóźnienie krwawienia wiązała z podnieceniem i zmianami, jakie zaszły

w ostatnich tygodniach.

Nosiła jednak dziecko i musiała się jakoś z tym pogodzić. Ze względu na to musiała ocalić swoje małżeństwo. I ze względu na Blake'a. Obiecała, że nigdy go nie opuści, a on obiecał jej wierność. Ale to miały być tylko pozory, wydmuszka bez treści.

O dziwo, nie zbierało jej się na płacz, nie mogła jednak stanąć przed Blakiem. Nie mogła zmienić jego uczuć, musiała się więc nauczyć z nimi żyć, ale trudno jej było o tym myśleć teraz, gdy czuła się słaba, chora i nieszczęśliwa. Potrzebowała trochę czasu, by odnaleźć w sobie siłę.

Wahała się jeszcze przez chwilę. A może zostać i rzucić mu w twarz fałszywe obietnice? Ale co by jej z tego przyszło oprócz upokorzenia? Nic. Była hrabiną Hainford, miała farmę, a także pieniądze w banku. Zawsze mogła wyjechać do Lancashire. Na farmie panował spokój i wszystko wydawało się prostsze.

Podniosła się i uświadomiła sobie, że trzęsie się z zimna. Pociągnęła za sznurek dzwonka i przypomniała sobie, że drzwi są zamknięte na klucz. Otworzyła je i w tym samym momencie na progu stanęła Polly.

- Milady! James mi powiedział! To wspaniałe wiadomości! Zaczęłam się już zastanawiać, nie chciałam jednak robić sobie nadziei...

- Dziękuję, Polly, ale nie wszystko jest... Między earlem a mną pojawiły się pewne różnice. Chciałabym przez jakiś czas zostać sama, żeby pomyśleć, rozumiesz?

Polly wyraźnie nic nie rozumiała, ale skinęła głową.

- Tak, milady.

- Czy earl już wrócił?

Polly potrząsnęła głową.

- Proszę, przyprowadź tu Fincha.

Polly zamrugała i otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale wyszła bez żadnych pytań. Ellie grzebała w szufladach, szukając pieniędzy.

- Milady. - Finch wszedł do środka, zamknął drzwi i stanął spokojnie, jakby wezwanie do sypialni hrabiny nie było dla niego niczym niezwykłym.

- Muszę natychmiast wyjechać do Lancashire. Czy jest jakiś powóz i konie, które mogłyby mnie zawieźć do najbliższej gospody pocztowej, gdzie wynajmę powóz na dalszą drogę?

- Mamy podróżny powóz hrabiny, milady, i drugi zaprzęg koni. Nie musi pani podróżować wynajętym powozem.

- Ale jak go zwrócę?

- To pani powóz, milady. Ja osobiście poprowadzę.

- Nie, Finch, jego wysokość...

- Milady, jest pani w delikatnym stanie, jeśli mogę się ośmielić znów o tym wspomnieć, i nie chcę mieć na sumieniu pani zdrowia. Nie mogę pozwolić, aby tłuła się pani po kraju w wynajętym powozie bez odpowiedniej ochrony. - Jego ogorzała twarz była zacięta w wyrazie ponurej determinacji. - Jego lordowskiej mości może się to nie spodoba, ale może mnie najwyżej wyrzucić z pracy, a zawsze znajdę jakąś posadę przy koniach. Chcę się ożenić z Polly, a ona pozostanie przy pani, bo tak powinno być, więc tak czy owak muszę pojechać do Lancashire. Pójdę teraz przygotować powóz, milady - dodał i wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Ellie wzięła głęboki oddech.

- Polly, pomóż mi się przebrać, a potem mnie spakujesz. Nie wiem, na jak długo wyjeżdżamy, więc zabierz tylko praktyczne, niezbędne rzeczy. Nie będę potrzebować sukien balowych ani wieczorowych. Pośpiesz się.

- Ale jego lordowska mość pojedzie za nami i dogoni nas - powiedziała Polly, pomagając jej zdjąć strój jeździecki.
- Zostawię fałszywy trop - odrzekła Ellie ponuro.
- Ale wrócimy tutaj, milady?
- Oczywiście, Polly. Oczywiście, że tak.

Blake wracał z kościoła z poczuciem ulgi. Miał wrażenie, że wreszcie uwolnił się od ogromnego ciężaru, który nosił od ucieczki Felicity. Zachował ten portrecik jak talizman, a jednocześnie pokutę. Nie patrzył na niego już jednak od miesięcy, choć w głębi duszy wciąż pamiętał o jego istnieniu. Był on jak włosienica ocierająca skórę pod ubraniem.

O wiele za późno uświadomił sobie, że już dawno powinien porozmawiać z kimś o Felicity. Gdyby zwierzył się Jonathanowi, pomogłoby mu to zrozumieć własne uczucia. Poczucie winy jest bardzo niezdrowe, o ile człowiek niczego się nie nauczy i nie ruszy dalej, on tymczasem się w nim pławił. O wiele za późno uświadomił sobie również, co czuje do Eleanor. Kochał ją i zamierzał jej o tym powiedzieć. Teraz był już wolny, mógł wrócić do żony i otworzyć przed nią serce.

Skręcił w stronę domu i popędził Toskańczyka do galopu przez pastwisko, przeskakując przez bramy, żywopłoty i rowy, jakby ścigał jakąś widmową zwierzynę. Niemal nie patrzył, dokąd jedzie. Myślał tylko o Eleanor, o tym, że chciałby wziąć ją w ramiona i zobaczyć jej szczęśliwy uśmiech.

Naraz z krzaków tuż przed nimi wyskoczyło stado jeleni. Toskańczyk gwałtownie rzucił się w bok, a potem stanął dęba. Blake'owi udało się zapanować nad koniem, ale wówczas jedna z saren skoczyła w ich stronę. Toskańczyk cofnął się i potknął. Blake stracił równowagę i spadł na ziemię.

Zdążył jeszcze poczuć ból od uderzenia w głowę, a potem pociemniało mu w oczach.

Ocknął się, gdy zachodzące słońce zaczęło mu świecić w oczy. Z wysiłkiem dźwignął się i usiadł. Było mu niedobrze, kręciło mu się w głowie i czuł się dezorientowany. Obok niego Toskańczyk spokojnie skubał trawę, ciągnąc za sobą luźne wodze i nie zwracając żadnej uwagi na jelenie pasące się w pobliżu.

- Głupi koń - powiedział Blake i Toskańczyk zastrzygł uszami.

Powinien wstać, wskoczyć na siodło i wrócić do domu. Eleanor na pewno się martwi, gdzie on się podział, a przecież miał jej tak wiele do powiedzenia. Głowa go bolała, ale nie dlatego czuł mdłości. Zbyt długo trzymał się iluzji, że kocha Felicity, kiedy przez cały czas chodziło tylko o urok pięknej twarzy i poczucie winy, że tak długo ją zaniedbywał.

Podniósł się z trudem i niepewnym krokiem ruszył w stronę konia. Nie widział nigdzie swojego kapelusza, ale głowa i tak bolała go za bardzo, żeby cokolwiek na nią wkładać.

Kochał ją. To było najważniejsze. Musiał jak najszybciej jej o tym powiedzieć. Musiał jej wytłumaczyć, że trzymał się kurczowo wspomnienia o kobiecie, której nigdy naprawdę nie poznał i nie zrozumiał, a potem powiedzieć Eleanor, że uświadomił sobie wreszcie, jakie żywi do niej uczucia.

Czy mogłaby mu odpowiedzieć miłością? Nie zasłużył sobie na to. Najpierw ją obraził, potem ożenił się z nią pod wpływem impulsu i przywiózł ją do miejsca, gdzie musiała stanąć twarzą w twarz z jego przeszłością.

Wziął do ręki porzucone wodze, wsunął stopę w strzemię i wskoczył na siodło. Przez chwilę siedział nieruchomo, a świat

wokół niego wirował. Wstrząs mózgu, pomyślał. Może zanim zacznie cokolwiek wyznawać, powinien najpierw poczekać, aż przestanie widzieć podwójnie...

Był o pół mili od domu. Puścił Toskańczyka wolno, licząc na to, że koń sam znajdzie drogę, gdy naraz zauważył dwóch jeźdźców galopujących w jego stronę. Skupił wzrok. Jeździec był tylko jeden. Po chwili Blake rozpoznał Jona, ponurego i bez kapelusza.

- Bogu dzięki, że jesteś. Co ci się stało? Krwawisz jak zarzynana świnia.

- Krwawię? Pewnie mam rozciętą głowę. Spadłem z konia i uderzyłem się - powiedział Blake krótko. - Skąd ta panika? Chyba nie minęło tak dużo czasu?

- Do diabła, nie, nie martwiłem się o ciebie. - Jon, który jechał teraz obok niego, przechylił się, żeby spojrzeć na jego twarz. - Ale teraz zaczynam się martwić. Wyglądasz okropnie.

- Wstrząs mózgu. - Blake ostrożnie dotknął lepkiego miejsca z tyłu głowy. - Ale kości chyba są całe. Mdłości też powoli mijają. W takim razie o kogo się martwiłeś?

- O Eleanor.

- A co się stało? Czy jest chora? Miała jakiś wypadek? - Popędził Toskańczyka do kłusa, a potem do równiejszego stępa.

- Nie. Wyjechała. Razem z Polly i Finchem.

- Co?

- Zabrali mały powóz podróżny i cztery gniadosze. Kiedy Fryderyk zapytał Fincha, dokąd się wybiera, ten powiedział, że musi gdzieś zawieźć panią.

- Co?

- Eleanor wróciła z lekcji jazdy z Finchem...

- Z czego? - Blake mocno zacisnął usta, myśląc, że zadawanie

pytań tylko opóźni wyjaśnienia.

- Podobno była blada jak płótno. Posłała po Polly, potem po Fincha, a w następnej chwili zaczęli wynosić bagaże do powozu. Tennyson zapytał ją, co ma ci powiedzieć, a ona po prostu podała mu dwa listy. Mów, co się, do diabła, dzieje!

Blake przestał przeklinać i parsknął:

- Nie mam pojęcia. Jakie lekcje jazdy?

- Finch uczy ją jeździć. Myślałem, że o tym wiesz.

Blake nie potrząsnął głową, bo za bardzo go bolała, ale jeszcze bardziej bolesna była myśl, że nawet nie zauważył, że Eleanor uczy się jeździć konno.

Gdy dotarli do domu, Tennyson chodził po holu tam i z powrotem.

- Milordzie! Pańska głowa...

- Daj mi te listy.

Pieczeń z niebieskiego wosku rozprysnęła się na kawałki pod jego kciukiem. Z wysiłkiem skupił wzrok na kilku linijskich pisma.

Blake,

widziałam cię przy kościele obok pomnika Felicity. Wcześniej, kiedy zobaczyłam miniaturę, dałeś słowo...

Chcę być dobrą żoną i chcę, żeby nasze małżeństwo było udane, ale teraz muszę wyjechać, żeby się zastanowić, jak mam to zrobić.

Nie czuję się zbyt dobrze, ale wiem, gdzie znajdę poradę.

Proszę, nie jedź za mną. Wróć. A wiesz, że zawsze dotrzymuję słowa.

Eleanor

- Londyn. Na pewno pojechała do Londynu. Pisze, że nie czuje się dobrze i że wie, gdzie się zwrócić po poradę. Polubiła doktora Murraya i miała do niego zaufanie. Do diabła, dlaczego ona nie czuje się dobrze? Ja nic nie zauważyłem.

Pewnie to był kolejny powód jej ucieczki do Londynu.

- Tennyson, powiedz Duncombe'owi, żeby spakował moje rzeczy i niech pośle do stajni, żeby przygotowali powóz podróżny. Ty też pojedziesz, Jon. Mogę cię potrzebować.

- Masz zupełną rację, ale najpierw potrzebujesz lekarza.

Blake parsknął gniewnie, ale Jon nie ustąpił.

- A co pisze Finch?

List był zamknięty tanim stemplem i zaadresowany niewprawnym, okrągłym pismem Fincha.

Milordzie,

w zaistniałych okolicznościach uznałem, że będzie najlepiej, jeśli pozostanę u boku jej wysokości. Może pan być pewien, że będę jej strzegł swoim życiem. Dopilnuję, żeby powóz i konie zostały zwrócone waszej lordowskiej mości, kiedy jej wysokość nie będzie ich dłużej potrzebować.

Jacob Finch

- Bogu dzięki, że jest z nimi - powiedział Blake, podając list sekretarzowi.

Czy Finch był z Eleanor w kościele? Czy on również widział to co ona? Musiało to wyglądać bardzo dwuznacznie, skoro Finch, zwykle spokojny człowiek, natychmiast wziął stronę Eleanor i zgodził się wyjechać z nią z domu, nie zawiadamiając go wcześniej.

- Ale dlaczego ona wyjechała? - zapytał Jon.

- Bo widziała, jak wkładałem do urny na pomniku Felicity coś, co musiało sprawiać wrażenie pamiątki. Wiedziała, że mam miniaturę Felicity i chyba była przekonana, że kocham wspomnienie nieżyjącej kobiety bardziej niż własną żonę i że nie może ufać w moje słowa. - Powiedział to, zanim zdał sobie sprawę, że ma publiczność. Obok przyrodniego brata stali Tennyson i Duncombe.

- Ty... - Z ust Jona wyrwał się stek przekleństw, od którego kamerdynerowi wyraźnie zaparło dech.

- Zgadzam się z tobą. Duncombe, zrób mi opatrunek na głowę. Nie mam czasu na lekarza. Potem przynieś mi czystą koszulę i spakuj moje rzeczy.

Pokojowy zszedł ze schodów i popatrzył na niego.

- Milordzie, miał pan wstrząs mózgu. Pańskie oczy... Powinien pan odpocząć.

- Odpocznę w powozie. Pośpiesz się.

Duncombe przemył i zabandażował rozcięcie na jego głowie, a potem zaczął pakować rzeczy. Tymczasem Blake, niezdolny usiedzieć spokojnie, zajrzał do pokoju Eleanor. Rodzinne klejnoty wciąż spoczywały na miejscu, podobnie jak wszystkie wieczorowe stroje.

- Spakowała tylko praktyczne rzeczy - powiedział do Jona, który poczuł wyraźną ulgę, widząc, że jego pracodawca myśli racjonalnie zamiast wpadać w histerię. - Polly na pewno jest z nią.

Czuł jednak, że próbuje chwytać się brzytwy. Źle się czuła i powinien teraz być przy niej.

- Ta szuflada jest zamknięta. - Pociągnął mocniej, a potem otworzył zamek nożem do papieru, nie zastanawiając się nawet, dlaczego narusza prywatność żony. Nie mógł przeoczyć

niczego, co próbowała przed nim ukryć, bo mogła się tu znajdować jakaś wskazówka.

Szuflada pełna była arkuszy papieru zapisanych charakterem pisma Eleanor. Wziął je do ręki, spodziewając się kolejnych przygód Oscara, ale jakiś zwrot przykuł jego uwagę. To nie było o Oscarze...

Nie miał teraz na to czasu, pomyślał i wsunął papiery do teczki. John pociągnął go na schody, a kiedy już wsiedli do powozu, nakrył go pledem.

- Wypoczywaj, do diabła!

Przytaknął nieznacznie i zamknął oczy. Nic innego mu nie pozostawało, dopóki nie znajdą Eleanor. Nie był nawet w stanie myśleć, bo w głowie waliło mu jak młotem i znów wróciły mdłości.

John i Duncombe pchnęli go na siedzenie i wsunęli pod głowę poduszkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

W Lyndhurst Finch wynajął woźnicę i forysia, żeby mogli jechać nocą, i odesłał powóz do Hainford Hall razem z chłopakiem stajennym.

- W ten sposób nikt się nie dowie, dokąd pojechaliśmy - wyjaśnił, gdy Ellie protestowała, nie chcąc pozbywać się tak szybko dobrych koni. - Z tej gospody można jechać i do Londynu, i na północ.

Ellie miała nadzieję, że wzmianka w liście o zasięgnięciu rady naprowadzi Blake'a na myśl, że pojechała do Londynu. Zamierzała napisać do niego z Carndale. Nie miała powodu się przed nim ukrywać, jeśli mieli jakoś ocalić to małżeństwo, ale nie chciała widzieć go jeszcze teraz. To byłoby ponad jej siły. Potrzebowała czasu, żeby pomyśleć.

- Jego wysokość nie wynajął chyba nikomu Carndale? - zapytała nagle Polly. - Dopiero teraz przyszło mi to do głowy. A jeśli ktoś już tam mieszka?

- Nie masz się o co martwić. Nie skończyli jeszcze naprawy dachu i nie wykopali studni. Jonathan powiedział mi o tym parę dni temu. Nikogo tam nie będzie, dopóki roboty nie zostaną skończone.

Wydało jej się dziwne, że stara farma jawiła jej się teraz jako oaza spokoju i bezpieczeństwa. Może nawet przestało tam padać.

Podróż zajęła im cztery dni. Nie mieli zamówionych noclegów,

więc Ellie nie chciała pojawiać się w gospodach zbyt późno, toteż kiedy wreszcie dotarli do Carndale, obie z Polly miały już serdecznie dosyć widoku powozu. Poza tym nikt nie miał ochoty na rozmowę. Przeszłość była zbyt bolesna, szczególnie niedawna przeszłość, a przyszłość zbyt niepewna.

Wciąż miała mdłości, szczególnie rano. Polly twierdziła, że to zupełnie normalne.

- Moją mamę męczyły okropnie - wyznała. - Ale po jakimś czasie to ustaje.

- Mam taką nadzieję - odrzekła Eleanor słabym głosem. Zmuszała się do jedzenia ze względu na dziecko, choć trudno jej było utrzymać śniadanie w żołądku.

Poczuła ulgę na widok rumianej twarzy pana Grimshawa, który wyszedł im na spotkanie na podwórze. Wydawał się mocny jak skała i godny zaufania.

- Panienko... to znaczy milady. Nie spodziewaliśmy się pani.

- Nie, panie Grimshaw. Zostanę tu przez jakiś czas. Czy cała rodzina jest w dobrym zdrowiu? A co tam na farmie? Mam nadzieję, że studnia wkrótce będzie gotowa.

- Ano, milady. - Wyciągnął pokrytą odciskami rękę, żeby jej pomóc wysiąść. - Skończyli właśnie dzisiaj, a w przyszłym tygodniu ma być gotowy dach. Nie ma się jednak o co martwić. Jest mocny, a przez parę dni nie będzie padać.

- To chyba jakiś cud - stwierdziła, patrząc na czyste i suche podwórze pod błękitnym niebem. Nawet stary dom wydawał się ciepły i zachęcający. - Czy sądzisz, że Marjorie będzie mogła znowu mi pomóc?

- Będzie mogła, milady. - Sięgnął do kieszeni i wyjął klucz. - Wpuszczałem do środka robotników do dachu.

- Dziękuję. - Ellie wzięła od niego klucz. - Czy jest jakieś

miejsce, gdzie moi ludzie mogliby nocować? Mój zarządca, pan Finch, woźnica Phipps i David, chłopak od koni.

- Ano, mogą spać u mnie, jeśli pani chce, milady. Ale są też pokoje z tyłu nad stajnią. Trzeba tam posprzątać, ale kawalerom powinny wystarczyć.

Finch uniósł wysoko brwi, słysząc swój nowy tytuł, ale musiała mu jakoś wynagrodzić wsparcie i lojalność. Miała nadzieję, że wkrótce ożeni się z Polly i że będzie mogła oddać im pokoje w głównym domu. Miała też nadzieję, że Blake go nie wyrzuci.

W domu było cieplej niż kiedyś. Czuć było zapach dymu i kurzu, ale nie wilgoci. Mogła się tu schronić, dopóki nie znajdzie w sobie sił, żeby wrócić do Blake'a. To jest schronienie, a nie kryjówka, powtarzała sobie, przechodząc przez pogrążone w półmroku pokoje.

Kiedy wieczorem Blake dotarł na Berkeley Square, zastał dom zupełnie pusty, dokładnie w takim stanie, w jakim go zostawił. Pozostała służba przykrywała meble w pokojach pokrowcami, a Turner dyrygował ekipą dokonującą napraw i porządków.

- Wasza lordowska mość? - zdziwił się, stojąc pośród sreber w magazynie, otoczony szmatkami i pojemnikami z gorącą wodą. - Nie, milordzie, nie przysłała żadnej wiadomości.

- Najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie - stwierdził Blake. - Zrozumiałem, że zamierza przyjechać do miasta w pewnych sprawach, ale widocznie pojechała... Och, do diabła. Jeśli nie mogę zaufać tobie, to komu? Między nami mówiąc, Turner, moja żona mnie opuściła. Myślałem, że przyjechała tutaj.

- Więc należy się zastanowić, milordzie. - Kamedyner otworzył kredens i wyjął z niego dwie szklaneczki i butelkę brandy.

Blake z rozmachem usiadł na krześle po drugiej stronie stołu i sięgnął po szklanę.

- Czy ciebie nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi, Turner? - Pociągnął haust brandy i uznał, że woli nie wiedzieć, skąd tej jakości trunków wziął się w magazynie.

- Mogę tylko mieć nadzieję, milordzie, że dobry kamedyner zawsze stanie na wysokości zadania. Rozumiem, że jej wysokość coś wytrąciło z równowagi. Niewątpliwie chodzi o jakieś nieporozumienie. Wydaje mi się jednak, że ona nie ma bliskich krewnych?

- Nie ma żadnych krewnych. Chodź, Jon, dołączysz do nas.

Jon usiadł przy stole i wyjął szklaneczkę z ręki Blake'a.

- Wiesz, co mówił doktor o picciu alkoholu w twoim stanie. Tu mam listę osób zaproszonych na ślub. - Położył na stole arkusz papieru. - Są tu wszyscy bliscy przyjaciele lady Hainford, choć nie mam pojęcia, jak moglibyśmy się dowiedzieć, czy przebywa u któregoś z nich, nie dając jednocześnie powodów do plotek. Mogę wynająć człowieka, który w dyskretny sposób to sprawdzi. Nie powiem, oczywiście, kogo szukamy. Zajmie mi to dzień albo dwa.

- Ja bym zaczął od doktora Murraya. Spodobał jej się, kiedy badał jej nogę, więc gdyby potrzebowała porady medycznej, na pewno udałoby się do niego. - Blake wsunął ręce we włosy i skrzywił się, gdy natrafił na bandaż.

- A jeśli nie znajdziemy jej w Londynie? - zapytał Jon, wychylając brandy jednym haustem.

- Wtedy będziemy się martwić, co dalej - odrzekł Blake.

- Kolacja - stwierdził Jon stanowczo. - Obydwaj jesteście zmęczeni, a ty przeszedłeś wstrząs mózgu.

To było rozsądne. Tego wieczoru nic już nie mogli działać. Blake poszedł na górę, wykąpał się i przebrał. Zjadł kolację, a potem wypił obrzydliwy napar, który przygotował mu Duncombe. Czuł się wyczerpany do tego stopnia, że nie był w stanie zasnąć, choć powieki mu opadały.

Wycofał się do gabinetu i usiadł za biurkiem. Na stole leżały papiery, które zabrał z szuflady Eleanor. Co go opętało, żeby się tam włamywać? To nie było godne dżentelmena, nawet zdesperowanego, ale działał pod wpływem impulsu. Otworzył skórzaną teczkę i zaczął czytać. Po pierwszej stronie wyprostował się na krześle, a po dwóch zupełnie przeszła mu ochota na sen. Rozłożył papiery i zaczął je porządkować. Szczęśliwie Eleanor zapisywała daty i miejsca, w których powstawały kolejne fragmenty.

W sercu Blake'a pojawiła się iskierka nadziei.

- Tak, z wielką radością potwierdzam, że jest pani brzemienna, milady - oznajmił doktor Eldridge, do którego Eleanor udała się za poradą pani Grimshaw.

- Tak myślałam - odrzekła słabym głosem. Cieszyła się, ale trudno jej było w tej chwili odczuwać radość.

Lekarz był pogodny i rubaszny. Najwyraźniej nie przywykł do arystokratycznych pacjentów i odznaczał się szczerością większą niż większość londyńskich medyków. Dokładnie wyjaśnił, czego może się spodziewać, pocieszył w sprawie porannych mdłości, zalecił spacerować na świeżym powietrzu i unikanie zmartwień.

- Proszę mnie wezwać w razie jakiegokolwiek potrzeby, milady.

Finch czekał na nią przy powozie.

- Kupiłem gazety, milady. Pomyślałem, że mogą panią zainteresować.

- Dziękuję, Finch.

Wsiadł do powozu razem z nią i Polly. Ellie nalegała, że skoro jest teraz zarządcą, powinien jeździć z nimi. Sięgnęła po jedną z gazet. Litery tańczyły jej przed oczami. Przełknęła i obróciła pierwszą stronę - jak zwykle same ogłoszenia - po czym zmusiła się, żeby zacząć czytać drugą.

Gdy zatrzymali się przed domem, Ellie doszła do końca czwartej i ostatniej strony, ale gdyby kazano jej powiedzieć, o czym czytała, nie potrafiłaby przytoczyć treści ani jednego artykułu.

- Eleanor nie ma w Londynie.

Blake odsunął krzesło i zaczął chodzić po gabinecie.

- Moi agenci nic nie znaleźli. Murray marudził coś o poufności, ale głównie po to, żeby zachować twarz, i nie ukrywał zdumienia, kiedy mu powiedziałem, że sądziłem, iż Eleanor przyjechała do niego z wizytą. A to znaczy, że się z nim nie kontaktowała.

- Więc gdzie mogła wyjechać?

Jon wyglądał na bardzo zmęczonego. Obydwaj od trzech dni niewiele spali i Blake zauważył, że Jon grzebie w talerzu, wykazując taki sam brak apetytu jak on. Szczęśliwie głowa przestała go boleć i lekarz powiedział, że jest już on wolny od objawów wstrząsu mózgu, choć jego umysł nie odzyskał jeszcze poprzedniej sprawności.

Eleanor wzięła niewiele pieniędzy i miała godnych zaufania służących. Gdyby coś złego jej się stało, z pewnością daliby mu

znać. Nie znała jego innych posiadłości, ale...

- Oczywiście, Carndale! Zna to miejsce, farma jest na odludziu i nie należy do mnie. Albo raczej ona uważa, że nie należy do mnie.

- Każę przygotować powóz. - Jon odepchnął od siebie pełny talerz i wstał.

- Nie, weź karykiel. Pojedziemy tylko we dwóch, z podręcznym bagażem. Będziemy powozić na przemian, jeśli twoje ramię na to pozwoli.

Jon próbował odwieść brata od tego pomysłu, mówiąc, że Blake powinien odpocząć ze względu na swoją głowę, ale ten gwałtownie zaprotestował.

- Nie. Nie mogę. Zraniłem ją i muszę jak najszybciej ją odnaleźć.

- Niech będzie. - Skinął głową Jon. - Ale weźmiemy twojego forysia. W ten sposób pojedziemy szybciej. Cała służba i tak wie, co się dzieje.

Minęło dziewięć dni, odkąd Ellie wyjechała z Hainford Hall. Wydawało jej się, że zdecydowała, co dalej, choć wciąż nie umiała dokończyć listu do Blake'a.

Część dotycząca Polly i Fincha nie przysparzała jej trudności. Wychwalała ich lojalność, wspomniała, jak bardzo Finch o nią dbał, i wyrażała nadzieję, że Blake nie będzie się na niego złościł za to, że oddał się do jej dyspozycji.

Trudniej było wyjaśnić mu, że potrzebuje jeszcze trochę czasu, zanim będzie mogła wrócić, ale że w końcu to zrobi i ma szczerzy zamiar dotrzymać swojej przysięgi. Próbowała mu napisać, jak się czuła z powodu miniatury i wtedy, gdy zobaczyła go na cmentarzu.

W pewien sposób byłoby mi łatwiej, gdybyś kochał żywą kobietę, bo mogłabym z nią walczyć o ciebie. Teraz jednak wiem, że jestem tak oddalona od twoich potrzeb i pragnień, że łatwiej jest ci pozostawać w przeszłości, niż żyć ze mną w teraźniejszości.

Już się z tym pogodziłam. Teraz tylko muszę znaleźć sposób, by ci wybaczyć i zrozumieć, bo...

Omam nie napisała: „bo cię kocham”, ale gwałtownie poderwała rękę i na stronę spadł kleks.

...bardzo chcę, żeby nasze małżeństwo było udane ze względu na dziecko.

Nie, o dziecku też nie mogła napisać.

Tym razem list wyszedł już prawie dobrze. Wyjaśniła mu, dlaczego wyjechała, zapewniła, że wróci, i zrobiła, co mogła, by uchronić Polly i Fincha przed jego gniewem. Trzeba było jeszcze tylko wymyślić odpowiednie zakończenie, a potem znaleźć sposób, by przetrwać w małżeństwie bez miłości.

Naraz usłyszała przed domem tętent kopyt. Sądząc po odgłosach, był to gig pana Grimshawa, choć psy szczekały. Polly na górze zmieniała pościel, toteż Ellie odłożyła pióro i sama poszła otworzyć drzwi.

To był karykiel z wysoką ławką, zaprzężony do czterech spoconych koni. Na ławce siedział przycupnięty foryś, a z przodu dwóch mężczyzn...

Foryś zeskoczył i podbiegł do koni, a woźnica powoli zszedł na ziemię.

To był Blake.

Twarz miał ponurą i nieogoloną, ciężki płaszcz podróżny

zakurzony. Przez chwilę jej serce zabiło mocniej z ulgi i radości. Ruszyła w jego stronę biegiem, ale zaraz zatrzymała się.

- Eleanor.

Staął przy niej, zanim zdążyła zamknąć drzwi.

- Eleanor, nie uciekaj przede mną, proszę.

Porozmawiaj z nim uprzejmie, powiedziała sobie. Uniosła wyżej głowę i odwróciła się do niego plecami. Zachowaj godność. On wie, że czujesz się urażona, więc nie musisz zdradzać się z własnymi uczuciami.

Cofnęła się do sieni, przytrzymała przed nim drzwi i pierwsza weszła do salonu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Jak zwykle zdawało się jej, że Blake wypełnia cały pokój. Zapomniała już, jakie to wrażenie.

- Proszę, usiądź - powiedziała.

- Postoję. To wielka ulga, że cię znalazłem. Myślałem, że pojechałaś do Londynu. - Mówił takim tonem, jakby zeznawał przed sądem. - Napisałaś, że nie czujesz się dobrze...

- Bo... Głos jej się załamał. Oblizła usta i spróbowała jeszcze raz. - Miałam nadzieję, że w to uwierzysz. Czuję się dobrze, jestem tylko zmęczona.

- Wiedziałaś, że zachowałem tę miniaturę, a potem przy kościele zobaczyłaś, że wkładam coś do urny przy pomniku. Jesteś przekonana, że pamięć Felicity jest mi droższa niż małżeństwo z tobą i przysięgi, które ci składałem.

- Tak. Myślałam, że... że ona należy do przeszłości, że możemy razem budować wspólne życie. Ale gdy się przekonałam, że się myliłam, wołałam wyjechać. Ja wrócę, Blake, przysięgam, tylko że nie mogłam... Nie potrafiłam udawać, że tego nie widziałam, i ukryć cierpienia, a nie miałam odwagi z tobą porozmawiać, żeby nie powiedzieć rzeczy, których żadne z nas nie mogłoby potem zapomnieć.

- Nie dziwię się - przyznał ku jej zdziwieniu. - Podziwiam teraz twoje opanowanie. Ja na twoim miejscu, nie potrafiłbym powściągnąć języka ani powstrzymać temperamentu. Wiele małżeństw rozpadło się z bardziej błahych powodów.

Wyciągnął do niej rękę, ale zaraz usiadł, nie dotykając jej,

choć ona wciąż stała.

- Eleanor, nie masz powodu, żeby wierzyć w cokolwiek, co powiem. Z pewnością nie masz powodu, żeby mi teraz zaufać. Czy jednak pozwolisz mi wszystko wyjaśnić?

- Dobrze - odrzekła po chwili i ona również usiadła.

- Mówiłem ci już, jak zniechęciłem do siebie Felicity po śmierci ojca, gdy próbowałem jej się oświadczyć. Wtedy nie wiedziałem, co do niej czuję. Uważałem, że już do mnie należy. Gdy mnie odrzuciła, stałem się natarczywy i zły. Pocałowałem ją, a ona wybuchnęła płaczem. Wybiegłem więc, spodziewając się, że przejdzie jej za dzień czy dwa. Byłem zbyt dumny, by ją prosić. Ale zdziwiła mnie jej uroda i to, jak dobrze się czułem, trzymając ją w ramionach. To było jak uderzenie gromu. Eleanor, proszę, nie patrz tak na mnie, wysłuchaj do końca. Muszę to dobrze wyjaśnić. Nie próbuję cię zranić.

- Mów - powiedziała, wpatrując się w koszyk z drewnem.

- Odkryłem, że jestem w niej zakochany i zdałem sobie sprawę, że nigdy wcześniej dobrze jej się nie przyjrzałem. Długo nie było mnie w domu, a gdy wyjeżdżałem, ona była jeszcze niezgrabnym podlotkiem. A potem stała się piękną. I była moja. Powiedziałem sobie, że muszę tylko przeczekać jej humory, a potem wszystko będzie dobrze.

Oparł dłonie na kolanach, a potem podniósł na nią wzrok.

- Dałem jej więc czas, a ona uciekła z tym przeklętym poetą. Zostawiła mi wiadomość. Napisała, że okazałem się brutalem, żarłoczną bestią pozbawioną rozsądku i wrażliwości i nie mogła znieść myśli, że miałyby za mnie wyjść. Mogłem uwierzyć, że ją przestraszyłem pocałunkami, bo pewnie całowałem ją ze zbyt wielką namiętnością. Ojciec próbował ją odnaleźć, ale zaczął poszukiwania dopiero po tygodniu, kiedy odpłynęli już do

Włoch i było za późno, by cokolwiek zrobić.

- Miałeś złamane serce - stwierdziła Ellie.

- Złamane serce i zranioną dumę. A w dodatku wiedziałem, że to ja sam wszystko zepsułem. Powinienem był wrócić do domu wcześniej i zalecać się do niej, jak należy. Udawałem, że to wszystko się nie zdarzyło. Powinienem za nimi pojechać, odnaleźć ją, upewnić się, że jest cała i zdrowa, przeprosić i błagać o wybaczenie, a potem, gdyby była szczęśliwa ze swoim poetą, nauczyć się żyć bez niej i cieszyć jej szczęściem. Tymczasem ja urządziłem w swoim sercu świątynię utraconej miłości i żyłem dalej. Nowina o jej śmierci tylko pogorszyła mój stan. Pielęgnowałem swoje rozgoryczenie, co bardzo skutecznie chroniło mnie przed strzałami Kupidyna i niepewnością kolejnego związku.

- A potem spotkałeś mnie.

Patrzył na nią. Jego ironiczny uśmiech nie sięgał mrocznych oczu.

- Tak. - Głos Blake'a przybrał cieplejszą barwę. - Spotkałem ciebie, a ty mnie zadziwiłaś... Irytowałaś, prowokowałaś i stawiałaś wyzwania. Polubiłem cię. Bardzo.

- Więc ożeniłeś się ze mną.

- Byłem z tobą szczęśliwy, Eleanor, i zacząłem już mieć nadzieję, że ty jesteś szczęśliwa ze mną. A potem pojechaliśmy do Hainford Hall, gdzie tak wiele rzeczy przypominało mi o Felicity i o tym, co się zdarzyło. Czułem się dziwnie. Wciąż prześladowało mnie poczucie winy, ale to uczucie, które zawsze brałem za miłość, stało się niechciane i gorzkie. Nie pamiętałem już jej twarzy, ale to mi nie przynosiło spokoju. Wiedziałem, że cię ranię, choć nie chciałem tego. Pragnąłem tylko ciebie, ale nie rozumiałem, co właściwie czuję. Gdy jej

rodzice postawili ten pomnik, miałem wrażenie, że ktoś zdarł mi zasłonę z oczu. Teraz już nawet nie wiem, czy kiedykolwiek naprawdę ją kochałem.

Ellie potrzęsnęła głową, próbując to zrozumieć, a Blake znów przeczesał dłonią włosy.

- Przez cały czas, odkąd oświadczyłem się Felicity, opowiadałem sobie historyjkę o niemożliwej miłości, utraconym ideale i zagubionym przeznaczeniu. Ale to była tylko bajka. Ożeniłem się z tobą, mówiąc sobie, że muszę się ożenić, a skoro cię lubię, to będę z tobą szczęśliwy, i miałem nadzieję, że uszczęśliwię również ciebie. Nie miałem czasu się nad tym wszystkim zastanowić. Byłaś przy mnie i byłaś prawdziwa, a ja cię raniłem, bo nie potrafiłem pozbyć się wspomnień i poczucia winy.

Uklęknął przed nią na spłowiałym dywaniku i wyciągnął do niej rękę.

- Tak - przyznała. - To bolało... A potem okazało się, że wciąż miałeś ten portret i że potrzebowałeś pójść pod jej pomnik.

- Miałem tę miniaturę przez cały czas, ale nie pamiętam już, kiedy patrzyłem na nią po raz ostatni. Duncombe przewoził wszystkie te rzeczy z domu do domu. Pamiętałem o tym i wiedziałem, że muszę się jej pozbyć, bo ona nie była już częścią mojego życia. Nie chciałem, żebyś to zobaczyła i mylnie zrozumiała. Nie mogłem zwrócić miniatury rodzicom Felicity, bo to byłoby tak, jakbym przyznawał, że nigdy nie kochałem ich córki, więc uznałem, że będzie najlepiej, gdy włożę ją do urny na pomniku. Kiedy to zrobiłem, miałem wrażenie, jakbym zamykał za sobą drzwi do przeszłości. Zrozumiałem, jak bezpodstawne było moje poczucie winy. Co gorsza, przez cały czas tłumilo to, co zaczęło się między nami rodzic. Czy

zamierzałaś do mnie wrócić?

- W końcu tak.

Uśmiechnął się w znajomy sposób.

- Jechałem do domu, ile sił. Puściłem Toskańczyka galopem i po raz pierwszy od bardzo dawna czułem się wolny. Chciałem pomyśleć i posłuchać tego, co serce mówiło mi o tobie. Toskańczyk spłoszył się, gdy z lasu wybiegły jelenie i zrzucił mnie, bo nie myślałem o tym, co robię. Uderzyłem się w głowę i straciłem przytomność. Zanim się ocknąłem i wróciłem do domu, ciebie już nie było.

- Straciłeś przytomność? Blake, nie powinieneś podróżować w tym stanie! - Puściła jego ręce i wsunęła palce we włosy. - Czy widział to lekarz?

- To był tylko wstrząs mózgu. Duncombe mnie opatrzył. Odpocząłem trochę i widziałem się z lekarzem w Londynie.

- Jeździłeś po kraju ze wstrząsem mózgu?

- Próbowałem ciebie odnaleźć. Co ty, do diabła, myślałaś, Eleanor?

- Ja? - zdziwiła się i gwałtownie oderwała ręce od jego głowy. Blake skrzywił się. - Zastanawiałam się, co mogę zrobić, żeby jakoś wytrwać w tym małżeństwie, w trójkącie z duchem.

Blake w tym momencie popełnił fatalny błąd i roześmiał się.

- Czy wrócisz ze mną do domu i będziemy żyli tak jak do tej pory?

Już jej się wydawało, że wyzna jej miłość, że właśnie to chciał powiedzieć, gdy mówił, że zrozumiał, co do niej czuje.

- Tak jak do tej pory? - powtórzyła.

Powinna być szczęśliwa. Blake nie kochał wspomnienia o Felicity i w końcu sam się przekonał, jak bardzo prześladowała go przeszłość. Przyjechał po nią, odnalazł ją

i chciał, żeby wróciła do domu. Ale to już jej nie wystarczało.

- Ja... sama nie wiem. Nie może być już tak jak wcześniej.

Dobroć i wyrzuty sumienia Blake'a nie wystarczały jej. Pragnęła znacznie więcej. Podniosła się i zachwiała na nogach.

- Chyba nie mogę. Jeszcze nie.

Zanim zdążył ją zatrzymać, wyminęła go i wyszła na zewnątrz przez kuchnię, mijając Polly i Fincha, którzy zerwali się na nogi. Przeszła przez podwórze obok kurnika i wychodka i wspięła się na zbocze wzgórza. Nie wiedziała, gdzie idzie ani po co, wiedziała tylko, że nie może pozostawać w jednym pokoju z Blakiem, patrzeć na jego twarz, gdy on zrozumie, że jego zwyczajna, kaleka żona jest beznadziejnie zakochana i chce czegoś więcej, a nie tylko tego, żeby było tak jak dawniej.

- Eleanor! - zawołał Blake, gdy zatrzasnęła za sobą drzwi. Boże, czyżby nie udało mu się powiedzieć, jak bardzo jest mu przykro, że ją zranił, i jak bardzo ją kocha?

Ciemnozielona suknia była widoczna przez okno saloniku. Blake podszedł bliżej i patrzył, jak Eleanor kuśtykając, mija budynki i znika za furtką prowadzącą na łąkę za domem. Wtedy uświadomił sobie, czego nie zrobił.

Haczyk okna był stary i zardzewiał. Musiał mocno uderzyć ręką, żeby się otworzył, ale nie miał teraz czasu na szukanie drogi wyjścia przez dom. Chciał jak najszybciej znaleźć się przy Eleanor.

Rozdarł sobie kurtkę, wyskakując przez okno, i poczuł zapach mięty. Wylądował w samym środku grządki z ziołami. Strząsnął z butów zgniecione liście i grudki ziemi i pobiegł, płosząc kury. Na chwilę stracił ją z oczu, ale za furtką znów ją zobaczył na wzgórzu.

- Eleanor!

Zatrzymała się na urwisku przy kępie pokrzywionych drzew i czekała na niego, zwrócona do niego plecami. Wydawała się znużona.

Blake zwolnił i odzyskał oddech.

- Jesteś nieszczęśliwa, bo mnie kochasz i sądzisz, że nie odwzajemniam twojego uczucia. Ale mylisz się. Kocham cię! - wyznał.

Teraz nie było czasu na długie wyjaśnienia, które mogłyby zostać źle zrozumiane.

- Kochasz mnie? Dlaczego mówisz mi to dopiero teraz? - zdziwiła się, wpatrując się w jego twarz.

- Miałem zamiar wcześniej, ale potem wdałem się w te długie wyjaśnienia i... Wstrząs mózgu, męska głupota, poczucie winy... Sam nie wiem, Eleanor. Nigdy nikomu tego nie mówiłem.

- Kochasz mnie - powtórzyła i tym razem nie było to pytanie.

Skinął głową i chyba dopiero teraz dotarło do niej to, co powiedział wcześniej.

- A dlaczego jesteś przekonany, że ja kocham ciebie?

Wyciągnął zza pazuchy złożone kartki papieru.

- Znalazłem to w twoim pokoju, kiedy szukałem wskazówek, które mogłyby mi powiedzieć, gdzie pojechałaś. Przeczytałem. Piszesz powieść, tak?

Wzruszyła ramionami i zarumieniła się.

- Próbowałam, ale wiem, że to nie jest dobre. Nie mogłabym tego wysłać wydawcy.

- Bo za bardzo ujawnia twoje myśli i uczucia. A bohater wygląda dokładnie jak ja. Byłem zazdrosny, dopóki się nie zorientowałem...

- Jesteś bardzo przystojny - odrzekła z napięciem, wciąż

zarumieniona. – Kiedyś widziałam cię z Francisem i doszłam do wniosku, że tak właśnie powinien wyglądać mój bohater.

– Ułożyłem te fragmenty w kolejności – powiedział. – Zaczęło się od opisów zmysłowego pożądania, ale w miarę upływu czasu pojawia się coś innego. Pisałaś o uczuciach do mnie, Eleanor? Dlaczego mi nie wyznałaś, że mnie kochasz?

– Bo ożeniłeś się ze mną dlatego, że od biedy nadawałam się na żonę i mnie lubiłeś. Jak miałam ci to powiedzieć? Po prostu starałbyś się być dla mnie dobry.

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

– A dlaczego ty mi nie powiedziałaś? – zapytała dziwnie drżącym głosem.

– Bo zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy wyjechałem z kościoła. Naraz wszystko stało się dla mnie jasne. – Odważył się przysunąć bliżej, tak blisko, że jej spódnica otarła się o jego buty. Delikatnie zwrócił do siebie jej twarz. – Kocham cię, Eleanor, moja Ellie. Wybacz, jeśli jestem niezręczny, ale zakochałem się po raz pierwszy w życiu. Będziesz musiała mi wiele wybaczyć, zanim nauczę się wyrażać to odpowiednio. Nigdy dotychczas nikogo nie kochałem i już więcej nie pokocham.

– Blake...

Oparła dłonie na jego ramionach i spojrzała mu w twarz. Nie rozumiał, jak kiedykolwiek mógł ją uważać za niezbyt urodziwą i zwyczajną.

– Robisz wszystko tak, jak trzeba... A ja kocham ciebie. Bardzo.

Pocałował ją, a potem znowu przyklęknął na łące.

– Blake? Blake! Jesteśmy na łące!

Nie wrywała się jednak zbyt mocno i nie skorzystała z okazji,

by uciec, gdy uwolnił ramiona i zrzucił kurtkę.

- Zdaje się, że nie padało już od kilku dni i nie ma tu żadnych byków ani ludzi. Poza tym zasłaniają nas drzewa.

- Zasłaniają przed czym? - zapytała ze śmiechem i jej spojrzenie pojaśniało. - Znowu chcesz mnie całować na polu?

- Całować i kochać się z tobą... Wtedy za pierwszym razem też bardzo tego pragnąłem, chociaż patrzył na nas byk. Chodź tutaj.

Położył ją na swojej kurtce, jedną ręką rozwiązał pantalony, a drugą zarzucił do góry jej spódnicę, a potem uciszył jej protesty pocałunkami.

Usłyszeli odległy głos. Ktoś wołał Blake'a po imieniu. Ellie zamrugła i otworzyła oczy. Leżała w jego ramionach, z głową na jego piersi, a nad nimi, na tle błękitnego nieba śpiewał skowronek.

- Obudziłaś się, kochana? - Blake usiadł i pociągnął ją za sobą. - Zejdźmy lepiej z tego wzgórza, zanim ktoś nas tu znajdzie.

- Nogi mi drżą - przyznała. - I obawiam się, że to był tylko sen.

- Masz bardzo bujną wyobraźnię. - Blake uśmiechnął się. - Chciałbym mieć takie sny każdej nocy.

- Możesz... Możemy... - poprawiła się. Blake sięgnął po swoją kurtkę, strząsnął z niej trawę i skrzywił się na widok rozdarcia.

- Każdej nocy.

I wtedy sobie przypomniała.

- No cóż, cieszymy się tym, póki możemy, bo za jakiś czas może się to stać trochę trudniejsze.

- Chodzi ci o to, że pogoda popsuje się jesienią?

- Nie. - Urwała, obróciła go twarzą do siebie, a potem położyła jego dłonie na swoim brzuchu. - Blake, wyjechałam nie tylko ze względu na twoje uczucia do Felicity. Również przez to, co mówiłeś o swoim ojcu, który za ciebie zdecydował o twojej przyszłości... Przestraszyłam się, kiedy powiedziałaś, że ty również zrobisz to samo dla swojego najstarszego syna. To mnie zmroziło do szpiku kości. Dzieci zasługują na to, by je kochać dla nich samych, a nie tylko dlatego, że są przedłużeniem dynastii. Twój spadkobierca będzie musiał odnaleźć własną drogę w tym świecie i poszukać sobie własnej miłości. A pozostałe dzieci będą dla nas równie cenne.

Popatrzył na nią i na jej ręce.

- Nie czułaś się dobrze... Ellie?

- Lekarz mówi, że wkrótce nasza rodzina się powiększy.

- Och, Ellie. Moja Ellie! - Znów pociągnął ją w ramiona i pocałował. - Wystarczyłoby mi już to, że mnie kochasz i że cię odzyskałem. Ale dziecko... Przez całe życie powtarzałem sobie, że ojciec miał prawo wybrać mi żonę i że ja sam jako earl również mam taki obowiązek. Ale gdyby nasz syn zakochał się w jakiejś zwykłej pannie Brown bez znakomitego pochodzenia, czy miałbym prawo nakazywać mu, żeby się wyrzekł prawdziwej miłości? A co do jego rodzeństwa, to będą nasze dzieci i tylko z tego powodu będziemy je kochać.

Wziął ją za rękę i zeszli po zboczach wzgórza do farmy. Jon i Polly stali na podwórzu, rozglądając się dokoła. Jon na widok Blake'a pomachał im i wszedł do domu.

- Nie sprzedawaj tej farmy - poprosiła Ellie, gdy Blake wsunął polny kwiat w jej włosy.

- Nie. Zachowamy ją i będziemy tutaj uciekać przed życiem arystokratów, by choć przez chwilę być tylko Blakiem i Ellie.

Naszym dzieciom na pewno spodobają się zwierzęta...

- O, tak...! Wszystkim naszym dzieciom.

- Zrobiliśmy już pierwszy krok - powiedział, otwierając przed nią furtkę. - A teraz, kiedy już wiemy, jak to się robi, chyba na tym nie poprzestaniemy... Wyobraź sobie wszystkich chłopców i wszystkie dziewczynki, gdy będą uganiać się za kurami i bawić w błocie.

- Idiota...! - Ellie szturchnęła go w żebra i dodała z nagłym onieśmieleniem: - Tak bardzo za tobą tęskniłam...

Porwał ją na ręce i poniósł przez podwórze.

- Kiedy wniosę cię do środka, zacznie się nasze prawdziwe małżeństwo, kochana.

Pchnął drzwi ramieniem i przestąpił próg, a Ellie wreszcie uwierzyła w szczęśliwe zakończenia.

Tytuł oryginału
Marrying His Cinderella Countess

Pierwsze wydanie
Harlequin Mills & Boon Ltd, 2017

Redaktor serii
Dominik Osuch

Opracowanie redakcyjne
Dominik Osuch

© 2017 by Melanie Hilton
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2019

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327642509

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi S.A.